

Halina Górska DRUGA BRAMA  
Ilustrowała MARIA SCHIER  
NASZA KSIĘGARNIA WARSZAWA 7972

Posłowie ANNA KAMIENSKA  
Opracowanie graficzne serii LEON URBAŃSKI  
TEKST OPARTO NA WYDANIU III „ISKIER” z 1964 ROKU

O/cu poświęcam

Część pierwsza KRYSIA

I. Na Karmelickiej

Na Karmelickiej już o świcie ciężko turkotały po bruku wozy.

Ze słomą, z drzewem, z węglem, z jarzynami i wreszcie z długimi stalowymi sztabami, napelniającymi całą ulicę brzęczeniem i dzwonieniem.

Okolo siódmej z ciężkim dudnieniem wozów mieszały się dzwonki tramwajów, a potem lżejszy i szybszy turkot dorożek i od czasu do czasu niecierpliwe trąbki rzadkich jeszcze podówczas samochodów.

Chodnikiem śpieszyli ludzie, popychający się łokciami, zawsze dokądś śpieszący, rozdrażnieni, podnieceni i znecierpliwieni.

W każdym domu pełno było sklepów. „Spożywczych”, z „materiałami piśmiennymi i galanterią”, z „owocami i delikatesami”.

I w każdym z nich trzeba się było targować, „bo inaczej oszukają”. Tak przynajmniej twierdziły Fraulein \* Anna i Katarzyna. Ale ja nie lubiłam właśnie dlatego wchodzić z nimi do sklepów.

Zwłaszcza do sklepu pani Rozenbaumowej, owo-carki.

— Jabłka? Takie jabłka widziała pani gdzie indziej taniej?! To może przed tygodniem?!

Dzisiaj?! Ten sam gatunek?!

» Fruulein (niem.) — panna, tu w znaczeniu: bona, nauczycielka.

7

Tyrolskie jabłka?! — i Rozenbaumowa wybuchała pełnym goryczy śmiechem, a ja spuszczałam wstydliwie oczy, bo przecież wiedziałam, że to nieprawda, że Fraulein Anna nigdzie dzisiaj nie wychodziła i wcale jablek nie oglądała.

I wstyd ten stawał się jeszcze dotkliwszy, gdy pani Rozenbaumowa głosem pełnym szlachetnego oburzenia zapewniała:

— Nie, u mnie nie jest drożej. U mnie jest nawet taniej niż gdzie indziej! Ale ja nie trzymam byle jakiego towaru! Ja się zanadto szanuję na to! Bo kto u mnie bierze? Pani mecena-sowa Adlerowa u mnie bierze i pani doktorowa Świtalska, i pani inżynierowa Fajgenbaumowa! Ja nie mogę takiej klienteli pokazywać takie coś. Mnie po prostu — nie wypada! A tacy szachraje, co podsuwają gościom byle co, dobrze na tym wychodzą!

A potem tonem łagodnego wyrzutu dodawała: —i' Ale czy panienka mi uwierzy? Panienka mi i tak nie uwierzy!

I Fraulein Anna rzeczywiście nie wierzyła, a pani Rozenbaumowa pakowała z westchnieniem owoce oświadczając z rezygnacją:

— No, dobrze. Niech już będzie moja strata. Przecież to dla pani doktorowej!

Skręcałam się po prostu z upokorzenia i wstydu. Bo czyż mama życzyła sobie, żeby pani Rozenbaumowa robiła jej prezenty?

Nienawidziłam po prostu w takich chwilach Fraulein Anny! Ale ku mojemu zdumieniu, gdyśmy już wychodziły ze sklepu, pani Rozenbaumowa zatrzymywała nagle Fraulein Annę i pytała już innym, nie zbolałym głosem:

— A czy pani doktorowa będzie robić tego roku konfitury z moreli? Bo do mnie przyszedł

transport —■ pierwszy sort! To ja myślę, że ja chyba coś utarguję?...

W sklepie z „materiałami piśmiennymi i galanterią” było jeszcze bardziej nieprzyjemnie niż u pani Rozenbaumowej. Zwłaszcza gdy się przychodziło bez Fraulein Anny po jakiś

8

zeszyt lub pióro. Pani Rozenbaumowa bowiem, nawet w zapale targowania się z Fraulein Anną, zwracała się do mnie czasem z uprzejmą propozycją:

— Może, panienska skosztuje tych śliweczek? Proszę! Bardzo proszę!

A potem dodawała:

— A jaj! Jak te dzieci, bez uroku, rosną! I jak ładnieją! Cała mamusia!

A chociaż nie powiem, żebym lubiła tę czułą poufałość pani Rozenbaumowej, to jednak ośmielała mnie ona nieco, a przy tym porównanie z mamą, która była „najsliczniejsza na całym świecie”, napełniało mnie dumą.

Co innego w sklepie u panny Faliszewskiej.

Panna Faliszewska, wysoka i chuda, o małych złych, świdrujących oczkach i zaciśniętych ustach, nie bawiła się w uprzejmości. Z początku jeszcze cień wypełzłego kwaśno-słodkiego uśmiechu. Ale gdy nieśmiały i trochę drżącym jak u winowajcy głosem oświadczałam, że „zeszyt w jedną linię, taki za osiem groszy”, uśmiech nikł bez śladu. Panna Faliszewska odstawiała z westchnieniem filiżankę z kawą, którą popijała o każdej porze dnia, przegryzając ją cukrem, z westchnieniem, które mówiło: „Dla ośmiu groszy niepokoją człowieka! Życ mu po prostu nie dają! Żyły z niego wypruwają!”

Albo też, jeśli w sklepie znajdował się posługacz, wyrośnięty trzynastoletni chłopak o piegowatej twarzy i rudej, sterczącej czuprynie, rozkazywała z niedbałym gestem w moją stronę:

— Załatw tam!

Niechby jednak wszedł do sklepu jakiś pan i zażądał marmurowego przyboru na biurko lub panie ■— po koronki i wstążki! Trzeba było widzieć, jak wówczas panna Faliszewska, cała w słodkich uśmiechach, dygach i płasach, zrywała się z krzeselka, jak wbiegała z żywością piętnastoletniej dziewczynki na drabinkę i zbiegała z niej znosząc coraz to nowe pudła i pudełka, jak w tysiącach przypochlebnych słó-

9

wek zapewniała, że „szanownej pani we wszystkim jest ślicznie”...

Do sklepiku pani Rudzkiej zachodziłam bardzo rzadko, wtedy kiedy Fraulein Anna „miała wychodne”. Stosunki bowiem moje z Katarzyną były bardzo luźne, a urzędowo powinny były być jeszcze luźniejsze, ponieważ w kuchni nie wolno mi było przesiadywać. Do sklepiku zaś schodziło się właśnie z Katarzyną.

I sklepik był prawie tak zajmujący jak kuchnia. Właściwie było w nim trochę brudno, ale za to — jaka różnorodność towaru! Bułki i nafta, mydło i rogaliki, beczka z powidłami i druga ze śledziami, piękne, długie, kolorowe cukierki (te, które były farbowane i których Katarzynie nie wolno mi było kupować „pod żadnym pozorem”) i wreszcie — „dzidziusie”. Różowe dzidziusie z cukru wielkości mego małego palca, po pięć groszy sztuka, takie, jakie matki kupowały wszystkim dziewczynkom z podwórza, a jakie dla mnie pozostawały w sferze nieosiągalnych marzeń. Ponadto zaś — reklamy! W sklepie pani Rudzkiej wszystkie ściany wyta-petowane były po prostu reklamami, które strasznie mi się podobały.

Były tam na przykład trzy miłe, wesołe i puszyste kotki, liżące z zapalem czekoladę Sucharda, i wesoły, śmiejący się bobas, wykarmiony wyłącznie na mące Nestle'a, i uśmiechnięty Chińczyk z herbaty Popowa... Ale przede wszystkim — dwoje holenderskich dzieci z reklamy mydła Sunlight! Dzieci te nazywałam nawet. Dziewczynka nazywała się Ket, a chłopczyk Kit. I nie mogłam się do nich nie uśmiechać, chociażbym była najsmutniejsza. Bo i jakże? W sklepiku pachniało mydłem, śledziami i naftą, o kilka kroków, tuż za jego progiem, turkotała, szumiała i dudniła wąska, półmroczna i ruchliwa Karmelicka ulica, a oni wieszali sobie w słońcu, nad szerokim i dalekim błękitem jasnego morza, olśniewająco białe płachty bielizny, a wiatr wydymał żagle płynącego w dali okrętu i bawił się szeroką spódniczką Ket...

I przyjemnie by było chodzić do sklepiku pani Rudzkiej, gdyby nie Katarzyna. Katarzyna u pani Rudzkiej przestawała być nagle znaną i miłą Katarzyną, tą Katarzyną, która w tajemnicy przed Fraulein Anną cedziła moje mleko, żeby nie było w nim zniechędzonych kozuchów, piekła małeńkie stru-celki i babki dla moich lalek i lepiła mi figurki z ciasta. Katarzyną, która potrafiła tak jak nikt dogodzić mamie, gdy mama była chora, i która jedna jedyna w całym domu wiedziała, jaką herbatę lubi pan doktor. A na jej miejsce pojawiała się inna Katarzyna. Katarzyna, która pochylona ku pani Rudzkiej opowiadała szeptem:

— Więc ja powiadam do mojej starej tak...

I obydwie (Katarzyna i pani Rudzka) chichotały złośliwie, a ja czerwieniłam się i nie chciałam słyszeć, i było mi tak wstyd, że pragnęłam się zapaść pod ziemię. Bo przecież wiedziałam, że „stara” to mama, a „stary” to tatuś, że to ich tak nazywa Katarzyna i z nich tak się wyśmiewa. I często, gdy budziłam się w nocy, myślałam nad tym, która Katarzyna jest prawdziwa — ta z domu czy ta od pani Rudzkiej? I co by powiedział o tym Jan?

Ale nie mówiłam o tym z nikim.

Ani z samą Katarzyną, ani z mamą, ani nawet z Janem.

Za bardzo mi było wstyd.

## II. Jan

O Katarzynie i o Mariannie, która była przed Katarzyną, o Fraulein Annie i Fraulein Rozie, która była przed Fraulein Anną, wiedziałam wiele rzeczy. Złych i dobrych, odpychających i przyciągających, zrozumiałych i niezrozumiałych. Ale o Janie nie wiedziałam długi czas niczego. Jan prawie że nie istniał dla mnie.

Rano, gdy się zbudziłam, słyszałam szorstkie szuranie szczotki do froterowania i miękkie ślizganie sukna: to Jan w sąsiednim pokoju sprzątał.

U

A potem jego głos spokojny, równy i poważny mówił:

— Pan doktor przyjmuje od czwartej do szóstej. Tak. Trzeba zamówić numerek. — To Jan rozmawiał z pacjentem przez telefon.

A gdy siedzieliśmy przy stole, ktoś w niebieskiej płóciennej marynarce, ktoś, na kogo się niemal nie zwracało uwagi, przesuwał się cicho od kuchni do stołowego, przynosił półmiski i znowu znikał: To Jan podawał.

I to było wszystko, co o nim wiedziałam. Nie należy jednak przypuszczać, iż wypływało to z tego, że lekceważyłam Jana. Przeciwnie. To Jan zamykał się jak gdyby w swej chłodnej i spokojnej obojętności.

Kiedy byłam smutna lub wesoła, kiedy zbliżała się gwiazdka lub wypadał dzień moich urodzin, wszyscy przyjmowali w tym jakiś, taki czy inny, udział. Tylko Jan ■— nie.

— Czego to Krysia tak smutna? Pewno znowu ta Niemra dokuczyla? — pytała konfidencjonalnie Katarzyna, która nie znosiła Fraulein Anny.

— Oho! — kłaniał się stróż Mateusz — jaka to nasza panienczka wesolutka! Po dwa schody na raz przeskakuje! Wesołego spaceru! — I zdejmował z uśmiechem czapkę.

— Życzę ci, żebyś wyrosła na pociechę swoim rodzicom — winaowała mi Fraulein Anna — i pilniej niż dotychczas przykładła się do arytmetyki i do ręcznych robót. Dziewczynka w twoim wieku powinna już umieć szydełkować...

Ale Jan — nic. Był zawsze obojętny, grzeczny i taktowny, jak gdyby chciał powiedzieć: „Nie mam zwyczaju wtrącać się do nie swoich spraw i nie lubię, żeby wtrącano się do moich!”

Zbliżenie między nami nastąpiło w sposób zupełnie nieoczekiwany.

Mama posłała mnie rano do salonu, w którym Jan jeszcze sprzątał, po jakąś książkę. Okna były otwarte i cały pokój wypełniało dzwonienie i brzęczenie przejeżdżających właśnie długim sznurem wozów ze stalowymi sztabami. Jan stał przy

12

oknie ze ściereczką i miotełką w ręku i uśmiechał się drwiąco. Wyraz jego twarzy był tak szczególny, że zatrzymałam się i patrzyłam na niego zdziwiona. I nagle Jan, ten Jan, który

dotychczas nie odzywał się prawie do mnie, odwrócił głowę i zerkając na mnie porozumiewawczo, powiedział:

— Myślisz może, że te długie sztaby na wozach to stal, co?

— No, tak... — powiedziała jeszcze bardziej zdziwiona. Jan roześmiał się cicho i przymrużył jedno oko.

— Wszyscy tak myślą... — powiedział. — wszyscy! Ale cała rzecz w tym, że się mylą... Cha! Cha! Cha! Grubo się mylą!...

I od tych słów Jana wionęło czymś dziwnym i tajemniczym.

— A... a... cóż to jest takiego? — zapytałam przejęta.

— Imitacja! — powiedział stanowczo Jan. — Tylko imitacja, Krysiu! Już ja się na tym znam!

Możesz mi wierzyć. Jak tylko spojrzę na jakąś rzecz, to od razu wiem, czy to jest prawdziwa rzecz, czy imitacja — tak!

— To znaczy, że to jest taka gorsza stal?

— Nie! — potrząsnął głową Jan. — To znaczy, że to w ogóle nie jest stal! Jest, widzisz, dużo takich rzeczy, które wcale nie są tym, na co wyglądają. Właściwie to wcale nie są nawet rzeczami.

Ot — oszukaństwo! Imitacja i tyle! Popatrz na przykład na moją kurtkę. Z czego jest zrobiona?

•

— No, przecież z płótna! — powiedziała. Jan parsknął śmiechem.

— A jakże! Imitacja! A ten stolik? Z jakiego jest drzewa? Co? Jak ci się zdaje?

— Mahoń... — szepnęłam już bardzo niepewnie i nieśmiało, patrząc na Jana z obawą.

— Imitacja! — stwierdził surowo Jan. — Wszystko prawie jest imitacją — rozumiesz?! Tylko... — uśmiechnął się chytrze — tylko trzeba się umieć na tym poznać!

Wyszłam z salonu dziwnie oszołomiona, przygnębiona i zarazem podniecona. To, czego dowiedziałam się od Jana, napęliło mnie jednocześnie ciekawością i strachem.

13

Każda rzecz mogła więc nie być tym, za co się ją dotychczas miało.

I każda rzecz była jak gdyby podwójna. A raczej była rzecz i jej imitacja...

I nigdy przecież nie wiadomo, z czym się ma do czynienia. Z rzeczą prawdziwą czy nieprawdziwą?

Nie można tego rozróżnić, chyba że się ma na to jakieś magiczne sposoby jak Jan!

A jeżeli nie można, to chyba jest wszystko jedno?!

Nie, nie jest wszystko jedno, bo kiedy Jan mówi o tej rzeczy, która nie jest rzeczą, tylko imitacją, to uśmiecha się wzgardliwie.

Więc jest jedna rzecz rzetelna, prawdziwa, godna szacunku, a druga — imitacja.

Ale skąd można wiedzieć, czemu zaufać, do czego odnosić się z szacunkiem, jeśli nawet stary, poczciwy mahoniowy stolik w salonie...

Dręczył mnie niepokój. A zarazem pragnęłam móc tak od razu i nieomylnie jak Jan przeniknąć do samego sedna rzeczy. Gdy tylko zostawałam sama w pokoju, chodziłam tam i na powrót z chustką od nosa (zamiast ściereczki) w rękę i mruczałam:

— Ty myślisz, że to jest kredens? To imitacja... Ty myślisz, że to jest obraz? To imitacja... Ty myślisz...

Kiedyś zastała mnie niespodzianie na tej zabawie matka.

— Co ty wygadujesz za głupstwa?! — zawołała zdziwiona i przestraszona.

— E... to nic... — byłam bardzo zawstydzona.

A jeszcze bardziej, gdy usłyszałam, jak mama opowiada o tym ojcu:

— Myślałam, że mała ma gorączkę! Widocznie dzieci odczuwają potrzebę takiego bezsensownego powtarzania świeżo przyswojonych słów.

Mimo to nie mogłam się oprzeć urokowi zagadki, która kryła się odtąd w każdej najcodzienniejszej i najlepiej znanej

14

rzeczy. Po dziesięć razy dziennie biegłam do Jana i pytałam z bijącym sercem:

— A dębowa szafa? A srebro?! A kołnierzyk przy moim paltociku?!

Jan od razu wiedział, o co chodzi.

— Imitacja! — odpowiadał ponuro.

I okazywało się, że szafa nie była dębowa, że srebro nie było srebrem, tylko platerem, że futerko nie było z foki, tylko z królika.

Postanowiłam zmienić taktykę.

— A co w domu nie jest imitacją? — zapytałam gniewnie. — Tak! To chciałabym wiedzieć!

Jan zamyslił się. Zastanawiał się długo i wreszcie orzekł stanowczo:

— Sosnowa podłoga w kuchni i narzędzia pana doktora! Narzędzi ojca nie mogłam iść obejrzeć, poszłam więc do

kuchni przyjrzeć się sosnowej podłodze. Dotychczas nie zwracałam na nią uwagi, ale teraz wydała mi się nagle czymś najbardziej godnym podziwu w całym domu, o ileż piękniejsza od froterowanej posadzki w salonie! Stałam długo i patrzyłam na gładkie, proste deski, deski, które nikogo nie oszukiwały.

— Cóż się tak Krysia przypatruje? — zapytała mnie Katarzyna.

Zaczerwieniłam się.

— To dlatego, że jest ładnie wymyta — skłamałam. Katarzyna uśmiechnęła się z zadowoleniem.

— Prawda?! — powiedziała. — Już tak szorować, jak ja, to niewiele dziewcząt potrafi! Z Krysi to jeszcze będzie gospodyni, że się tak zaraz poznała! Inne dziewczęta to się mnie nawet nieraz pytają: „Jak ty to, Kasiu, robisz, żeby była taka żółciutka? A może to drzewo takie?” A ja — nic! Ale paniące to powiem: obierzyn z cebuli dodają do ługu i od tego taka się żółta robi, że wygląda, jakby to nie sosna była, ale — jesion!...

15

### III. Podwórze

Okna mego pokoju wychodziły na podwórze.

„Niestety” — mówił o tym ojciec i wzdychał. Bo właśnie dlatego mój pokój był taki ciemny i duszny. Wietrzenie niewiele pomagało. Z wąskiej i głębokiej studni podwórza, zamkniętej z czterech stron murami trzypiętrowych, odrapanych oficyn, cuchnęło w południe smażonym na złych tłuszczach mięsem, kiszoną kapustą lub szabasową rybą, po południu i wieczorem pomyjami i mydlinami. Mur kamienic był ciepły i zdawał się pulsować życiem. Życiem zapobiegliwej krzątającej się około porządków domowych, życiem tysiąca nie znanych mi spraw i ich radości i smutków. Ale co mnie najbardziej uderzało, to owe kłótnie, swary i jakieś dziwne rozdrażnienie nurtujące podwórze. Podwórze bowiem na Karmelickiej, tak jak i ulica, nigdy nie było ciche. Już o świcie rozpoczynały dzieci swe zwady i bijatyki napełniając je krzykiem, płaczem i hałasem, od rana aż do wieczora. W spory ich mieszały się niebawem matki.

■ — Ja ci, łobuzie jeden, gnaty poprzetrącam, jak będziesz moją Manię zaczepiać! — krzyczała ze swego okna do Franka od pani Walczakowej szewcowa, pani Malinowska.

— Ile razy ci mówiłam, żebyś się nie bawił z tą jędzą Mańką?! — odpowiadała jej natychmiast ze swego okna pani Walczakowa.

A potem pani Kosowa kłóciła się z panią Mazurkiewiczową o „klucz od góry” i jakaś służąca z dozorcą o trzepanie dywanów. A potem przychodził kataryniarz i „handełes”, którego dozorca wyrzucał z kamienicy, a potem jakaś pani wymyślała służącej, że jak ją po coś posłać, to dwie godziny stoi „na bramie”, i służąca z trzeciego piętra opowiadała przez okno koleżance z pierwszego piętra, jak spędziła niedzielę i co się jej śniło, i jakiś głos wołał długo, uparcie i widocznie bez żadnego skutku:

— Iziu! Ty łobuz, ty! Pójdiesz czy nie pójdiesz na górę?!...

16

A w lecie jeszcze późnym wieczorem, kiedy już od dawna leżałam w łóżku, słyszałam, jak z kuchennych ganków rozmawiały ze sobą służące. Głosy ich jednak były jakieś inne niż w dzień. Zatracały jak gdyby swoją krzykliwość i dalekie ich i niezrozumiałe słowa natychmiast prawie roztopiały się w ciszy. Czasem któraś z nich nuciała. Najczęściej — „Do ciebie lecą te rzewne tony”... Ale także jakoś inaczej niż przy trzepaniu lub prasowaniu — głosy ich nocą były bliskie i smutne.

Tak więc wiedziałam dużo o podwórzu, choć nie wolno mi było nigdy na nie schodzić i chociaż

przez cały czas, gdy mieszkałam na Karmelickiej, przeszłam przez nie może trzy razy, i to jedynie dlatego, że odświeżano frontową klatkę schodową.

A jednak (choć niejednemu wyda się to może bardzo dziwne) długi czas najgorętszym moim marzeniem było bawić się właśnie na tym brudnym, odrapanym, cuchnącym podwórzu.

IV- Dzieci z podwórza

Bawiły się na nim cały dzień, a ja mogłam tylko przyglądać się temu.

W ogrodzie nie wolno mi było bawić się z nieznanymi dziećmi, gdyż zawsze panowały jakieś epidemie. Koleżanek nie miałam, gdyż nie chodziłam do szkoły: byłam bardzo wątła i chorowita i uczono mnie w domu. Tak więc poza nielicznymi odwiedzinami dzieci znajomych i krewnych, które z powodu swej rzadkości były trochę ceremonialne, i poza uroczystościami rodzinnymi (z czekoladą, ciastkami z kremem, czapkami z kolorowej bibułki i latarnią magiczną) nie obcowałam wcale z dziećmi. Toteż życie dzieci z podwórza pochłaniało mnie całkowicie.

Zapewne, nie wszystko na podwórzu mi się podobało.

Dzieci na Karmelickiej nie były wcale „miłe”. Były się ciągle między sobą, skarżyły na siebie, oszukiwały się w grach

13

(mogłam to stanowczo stwierdzić z mego obserwacyjnego punktu w górze), dokuczały słabszym, a bały się silniejszych, przedrzeźniały jednego z chłopców, który był kulawy, prześladowały Sabinę i Izia tylko dlatego, że byli Żydami, mówiły „brzydkie wyrazy”.

Wszystko to widziałam dobrze i oprócz Sabinki, o której opowiem później, ani jedno z nich nie pociągało mnie właściwie. Uważałam jednak, że życie, które prowadzą, jest tak bogate, barwne i zachwycające, że zazdrościłam im go z całego serca. Zwłaszcza chłopcom. Chłopcy bawili się najczęściej w bandytów albo Indian. Podwórze nie było dla nich podwórzem, ale dżunglą, brama — jaskinią, a kuchenne schody — Górą Skalistą. Do krain tych przybywali na papierowych łódkach płynących kanałami i na dany sygnał uciekali przed „bladą twarzą”, którą to „bladą twarzą” reprezentował dozorca Mateusz, walący ich miotłą za nieporządki i wrzaski na podwórzu. Bo Mateusz z podwórza to nie był wcale ten kłaniający się i przypochlebnie uśmiechnięty Mateusz z frontowych schodów! To był groźny i okrutny dyktator i prześladowca. To był prawdziwy „postrach dżungli”, wróg, którego trzeba było unikać.

Dziewczęta bawiły się w gospodarstwo. Ale nie w takie zwykłe, nudne gospodarstwo! Było to gospodarstwo, do którego wszystko trzeba było z wielkim niebezpieczeństwem zdobyć (naparstek wykradzony matce na filiżankę dla lalki, szmatka na sukienkę) albo zrobić (łóżka dla lalek pozbijane z desek i komody z pudełek od zapalek). Istne gospodarstwo Robinsona!

Pewnego razu mama stanąwszy w oknie mego pokoju zobaczyła, że cała grupka dzieci liże po kolei jeden cukierek (tym razem nie szachrowali nawet, ale lizali sprawiedliwie).

— Biedne dzieci! — westchnęła mama.

Spojrzałam na nią zdziwiona.

Co do mnie, to nie żałowałam ich wcale.

Tak bardzo pragnęłam móc wziąć udział w tym lizaniu cu-

19

kierka i ślizgać się na jednej łyżwie po zamrożonej kałuży, i walczyć z groźnym Mateuszem!

„Biedne dzieci?!“ Nie, doprawdy —■ ta mama!

— To wcale nie są biedne dzieci! — oświadczyłam stanowczo. — Biedne dzieci to są te dzieci, dla których ciocia Agnieszka zabiera moje stare zabawki. Te takie trochę przygłupie.

— Dlaczego „przygłupie”? — zapytała z niezadowolaniem mama.

— A bo ciocia Agnieszka zawsze mówi, żeby wybierać te połamane zabawki, którymi ja się już zupełnie nie bawię, bo one się wszystkim cieszą.

— Hm... Czy naprawdę tak powiedziała?

— Tak. A gdzie ona je hoduje, mamusi?

— Jak to „hoduje”?

— Bo przecież ona ich musi chyba gdzieś trzymać, tych biednych?

— Bój się Boga! Co ty wygadujesz, Krysia?! — zdziwiła się mama.

— No, skoro mówi zawsze o nich „moi biedni”?... Mama odwróciła się dziwnie gwałtownie i szybko wyszła

z pokoju. Robiła tak zawsze, ilekroć nie chciała się przy mnie roześmiać. Tym razem nie wiedziałam jednak doprawdy, co ją tak bardzo rozśmieszyło. Tym bardziej że co do dzieci z podwórza, to okazało się wkrótce, że miałam słusność. Nie były to wcale „biedne dzieci”. Od jednego z nich dostałam nawet podarek. Najpiękniejszy podarek, jaki otrzymałam w życiu.

V. Sabinka

Sabinka przyszła do nas po raz pierwszy z matką. Matka Sabinki była pończoszarką. „Łapała oczka”, „nadrabiała pięty i stopy”, naprawiała swetry.

Na podwórzu Sabinka bawiła się zawsze sama. Przykuciała

20

cichutko na jakichś schodkach albo wynosiła sobie niziutki, drewniany stołeczek. Obok siebie sadzała dużą lalkę z gałga-nów, która nazywała się Ryfka, i robiła dla niej sweterek na drutach. Opowiadała jej coś przy tym nieustannie, ale co, tego już nie mogłam z wysokości pierwszego piętra usłyszeć.

Sabinka nie kłóciła się nigdy z nikim i nigdy nie krzyczała ani nie płakała. Przemykała się między dziećmi cicha i zgrabna jak myszka, mimo swej długiej aż po pięty, płaczącej się pod nogami barchanowej sukienki. Była o rok młodsza ode mnie, miała najwyżej osiem lat. Ale wyglądała na sześć, taka była wątła i drobniutka.

Tylko jej ogromne szare oczy, w długich, ciemnych rzęsach, patrzyły poważnie i wcale niedziennie. I kiedy tak stała trzymając się szerokiej spódnicy swojej matki i przyglądała mi się z ciekawością tymi szarymi oczyma, to bardzo chciałam, żeby została i żeby poszła ze mną do mego pokoju, i żeby bawiła się ze mną, i żebyśmy mogły tam być długo, zupełnie same, bez dorosłych. Ale byłam bardzo grzeczna, bardzo nieśmiała, nigdy nie napierałam się niczego i wcale nie wiedziałam, jak do tej sprawy przystąpić.

A tymczasem moja mama z matką Sabinki obejrzały już leżące na stole pończochy i omówiły, które się „jeszcze opłaci”, a które „już nie”, i matka Sabinki zaczęła się żegnać.

— Ukłoń się pani! — powiedziała już nawet do Sabinki, ale właśnie wtedy zdecydowałam się nagle i cała czerwona ze wstydu wykrztusiłam:

— Czy... czy ona nie mogłaby zostać?

Poszło nadspodziewanie łatwo. Mama skinęła przyzwalająco głową i powiedziała:

— Ależ tak, jeżeli oczywiście mamusia jej pozwoli. Mamusia jej pozwoliła.

— Dlaczego ja nie mam pozwolić? — zapytała nawet. — Niech ona się pobawi z panienką.

A sama Sabinka bez chwili wahania włożyła swoją szczu-

21

płą, maleńką rączkę w moją i pozwoliła się zaprowadzić do mego pokoju.

Tylko Fraulein Anna podniosła lekko w górę brwi, jak zwykle, gdy uważała, że popełniłam coś bardzo niestosownego. I zazwyczaj takie podniesienie brwi — wystarczało, ale tym razem nie obeszło mnie wcale: zanadto byłam szczęśliwa! Szłam z Sabinką za rękę przez korytarz, z dumnie podniesioną głową. Doznawałam nieledwie uczucia, jakbym zdobyła ją dla siebie.

Przed samymi drzwiami mego pokoju spotkałam Jana, który powracał z tacą do kuchni.

— To jest jedna dziewczynka, która przyszła do mnie! — oznajmiłam mu. — Do mnie! — powtórzyłam z naciskiem.

— O! — powiedział tylko Jan, ale w tym „O!” było wiele podziwu i aprobaty.

Weszliśmy do mego pokoju i od razu wszystko ułożyło się cudownie.

Zupełnie inaczej, niż kiedy czasem przychodziły do mnie inne dzieci.

Nie było między nami ani chwili naprężenia, ani chwili tego nieprzyjemnego uczucia, kiedy to nie wiadomo z początku, co robić z gościem, i kiedy gość także nie wie, co robić ze sobą, i stoi jak na rozpalonych węglach.

Ani jednej takiej chwili, gdy proponuje się grzecznie:

■— Może chcesz się pobawić w domino, a może w halmę albo loteryjkę? — i jednocześnie zasłania się dyskretnie lalki i gospodarstwo, bo nie wiadomo, czy gość nie będzie „robił dorosłego”.

Sabinka podeszła od razu do gospodarstwa i lalek, ale zrobiła to nie tylko inaczej niż wszystkie dzieci, które znałam, lecz także inaczej niż ja sama.

Nie podeszła do nich wcale jak do zabawek.

Było to od razu tak, jakby jedna matka, która ma dzieci, gospodarstwo i wszystkie związane z tym radości, smutki i kłopoty, przyszła do drugiej matki, która ma je również.

22

Brała z miłością na rękę moje dziewczynki i cieszyła się, że są takie różowe i ładne, i dobrze wyglądają, pokiwała ze smutkiem głową nad moim kulawym chłopczykiem, zapytała rzeczowo, czy moja kuchnia „dobrze pali” i czy jest w niej piecyk do ciasta, powzdychała nad porcelaną, że to się tak tłucze. I od razu każda rzecz, którą Sabinka brała do ręki, zyskiwała jakiś rzeczywisty sens i wagę, zupełnie jakbym dotychczas nie znała moich zabawek.

— Kiedy przyjdę jutro — powiedziała — przyprowadzę swoje dzieci!

Bo od razu rozumiało się, że przyjdzie jutro.

— Prawda? Prawda, mamó? — prosiłam po jej odejściu, mimo że brwi Fraulein Anny znajdowały się już prawie na początku czoła.

— No dobrze, już dobrze! — śmiała się matka. — Właściwie to masz trochę za mało towarzystwa. Ale tego to już Fraulein Annie było naprawdę za wiele. Nieco drżącym i śmiesznie załamującym się głosem zapytała, czy gnddige Frau \* uważa, że ona nie potrafi należycie zająć Krysi? I czy potrzeba aż do tego naprawdę jakiejś „dziewczynki z podwórza”?

Mama, którą już znowu bolała głowa, niechętnie machnęła ręką:

■— Ale cóż znowu! Cóż znowu! Nie powiedziałam przecież nic podobnego! Każdemu dziecku potrzebne jest towarzystwo dzieci — to chyba jasne.

Nie, dla Fraulein Anny nie było to wcale tak zupełnie jasne.

Fraulein Anna „ośmielała się zwrócić uwagę, gnddige Frau, że maniery tych dzieci bywają bardzo, bardzo rozmaite. I że szczególnie ta Sabinka... Dlaczego właściwie Sabinka?”

Ale mama nie widziała powodów, „dlaczegoż by właśnie nie Sabinka?”

\* G nadlg e Frau (niem.) — łaskawa pani.

23

I w głosie jej czuć było coraz większe rozdrażnienie.

Więc Fraulein Anna jako ostatni argument rzuciła jeszcze, że przy obecnej epidemii odry i szkarlatyny... I że ona za nic nie bierze odpowiedzialności!

Struchlałam, gdyż to zawsze przeważało szale, i byłam już prawie pewna, że wszystko jest stracone.

Ale, ku mojemu zdumieniu, mama zmarszczyła brwi i odpowiedziała chłodno, że nie wymaga od Fraulein Anny, aby brała za cokolwiek odpowiedzialność.

Fraulein Anna nie pocałowała mnie tego dnia na dobranoc. Ale nie zrobiło to na mnie wrażenia: byłam zanadto szczęśliwa!

I całą noc śniło mi się, że idę z Sabinką i jej lalką Ryfką przez ogromny las. I nagle zza jakiegoś krzaka wypada dozorca Mateusz i grozi nam grubym kijem:

— Ja wam dam, łobuzy!

Ale my z Sabinką uciekamy prędko, prędiutko, aż na szczyt wsokiej góry czy też może schodów. Siadamy sobie we framudze okna, w rozkoszonym poczuciu bezpieczeństwa, i liżemy długie, farbowany cukierek od pani Rudzkiej. Raz ja, a raz ona!

VI. Dziecko Elfów

Sabinką przyszła nazajutrz z Ryfką. Ryfka była bardzo brzydka. Uszyta była z gałganów, ręce jej nie posiadały dłoni, a nogi stóp, gutaperkowa zaś głowa miała dziwnie bezmyślny i tępy wyraz. Jej idiotycznie wytrzeszczone niebieskie oczy zdawały się mówić: nie rozumiem nic z tego, co się wokół mnie dzieje i zresztą jest mi wszystko jedno, bo mogę być przyszyta do każdego innego tułowia...

Doprawdy musiałam się przemóc, żeby tę Ryfkę wziąć na ręce — nie chciałam sprawić przykrości Sabine.

Sabinką jednak zdawała sobie widocznie sprawę z wraże-

24



nia, które wywarła na mnie Ryfka, gdyż powiedziała z westchnieniem:

— Mądra to ona nie jest ta moja Ryfka... ale — dodała natychmiast — dla swojej mamy to ona jest zawsze ładna i ja ją bardzo Kocham!

I przytuliła ją do siebie z czułością.

I od tego powiedzenia, i tego ciężkiego macierzyńskiego westchnienia Ryfka zrobiła się jakaś bliższa i miłsza.

— Ale mówiłaś, że masz jeszcze synka — zapytałam chcąc niejako odwrócić uwagę Sabinki od tej przykrej sprawy. — Dlaczego i jego nie wzięłaś?

Smutne oczy Sabinki stały się naraz wprost promienne ze szczęścia.

— Tak, mam jeszcze synka! — powiedziała wolno, rozciągając słowa i w głosie jej zabrzmiał jakiś nie znany mi dotychczas ton. — Mam takiego synka, jakiego nikt oprócz mnie nie ma! Jest malutki, zupełnie malutki. Śpi w mięciut-kim łóżeczku, które mu sama zrobiłam i — nie pokazuję go nikomu!

— Ale — zapytałam nieśmiało. — Ale... mnie pokażesz go? Prawda?

— Tak — skinęła głową Sabinka. — Tobie pokażę. Wtedy, kiedy nikogo nie będzie z nami.

— To może w niedzielę? W niedzielę Fraulein Anna wyjdzie i będziemy cały czas same.

— Dobrze — zgodziła się Sabinka. — Ale pod tym warunkiem — i tu zmarszczyła brwi i poczerwieniała cała z gniewu i wstydu — pod tym warunkiem, jeżeli nie powiesz nigdy, że to jest dziecko ze słoja!

— Jak to... dziecko ze słoja? — wyjąkałam zdumiona.

— Bo widzisz... — powiedziała Sabinka i jej pewność siebie znikła nagle bez śladu — bo widzisz... jak na niego tak nieuważnie popatrzeć... jak mu się tak zupełnie dobrze nie przyjrzeć... to on jest trochę podobny do tych dzidziusiów z cukru, ze słoja od pani Rudzkiej...

26

— Ach!... — powiedziałam tylko. A potem dodałam szybko: — Ale tamte dzidziusie z cukru są bardzo ładne! Zawsze chciałam, żeby mi Katarzyna kupiła takiego dzidziusia. Tylko mama nie pozwala.

Sabinka spojrzała na mnie ze złością, zaczerwieniła się znowu i nawet tupnęła nogą.

— Tak! — zawołała. — Mogą sobie być ładne, ale mój nie jest ze słoja — rozumiesz? Co innego jest przecież cukierek do smoktania, a co innego dziecko! Nie?!

— No tak — zgodziłam się skwapliwie. — Oczywiście... oczywiście, że nie jest ze słoja!

Dlaczegoż miałabym mówić, że jest ze słoja?

Sabinka jednak, już znowu zmieszana i niepewna, szepnęła cicho:

— Bo widzisz... ja nie wiem tak zupełnie na pewno, czy on tam kiedyś nie był...

Milczałyśmy obie długą chwilę.

— No... — powiedziałam wreszcie, nie patrząc jej w oczy — to właściwie niczego nie dowodzi...

Czasem dzieci bywają po prostu — podrzucone...

Sabinka odetchnęła z ulgą.

— Tak! — zawołała. — Słyszałam nawet raz, jak mama czytała z gazety! Teraz już rozumiem, dlaczego on był w tym słoju!

I w niedzielę Sabinka przysła z synkiem.

Był prześliczny! Był piękniejszy, niż można to było sobie wyobrazić w ciągu całego tygodnia rozmów z Sabinką!

Leżał taki mały, taki zupełnie malusieńki, bezbronny i różowy jak płatek róży, w łóżeczku z pudełka od zapalek wykpionego błękitnym papierem, na białym puchu, wyskubanym z lśniącego jedwabiu, przykryty malusieńką kołderką z błękitnej włóczki. Był tak czarujący, że chciało się go pocałować, a zarazem tak delikatny, że nie miało się odwagi tego uczynić!

27

— Jak mogłaś przypuszczać, że pomyślę, że on jest ze słoja! — szepnęłam w zachwycie — przecież to jest dziecko elfów!

— Co znaczy „dziecko elfów”? — zapytała zdumiona Sabinka.

I okazało się, że nie wiedziała nic, ale to zupełnie nic o elfach!

Wprawilo mnie to w ogromne zakłopotanie. Bo jakże objaśnić komuś, co to są elfy, jeżeli przecież wiadomo, że elfów naprawdę nie ma, że to jest tylko taka bajka? Co innego, jeżeli tamten także wie i także uważa, że „na niby” to jest prawda... A tak... może cię po prostu wyśmiać. Ale trudno. Opowiedziałam Sabince o elfach i nawet pokazałam jej czarno na białym w ilustrowanym wydaniu bajek Andersena, jak elfy wychodzą nocą z kielichów kwiatów i jak tańczą. Sabinka nie odrywała ode mnie swych ogromnych, szarych oczu i zaledwie śmiała oddychać.

— Więc one mieszkają w kwiatkach? W doniczkach? — zapytała.

— W jakich znowu doniczkach?!

I zaraz okazało się, że oprócz kwiatów w doniczkach na oknie w suterenie i kwiatów z bibułki Sabinka nie widziała innych kwiatów.

Tutaj stałam już na pewniejszym gruncie. Nie odczuwałam tego lekkiego skrępowania jak przy opowiadaniu o elfach, skrępowania wynikającego z tego, że nie byłam zupełnie pewna, czy Sabinka rozumie, że to nie jest „naprawdę”.

Mówiłam o kwiatkach w ogrodach, na łąkach, na polach i w lesie. O motylach, pszczołach i ptakach. Pokazywałam obrazki w książkach. Wreszcie przyniosłam z drugiego pokoju pęk lilii, które przysłała memu ojcu jakaś wdzięczna pacjentka.

W miarę jak mówiłam i objaśniałam, oczy Sabinki rozszerzały się coraz bardziej, a jej drobna twarzyczka bladła. A gdy przyniosłam lilie, pochyliła się nad nimi, dotknęła ich ostrożnie palcem i powiedziała drżącym głosem:

28

— Czy to jest naprawdę żywe?

— Ależ naturalnie, że jest żywe! Powąchaj tylko.

I Sabinka jeszcze raz powąchała kwiaty i dotknęła płatków, a potem zapytała:

— Czy te elfy, co w nich mieszkają, jedzą? Zmieszałam się bardzo, bo zrozumiałam, że Sabinka jednak

myśli, że elfy to „naprawdę”...

Zdziwiło mnie to nawet trochę. Taka rozsądna dziewczynka, a tu naraz...

Byłam jeszcze za mała, żeby zrozumieć, że lilie, które pierwszy raz w życiu oglądała Sabinka, i to wszystko, co opowiadałam jej o polu, łące i lesie, mogło wydać się jej bardziej zdumiewające i nieprawdopodobne niż elfy.

Stałam więc zmieszana, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

— No — powtórzyła Sabinka. — Co one jedzą? Czy one zbierają sobie same miód jak te muchy, coś o nich mówiła? I gdzie one chowają się, jak jest deszcz, takie maleńkie i same w tym lesie?

I w głosie jej było tyle prawdziwej macierzyńskiej troski, że nagle moje skrupuły pierzchły:

wszystkie bajki z książek stały się pod spojrzeniem Sabinki tak samo rzeczywiste i żywe jak moje zabawki.

Długo jeszcze rozmawialiśmy tego dnia przykucnąwszy w kącie pod piecem. Głównie o niebezpieczeństwach grożących dzieciom elfów.

Opowiedziałam jej historię o CaUneczce porwanej przez chrabąszcza i Sabinka przysięgła sobie nie zostawiać nigdy łóżeczka swego synka na oknie. A na pożegnanie powiedziała

jeszcze:

— Będę przynosić go codziennie, on będzie nasz wspólny. Dobrze?

— Dobrze! — odpowiedziałam z mocno bijącym sercem. — I nie pozwolimy, żeby go ktoś skrzywdził. Będziemy go razem pilnowały!

29

VII. Fraulein Anna „wiedziała przecież od razu”

Pewnego dnia wstałam z silnym bólem głowy. Wstrząsały mną dreszcze. Oczy piekły i dziwnie łzały. Na spacerze byłam tak zmęczona, że nie doszliśmy nawet do Saskiego Ogrodu. W domu zmierzono mi temperaturę i natychmiast powstał gwałt i krzątania. Mama sama rozbierała mnie i kładła do łóżka, w drugim pokoju Jan dzwonił do szpitala do tatusia, a później do wujka Antosia, który był kolegą mego ojca i pojawiał się w domu, ilekroć byłam chora. Fraulein Anna przysuwała do mego łóżka stolik, przez drzwi zaglądała zatroskana Katarzyna.

Przyjemnie tak było leżeć na chłodnej, świeżo powleczonej pościeli, trzymać rękę mamusi w swoich rękach i nie potrzebować się już nareszcie ruszać.

Ale wkrótce w korytarzu odezwał się dzwonek i tatuś z wujkiem Antosiem weszli do pokoju. I znowu było przyjemnie, że ojciec jest o tej porze w domu i jego tak zawsze dalekie i zamyślane oczy patrzą teraz na mnie, tylko na mnie, z niepokojem i troską.

Ale wuj Antoś już odsuwał wszystkich.

— Miejsca dla mnie! — wołał po swojemu głośno i wesoło. — Muszę zatelefonować!

I już przykładł mi słuchawkę do pleców, gniótł, pukał, zaglądał do oczu i do gardła.

— Cha! Cha! — śmiał się. — Nic strasznego, moja panno! Tylko że będziesz wkrótce wyglądała jak pomidorowa zupka — odra!

— Mój Boże! — powiedział ojciec. — Trzeba będzie bardzo uważać! U tego dziecka nic nie przechodzi bez komplikacji.

Fraulein Anna stała w nogach łóżka i potakiwała ze smutkiem głową.

— Ta Sabinka chodzi, zdaje się, do przedszkola — powie-

30

działa. — A w przedszkolach teraz wszędzie... Wiedziałam od razu... Dobrze, że nie szkarlatyna!

Mówiła to wszystko cicho, ze spuszczonej oczyma, nie patrząc na mamę.

Mama nic nie odpowiedziała. Bawiła się tylko nerwowo frędzlą szala. Ale ja wybuchnęłam płaczem.

— A to co znowu?! — zawołał śmiejąc się wuj Antoś. — Taki mały tchórz?! Zaraziłaś się widocznie od swoich rodziców, którym się wydaje, że nawet katar jest groźną chorobą, którą tylko ty przechodzisz! Nie bój się! Za trzy, no, za cztery tygodnie pójdziesz już na łyżwy, o ile, ma się rozumieć, twoi rodzice cię puszcza. No! wstydz się!

Ale ja płakałam dalej. Płakałam całym morzem gorących łez, bo od razu wiedziałam, że już nigdy więcej nie zobaczę Sabinki.

VIII. Dziura pod progiem

Pod progiem w moim pokoju utworzyła się dość duża szpara.

Na tę szparę pierwsza zwróciła mi uwagę Sabinka.

Sabinka była pod takim wrażeniem moich opowiadań o elfach i krasnoludkach, że w ciągu dwóch tygodni naszej przyjaźni widziała je wszędzie, na każdym kroku. Szczególnie krasnoludki, gdyż elfy żyły w dalekiej i zupełnie nie znanej Sabince krainie lasów, pól i łąk. Krasnoludki natomiast mieszkaly i w domach, w szparach i mysich dziurach. A przy tym nie żywiły się, jak elfy, miodem i rosą, lecz okruciami pozostałymi z ludzkich stołów.

Sabinka miała zresztą o nich zupełnie swoiste pojęcie. Zdaje się nawet, że wyobrażała sobie, iż jest to coś w rodzaju pluskiew czy karaluchów, gdyż, ku memu ogromnemu oburzeniu, zapytała mnie:

— Czy one gryzą?... — W każdym razie dziura pod progiem wydała się Sabince podejrzana, a ja

31

poczułam się tymi przypuszczeniami Sabinki rozkosznie podniecona i zatrwożona.

— Czy nie uważasz, że powinniśmy rozszerzyć im to mieszkanie? — zapytałam. — Jest stanowczo za małe!

Tak. Sabinka uważała również, że jest małe.

Przyniosłam więc po kryjomu z kuchni pogrzebacz i wydłubałyśmy w spróchniałym drzewie daleko większą dziurę. Teraz była to prawdziwa mała jaskinia!

Ale jaskinia krasnoludków nie powinna wyglądać tak ciemno i ponuro. Tłumaczyłam długo Sabince, że jaskinie krasnoludków aż lśnią od srebra, złota i drogich kamieni o tak cudownym blasku, że blask ten rozjaśnia ich wnętrza tęczowym światłem.

Zabrałyśmy się więc natychmiast do roboty.

Przede wszystkim wyciągnęłam z szuflady zbierany od dawna srebrny papier od czekolady i wyłożyliśmy nim całą jaskinię.

Trapiły mnie co prawda wyrzuty sumienia, gdyż za ten papier miałam wykupić niewolnika w Chinach, ale pocieszyłam się myślą, że Chińczycy nie oddaliby pewnie niewolnika za sam papier bez czekolady... Następnie u samego wejścia do jadalni wyciąłam (także ze srebrnego papieru)

długie sople (stalaktyty), a na sklepieniu zawiesiliśmy, niby lampę, olbrzymi rubin, z rubinowej kulki pozostałej z choinki.

Gorzej było ze skarbami.

Przypomniałam sobie jednak o rozsypanych złotych, czerwonych i zielonych koralikach od krakowskiego kostiumu — i oto cała jaskinia zasypana była klejnotami! Wyglądała teraz naprawdę wspaniale! Chodziło tylko o to, by jakiś niepożądany gość nie zajrzał do jej srebrnego wnętrza.

Sabinka zaradziła temu.

Przyniosła z domu kawałek szerokiej drewnianej listwy, którą zasłoniłyśmy dokładnie wejście. I teraz, pierwszej nocy mojej choroby, wydało mi się, że

32

ktos z wewnątrz odsuwa listwę i z jaskini wygląda ostrożnie maleńki brodaty człowieczek w czerwonym kapturku.

— Więc tam są naprawdę krasnoludki! — zawołałam.

Ale mama położyła mi chłodną rękę na czole i powiedziała:

— To ci się tak zdaje, kochanie. Masz gorączkę. Śpij, śpij, córuchno. Nie bój się!

Zamknęłam oczy, ale nie mogłam zasnąć.

Jakiś niewidoczny ruch panował w pokoju.

Zupełnie — jakby ktoś tak cicho, że prawie niedosłyszalnie, kręcił się po nim, coś wnosił, coś wynosił, wchodził i wychodził.

Otworzyłam oczy i zobaczyłam w przyćmionym świetle nocnej lampki, że z jaskini pod progiem wychodzą dziesiątki małych człowieczków.

Było ich tak wielu, że ze zdziwieniem zadałam sobie pytanie: jakim sposobem mogli się tam wszyscy pomieścić? A każdy niósł na plecach jakieś zawiniątko. Jeden z nich potknął się i upadł, zawiniątko rozwiązało się i zobaczyłam, że były w nim same klejnoty: złote, czerwone i zielone koraliki od krakowskiego kostiumu...

Patrzyłam na to obojętnie, bez strachu i bez wzruszenia, tak jak na coś zupełnie codziennego i zwykłego.

Nagle jeden z człowieczków odłożył swoje zawiniątko, rozpedził się i wskoczył wprost na moją poduszkę.

Ale i teraz nie przestraszyłam się.

„Mam gorączkę i to mi się przecież wszystko śni” — pomyślałam.

Mały człowieczek patrzył na mnie chwilę smutnie, a potem powiedział:

— Nie, to ci się wcale nie śni. Wyprowadzamy się. I teraz przeraziłam się nie na żarty.

— Nie możecie się wyprowadzić! — zawołałam. — Sabinka by na to nie pozwoliła!

Ale człowieczek potrząsnął głową.

3 — Druga brama

33

- Nigdy już nie zobaczysz Sabinki! — powiedział surowo. — I to jest kara za tego chińskiego niewolnika, któregoś mogła wykupić, a którego nie wykupiłaś. Bo Chińczycy właśnie wolą srebrny papier niż samą czekoladę!

Więc zaczęłam płakać i zaraz małe człowieczki zniknęły i zapodziały się gdzieś bez śladu, a przy mnie była już znowu tylko mama.

— Przecież Sabinka nie może teraz przyjść — tłumaczyła mi. — Bo po pierwsze, jest noc, a po drugie, jesteś chora.

— A jak już będę zdrowa? — zapytałam.

— A jak już będziesz zdrowa... ■ — powiedziała niepewnie mama. — Jak będziesz zdrowa... to... zobaczymy...

Ale długo nie mogłam wyzdrowieć, bo tak, jak przepowiedział ojciec, nastąpiły komplikacje. Coś ze trzy tygodnie leżałam w łóżku. I nie byłoby mi nawet smutno, bo mama siedziała przez cały czas przy mnie i nawet tatuś, sam tatuś, który nigdy nie miał na nic czasu, grywał ze mną w loteryjkę. Byłoby mi nawet bardzo dobrze i wesoło, gdyby nie owo — „zobaczymy”.

Na próżno tłumaczyłam sobie w nocy, kiedy budziłam się czasem i nie mogłam zasnąć długie

godziny, że „zobaczymy” to nie znaczy przecież „nie”... W głębi serca wiedziałam wszakże, że to właśnie to znaczy...

Jeszcze kilka razy próbowałam zagadnąć mamę, ale jej odpowiedzi były zawsze jakieś wykrętne, niejasne. Aż wreszcie pewnego dnia oświadczyła:

— Przede wszystkim musisz postarać się dużo jeść, brać lekarstwa i być zdrowa. Kiedy wstaniesz z łóżka, to pomówimy.

I nie wiadomo dlaczego, te słowa znowu obudziły we mnie nadzieję.

Brałam bez sprzeciwu wszystkie lekarstwa, starałam się dużo jeść i czekałam upragnionego dnia, kiedy wuj Antoś pozwoli mi już nareszcie wstać.

34

Pewnego popołudnia, gdy drzemałam po obiedzie (byłam tak wyczerpana, że po każdym posiłku zasypiałam), usłyszałam, iż w sąsiednim pokoju mama mówi do kogoś:

— To doprawdy zdumiewające, jak ona się przywiązała do tej małej! I co ja mam teraz zrobić?

Gdyby po tej chorobie znowu coś innego...

A potem głos Katarzyny:

— Oni się wyprowadzają, proszę pani doktorowej, więc to się jakoś wszystko samo ułoży.

„Kto się wyprowadza? — pomyślałam zasypiając. — Krasnoludki?”

I wreszcie nadszedł upragniony dzień.

Ale z chodzeniem po pokoju było jeszcze bardzo trudno. Nogi ugiwały się pode mną, a kolana drżały mi tak dziwnie, jakbym wcale nie umiała chodzić. Posadzono mnie na fotelu, jednakże po pół godzinie sama już chciałam wrócić do łóżka.

I pewnie dlatego mama nie mówiła jeszcze ze mną tego dnia o Sabince.

Ani tego, ani następnego, ani tego, który przyszedł po następnym.

A jednak otrzymałam wiadomość od Sabinki.

Gdy siedziałam pewnego razu sama w fotelu, do pokoju wszedł Jan. Zachowywał się jednak tak dziwnie, że w pierwszej chwili wydawało mi się nawet, że to chyba nie może być ten sam, zawsze spokojny, pełen taktu, powagi i godności Jan. Wcisnął się do pokoju jakby ukradkiem, zajrzał do sąsiedniego przez dziurkę od klucza, jak mały chłopiec, który się obawia, że go przyłapią na jakiejś podejrzanym sprawie, a potem podszedł do mnie na palcach i powiedział cicho:

— Widziałem Sabinkę!

Odstawiłam na stolik szklanekę z mlekiem. Ręce poczęły mi nagle drżeć, a serce bić tak mocno i szybko, że aż mnie to bolało.

— Ona przychodziła codziennie pytać się o ciebie — mówił Jan. — Ale ta głupia Katarzyna wcale nie chciała z dzieckiem

35

gadać. Więc raz zastałem ją płaczącą na kuchennych schodach i powiedziałem jej, żeby dzwoniła od frontu. Wychodziłem do niej sam. — Tu zatrzymał się na chwilę, jak gdyby dając mi czas na oswojenie się z tą niezwykłą wiadomością.

Nie! Jan wychodził do niej sam! To się po prostu w głowie nie mieściło!

— A dzisiaj przysłała mi powiedzieć, że ona i jej matka wyprowadzają się bardzo daleko stąd, aż na koniec Mokotowa.

— Wyprowadzają się... — powtórzyłam drżącymi ustami.

— Tak. Ale ty nie powinnaś płakać! — powiedział surowo Jan. — Bo jak się ma przyjaciela, to wszystko jedno, gdzie on jest, jest zawsze z nami! Rozumiesz?

Nie rozumiałam, ale nie śmiałam ani rozplakać się, ani przyznać się do tego i skinęłam głową.

— Sabinka powiedziała — ciągnął dalej Jan — że zawsze będzie o tobie pamiętała, i prosiła mnie, żebym ci to oddał od niej.

Rozwinęłam paczuszkę, którą podał mi Jan. Był to synek Sabinki. Leżał różowy i maleńki w swoim błękitnym łóżeczku.

■7- Schowaj to dobrze! — powiedział Jan.

Wstałam z fotela i odsunawszy drewnianą listwę włożyłam go do srebrnej groty.

Nie mogłam się jednak nim bawić.

Ani nim, ani żadną zabawką, którą bawiła się Sabinka.

„Dziecko elfów” leżało tak długie tygodnie, zamknięte w ciemnej jaskini niby we wnętrzu srebrnego grobu.

Przed świętami Bożego Narodzenia przyszła do nas, jak zwykle, ciocia Agnieszka po zabawki i słodczyce dla „swoich biednych”. Towarzyszył jej piesek, gruby, czarny jamnik Pik. Pik dobrał się do dziury pod progiem, odrzucił listwę i połknął nasze dziecko: lubił bardzo cukier i wszędzie potrafił go wywąchać.

W ten sposób zniknęła z mego życia jedyna pamiątka po Sabince.

36

IX. Ludzie odchodzą i przychodzą

Bardzo zmieniałam się po chorobie.

Nie obserwowałam już życia dzieci na podwórzu.

Bałam się spojrzeć w ten jego kąt, gdzie na schodkach prowadzących do prawej oficyny najczęściej siadywała Sabinka.

W Saskim Ogrodzie Fraulein Anna nie musiała mnie teraz przestrzegać, żebym nie bawiła się z obcymi dziećmi. Ja sama stroniłam od nich. Ich bieganina, krzyki i śmiechy drażniły mnie.

Siadałam nieruchomo obok Fraulein Anny, zadowolona, że mogę nareszcie odpocząć, bo droga do ogrodu zrobiła się teraz dziwnie długa i męczyła mnie bardzo.

— Nie siedź tak ciągle! Pobiegaj sobie trochę — mówiła Fraulein Anna.

Ale ja nie chciałam ruszyć się z miejsca.

Dawniej pragnęłam bardzo ślizgać się, gdyż widziałam, jak wesoło bawili się na zamrzniętej kałuży chłopcy z podwórza. Rodzice zwlekali jednak z kupieniem mi łyżew, gdyż mój stryjeczny brat złamał nogę na ślizgawce. Obecnie jednak ojciec nie tylko że kupił mi łyżwy, ale stanowczo oświadczył, że powinnam co dzień chodzić z Fraulein Anną na lód. Jednakże teraz nie cieszyło mnie to wcale. Po chorobie zrobiłam się dziwnie ociężała, ciągle bolała mnie głowa i pragnęłam tylko tego, żeby pozostawiono mnie w spokoju. Toteż nigdy już chyba nie zapomnę tej zamrzniętej, oświetlonej lampami tafla, na której przy grzmiących dźwiękach orkiestry, potrącana przez przelatujących na łyżwach młodzieńców i panienki, oszołomiona rykiem trąb, ruchem i mrozem, na próżno usiłowałam utrzymać się na lodzie.

Stałam ze śmiesznie rozkraczonymi nogami nie mogąc zdecydować się ruszyć z miejsca, a Fraulein Anna syczała nad moim uchem:

— Jak długo będę tu stać przy tobie i marznąć?! Czy się nie wstydzisz?! Popatrz, jak młodsze od ciebie dziewczynki ślizgają się!

37

Dziewczynki w moim wieku, które słyszały, że są stawiane za przykład, zaczynały zazwyczaj natychmiast, niby od niechcienia, wykonywać wokół mnie taneczne ewolucje, a ja, nieprzytomna ze wstydu, ruszałam kilka kroków naprzód i padałam, po czym dziewczynki śmiejąc się pomagały mi wstać, Fraulein Anna nazywała mnie „niedźwiadkiem”, a fanfary orkiestry zdawały się głośno obwieszczać moją hańbę...

I znowu stawałam z rozkraczonymi nogami na lodzie, i znowu Fraulein Anna gniewała się, że nie ruszam naprzód. Była to po prostu jakaś nie kończąca się męczarnia, z której pozostała mi na całe życie odraza do ślizgawki.

Gdyby mama była zdrowsza i mogła ze mną iść na lód, zobaczyłaby, że jestem jeszcze zanadto wyczerpana po chorobie. Mama jednak czuła się w owym czasie gorzej i prawie zawsze leżała.

Mimo to zauważyła moje przygnębienie i często przywoływała mnie do siebie. Ale dziwna rzecz — nie mówiłam jej nic o Sabince.

Może dlatego, że wiedziałam, iż sprawi jej to przykrość, a mama była teraz taka bledziutka i słaba, że chociaż przyzwyczaiałam się już do jej choroby i nie bardzo zdawałam sobie jeszcze sprawę z jej powagi, to bałam się zmartwić ją czymkolwiek.

Może dlatego, że wiedziałam, iż Sabinka mieszka teraz tak daleko, że i tak nie mogłaby do mnie przychodzić.

A może po prostu dlatego, że nie pragnęłam już, żeby przyszła. Teraz, kiedy już nie było naszego

synka i kiedy nie mogłam już wyobrazić sobie, że w dziurze pod progiem mieszkają krasnoludki. Zawsze jednak przed zaśnięciem myślałam o Sabince. Z początku dlatego, że tęskniłam za nią, później dlatego, że wydawało mi się, iż obowiązkiem „wiernego przyjaciela” (wyrażenie Jana) jest — pamiętać.

Ale obraz Sabinki zacierał się coraz bardziej w mojej wyobraźni.

38

Nie mogłam już sobie przypomnieć ani jej twarzy, ani jej głosu, choć wiedziałam, że miała szare oczy i ciemne włosy i że głos jej był miły, mimo swego trochę chropowatego i gardłowego brzmienia. Z całej Sabiny pozostała mi już tylko długa, czerwona barchanowa sukienka, płacząca się wokół małych bosych nóżek.

Z początku czyniłam przez długie godziny wszelkie możliwe wysiłki, aby „zobaczyć” Sabinkę. Na próżno jednak starałam się sobie przypomnieć, jak stała, jak uśmiechała się, jak patrzyła. Na próżno przyciskałam nawet pięściami oczy, bo wydawało mi się, że potrafię z nich wycisnąć obraz Sabinki, podobnie jak się wyciska czerwone, zielone i niebieskie koła, jeżeli mocno przygnieść palcami powieki.

Więc powoli przestawałam myśleć o Sabince.

I przyszedł wreszcie dzień, gdy nawet o jej sukience „wiedziałam” tylko, że jest czerwona, ale jej nie „widziałam”, a bose nóżki odeszły już tak daleko, że nie dostrzegałam ich więcej.

Z początku płakałam z głową wtuloną w poduszkę, potem już nie.

Ale było mi bardzo smutno, gdyż zdawało mi się, że zdradziłam przyjaźń Sabinki.

Zwierzyłam się z tego Janowi, jednakże Jan pokiwał tylko głową i powiedział:

— Tak to, tak... Ludzie przychodzą i odchodzą... Tak to bywa w życiu.

X. Jasia

Mara czuła się coraz gorzej.

Koledzy tatusia odwiedzali nas często, a raz przyszło ich aż czterech i zamknęli się z ojcem w gabinecie na długą naradę. Tatuś był ciągle bardzo smutny i przy stole zamyślał się zapominając, że przecież trzeba jeść, a czasem nawet

39

o tym, że to w ogóle jest obiad i że my jesteśmy przy nim. Patrzył wtedy nie na nas, ale gdzieś przed siebie, jakby nas nie widział.

Raz, kiedy weszłam cicho do gabinetu, zobaczyłam, że mama siedzi z głową opartą o ramię ojca, a tatuś gładzi ją po włosach i mówi:

— Przecież to nie na zawsze, kochanie. Za kilka miesięcy wrócisz do nas. Wrócisz do nas — zdrowa.

Mama nie odpowiadała, tylko jej plecy drżały, zupełnie jakby płakała. Ale musiało mi się chyba tak zdawać, bo gdy mnie tylko zobaczyła, to zaraz uśmiechnęła się i powiedziała:

— Dobrze, żeś już przyszła. Obmyśliłam na dziś wspaniałą zabawę.

Bo mama zachowywała się teraz bardzo dziwnie.

Nigdy nie całowała mnie ani nie przytulała do siebie i nie pozwalała mi nawet podchodzić do siebie blisko, a jednocześnie przywoływała mnie nieustannie, jak gdyby nie mogła się ze mną rozstać, i bawiła się ze mną całymi godzinami.

Dawniej takie chwile spędzone z nią były dla mnie tylko rzadkim świętem, a jeżeli stan jej zdrowia się pogarszał, nie widywałam jej prawie wcale. Toteż chociaż niby to wiedziałam, że mamie jest gorzej, nie zdawałam sobie z tego sprawy. Wydawało mi się nawet, że wszystko wokoło mnie poweselało i nabrało barwy i blasku.

Mama umiała tak samo jak Sabinka nadawać wszystkim rzeczom i sprawom wokół siebie nową treść, tylko że czyniła to jakoś inaczej.

U Sabinki wszystko naokoło nabierało dlatego nowego znaczenia, że stawało się prawdziwe i rzeczywiste.

Lalki były prawdziwymi dziećmi, kuchnia — prawdziwą kuchnią, drewniana balijka — prawdziwą balią. I nawet elfy i krasnoludki stawały się jakieś rzeczywistsze i prawdziwsze, tak bardzo troszczyła się Sabinka o to, co jedzą, w co się ubierają i gdzie mieszkają.

U mamy znowu — zupełnie przeciwnie. Lalki nie były wca-

40

le dziećmi, lecz zaczarowanymi księżniczkami i rycerzami, którym robiła kostiumy z kolorowej bibułki, a potem lalki odgrywały całe sztuki, zupełnie jak w teatrze kukiełek.

Kuchenka znowu nie była czasami kuchenką, ale maszyną, lokomotywą, a nawet statkiem parowym — zależnie od tego, czego było potrzeba.

— To jest statek parowy — mówiła po prostu mama, i kuchenka stawała się statkiem parowym.

I tak było z każdą rzeczą, której tylko dotknęła. Bo w zabawach z mamą najpiękniejsze było właśnie to, że wszystkie rzeczy stawały się naraz nierzeczywiste, nieprawdziwe i tajemnicze.

Tym razem jednak mama bawiła się ze mną jakoś zupełnie inaczej. Nie było w tej zabawie ani czarowników, ani rycerzy i książąt, ani niezwykłych przygód i wypadków.

Po raz pierwszy bawiłyśmy się z mamą w zupełnie zwyczajny — dom. I odtąd już zawsze tylko w dom.

W tym domu mama była zwykle albo chora i leżała w szpitalu, albo wyjeżdżała, żeby gdzieś daleko pracować, albo musiała się udać w daleką podróż, a całym domem zajmowała się najstarsza córeczka.

„Najstarsza córeczka”, której rolę grałam zwykle ja, nie poddawała się przygnębieniu. Rozumiała, że mama wróci i że będzie jej bardzo smutno, jeśli zostanie ojca wynędzniałego i postarzałego z rozpacz, dzieci głodne, a cały dom opuszczony.

Najstarsza córeczka starała się więc być zawsze pogodna, pocieszała ojca, była pracowita i wesoła, opiekowała się młodszymi dziećmi.

I kiedy mama wracała, zastawała dzięki niej w domu pogodę, porządek i spokój.

Pewnego dnia zabawa ta zyskała jeszcze jedną uczestniczkę, która odgrywała w niej rolę „małej siostrzyczki”.

Mama wróciła z miasta z ogromnym pudłem i powiedziała z uśmiechem:

41

— Otwórz, to dla ciebie.

— Przecież to nie są imienniny! — zauważyłam zdziwiona. ■— Tak. Ale to jest na gwiazdkę.

— Ale to jeszcze nie gwiazdka! — Rozwiązywałam drżącymi z ciekawości i zniecierpliwienia palcami pogmatwane sznurki.

— Nie wiem, czy na gwiazdkę będziemy razem, więc dlatego... — odpowiedziała mama.

Nie zdążyłam się jednak zastanowić nad tymi słowami, tak bardzo oszołomiło mnie to, co ukazało się moim oczom po podniesieniu pokrywki pudła.

Była to lalka. Tak. Bez wątplenia. Nie chciało się jednak po prostu wierzyć, że to jest tylko lalka! Jej grube, różowe rączki, lekko podgięte, tłusciutkie nóżki z dziesiątkami rozkosznych fałdek, ale przede wszystkim prześliczne, uśmiechnięte, zupełnie nielalczyne, niebieskie oczy w długich frędzlach prawdziwych rzęs i mięciutkie jak u małego dziecka, wijące się włosy i dołeczek w okrągłej bródce — wszystko to sprawiało, że niepodobna było po prostu odnosić się do niej jak do lalki!

— Takie dziecko... takie prawdziwe dziecko... — powtarzałam nieprzytomna ze szczęścia, a potem dodałam: — Będzie się nazywała Jasia! — i przytuliłam ją do siebie. Ponieważ jednak nie miała nawet koszulki, a w pokoju było chłodno, więc prędko okręciłam ją szalem mamy.

Mama zauważyła to i powiedziała:

— Tak. Masz słuszność. Może się zaziębić. Ale jeszcze dziś zabierzemy się do roboty i uszyjemy jej wyprawkę.

I zaraz zaczęła wyjmować z szuflady płótno i batyst, koronki i włóczkę.

Jasia otrzymała wszystko, co tylko może posiadać małe dziecko. Mama, która nie lubiła ani szyć, ani haftować i którą bardzo rzadko widywałam dotychczas z robótką w ręku, sama szyła jej koszulki, obrębiała pieluszki i kocyki, robiła szydeł-

42

kiem włóczkowe kaftaniczki, czapeczki i buciczki, pikowała błękitną atlasową kołderkę.

Przez cały czas szycia tej wyprawki siedziałam oczywiście przykucnięta u jej nóg, z Jasią na



kolanach.

Byłam tak oszołomiona moim szczęściem, że nie odzywałam się wcale. Nie odrywałam tylko oczu od tych wszystkich prześlicznych maleńkich rzeczy, które robiła mama.

Za to mama mówiła przez cały czas. Była jakaś dziwnie ożywiona i podniecona, miała bardzo błyszczące oczy i ciemne rumieńce na policzkach i szyła tak prędko, jakby się bała, że nie zdąży. Mówiła o tym, że Jasia to nie jest zabawka, ale jakby prawdziwa siostrzyczka. Że będziemy się nią opiekowały razem, a gdyby ona gdzieś wyjechała, to ja zastąpię ją Jasi we wszystkim.

Będę ją ubierała i kołysała, i wychodziła z nią na spacer, i karmiła — dużo jest roboty przy takim dziecku!

Bardzo mi się podobało, że mama tak mówi, bo zabawa stawała się od tego jakaś zupełnie prawdziwa, a Jasia coraz bliższa i droższa. Wieczorem brałam ją do siebie do łóżka. Spała przytulona do mnie ufnie z opuszczonymi długimi rzęsami, taka śliczna, że już naprawdę nie wiedziałam, czy jest ładniejsza w dzień czy w nocy!

Ale nie wiadomo skąd i kiedy, w moją zabawę z mamą zaczął się wsączać niepokój.

Na herbatę przychodzili teraz codziennie wujciowie i ciocie, których się dawniej tylko bardzo rzadko widywało, i wszyscy żegnając się z mamą mówili z jakimś sztucznym ożywieniem:

Wrócisz opalona, silna i zdrowa! Doprawdy, zazdrościmy ci. Bagatela — Południe!

Ojciec był coraz smutniejszy, a ze strychu zniesiono duży kufer. Czasami wydawało mi się, że mama patrzy na mnie jakoś dziwnie, jakby oczekiwała czegoś. Ale ja nie pytałam o nic. Tylko nie oczekiwałam już, tak jak dawniej, zabawy z mamą, gdyż wydawała mi się zbyt podobna do prawdy,

43

a w nocy budziłam się z sercem ściśniętym zimną obręczą strachu.

„A jeżeli nawet pojedzie... a jeżeli nawet pojedzie na tydzień do babci do Krakowa, no to co? — starałam się uspokajać przytulając do siebie z całej siły Jasię. — A jeżeli nawet na dwa tygodnie?... Przecież już nieraz jeździła!”

Ale wiedziałam dobrze, że to nie jest taki zwykły wyjazd do babci.

Więc próbowałam inaczej:

„A skąd wiesz, że ciebie nie zabierze? Przecież nikt ci nie powiedział, że nie zabierze...”

Ale którejs nocy usłyszałam, jak Fraulein Anna rozmawiała z Katarzyną. Bo teraz Fraulein Anna często rozmawiała z Katarzyną, choć się właściwie nie lubiły.

Czy ja wiem, ile to może potrwać? — mówiła Fraulein Anna — może pół roku, może rok, a może i dłużej.

— Biedne dziecko! — powiedziała Katarzyna. — Ja bym tam na jej miejscu nigdzie nie wyjeżdżała. Ciepłe kraje! Jak się dobrze napali w piecu, to i w domu jest ciepło! A czy to nie może wyspać się i wyleżeć tutaj? Do roboty ją kto pędzi czy co? Pańskie fanaberie.

— Jeżeli wyjeżdża, to widocznie ma na to! — odpowiedziała Fraulein Anna. — A co do dziecka — dodała z urazą w głosie — to i tak ona się nim nie zajmuje, tylko ja.

— Pewnie! pewnie! — przytwardzała pojednawczo Katarzyna — ale zawsze mała będzie tęsknić.

— Ech., dzieci bardzo łatwo się przyzwyczajają i zapominają. Dostała nową lalkę i taka nią zajęta, że nawet nie pyta, kiedy matka wyjedzie i kiedy wróci.

— Na taką zabawkę to musiała chyba stara wyrzucić z pięćdziesiąt rubli, a do mnie to tylko ciągle:

„Oszczędnie, moja Katarzyno, oszczędnie, bo teraz ciężkie czasy i wydatków dużo!”

— Ja też nie jestem za takim psuciem dzieci, ale z tą lalką to może dobrze zrobiła. Zabawi się dziecko — i spokój.

44

„Więc to tak... — pomyślałam. — Więc to tak...” Wzięłam Jasię za kaftaniczek, wyciągnęłam ją spod kołdry i wyrzuciłam z łóżka.

Mijały długie godziny.

Leżałam cicho, nie płacząc.

Z początku w sąsiednim pokoju słyhać było jeszcze jakąś krzątaninę, a na korytarzu przyciszone głosy Fraulein Anny i Katarzyny.

Potem Fraulein Anna weszła do pokoju, zapaliła lampę przy swoim łóżku, rozebrała się szybko i po chwili w pokoju zrobiło się znowu ciemno. W sąsiednim pokoju ucichło również i wąska smuga światła, wpadająca przez szparę od drzwi, zgasła.

Nie spałam.

Leżałam nieruchomo, patrząc w ciemność.

Godziny mijały jedne za drugimi, nieskończenie długie, przerywane tylko biciem zegara ze stołowego pokoju.

Wreszcie za oknami zaczęło szarzeć.

Powoli z ciemności wyłaniały się kontury sprzętów, niewyraźne jeszcze i zamazane.

Szafa wyglądała jak ciemna, przytłaczająca masa, piec był kimś, kto wynurzał się z mroku, długi, barczysty i ponury. Suknia Fraulein Anny, rozwieszona na wieszaku, miała jakiś dziwny, na pół tylko martwy wygląd.

Na podłodze białała porzucona Jasia.

Jej wyciągnięte rączki zdawały się kogoś bezradnie wzywać, a całe biedne, dziecinne ciało wydawało się skostniałe z zimna.

Cicho zsunęłam się z łóżka, podniosłam ją i wśliznęłam się wraz z nią pod kołdrę.

Była zimna jak lód. Przytuliłam ją mocno do siebie — i wydawało mi się, że jej ciało rozgrzewa się powoli i że ona także przytula się do mnie.

Usnęłam.

45

XI. „Hop! Moja duża córeczka!”

W jakiś dziwny i niewytłumaczony sposób Jasia stała się teraz częścią mamy. Wystarczyło wetknąć nos w mięciutką wełnę jej włóczkowego kaftaniczka, żeby to poczuć. Nie tylko dlatego, że kaftaniczek zrobiony był z tej samej włóczki co sweter mamy, ale jak gdyby — ■ pachniał mamą. I kiedy w pierwszych dniach po jej wyjeździe przytulałam Jasię do siebie, to natychmiast topniały we mnie wszystkie dane matce przyrzeczenia. Coś poczynano dławić mnie w gardle i uciekałam prędko do kąpielowego pokoju, żeby nikt nie widział tego, co zaraz nastąpi. Ani ojciec, który „będzie się jeszcze więcej martwił”, ani Fraulein Anna, która powie z miną znudzonej męczennicy:

■ — Zajmowanie się cudzymi dziećmi nie jest przyjemnością — o, nie!

A już najbardziej — Katarzyna. Katarzyna, która zaraz zaczynała „wygadywać” na matkę.

— Ja, żebym była nie wiem jak chora, tobym dziecka samego nie zostawiła!

Więc żeby ani ojciec, ani Fraulein Anna, ani Katarzyna niczego nie spostrzegli, myłam długo i bezskutecznie oczy pod kranem w kąpielowym pokoju.

Bezskutecznie, gdyż podczas tego mycia płakałam dalej.

Nie mogłam się powstrzymać od płaczu, zupełnie jak gdyby gdzieś wewnątrz mnie zerwały się jakieś upusty.

— Czy nie wiesz, że będziesz miała znowu czerwone oczy?! — mówiłam do siebie z wściekłością. — Czy chcesz, żeby znowu wszyscy poznali?!

Ale łzy płynęły dalej niepowstrzymanie. A kiedy wreszcie udało mi się już uspokoić, to i tak nie było to na długo. Byłam teraz zawsze jak gdyby pełna tego płaczu i byle drobiazg — jakaś rękawiczka mamy, która leżała porzucona na fotelu, jakby mama wyszła tylko na chwilę, jakieś kroki na korytarzu, tak podobne do kroków mamy,

46

że serce kurczyło się gwałtownie i zamierało w oczekiwaniu, uchylone drzwi do jej pokoju (tego pokoju, który teraz był pusty) — wszystko to sprawiało, że łkanie, które przycichło już we mnie na chwilę, stawało się znowu silniejsze i nie mogłam go już pohamować.

— Tak! Tak! Masz powód do płaczu! — krzyczała Fraulein Anna. — Krzywdzę cię przecież! Biję cię! Jeść ci nie daję! Płacz! Co cię obchodzi, co sobie pomyśli ojciec, co sobie wszyscy o mnie pomyślą, ty złe, niewdzięczne dziecko!

Więc starałam się powstrzymać łkanie całą siłą woli, ale im bardziej się starałam, tym stawało się

ono silniejsze i bardziej szarpiące.

Więc znowu kąpielowy pokój i znowu kran, i znowu długie, bezskuteczne usiłowania.

„Nie trzeba w ogóle dopuszczać... — myślałam. — Nie trzeba nigdy dopuszczać...”

I chodziłam sztywna, ostrożna i zamknięta w sobie, z oczyma, które piekły od niewypłakanych łez, ze skupioną uwagą, nosząca w sobie swój płacz jak kruche naczynie, którego nie wolno rozbić.

Poznałam teraz w całej rozciągłości znaczenie wyrazu — tęsknota. Bo dawniej wymawiałam ten wyraz i czytałam go, i nawet pisałam w ćwiczeniach tylko tak, nie rozumiejąc właściwej jego treści.

I dopiero teraz dowiedziałam, się że „tęsknota” to nie jest ani smutek, ani przykreść, tylko ciągły, nie ustający ani na chwilę ból.

Wstaje się, a ten ból już jest. Usypia się, a on trwa.

Je się, uczy, bawi, czyta, rozmawia, chodzi na spacer, płacze i nawet śmieje, ale on jest ciągle, jest bez ustanku. Jak cień, który utkwił w ciele i krwawi, i ropieje, i pulsuje gorączką, i w każdej chwili — jest!

Najlepsza była jeszcze noc. Bo w nocy nikt mnie nie obserwował, nikt nie podpatrywał, „czy nie mażę się znowu po kątach”, nikt nie kazał mi nosić mego płaczu jak kru-

47

chego naczynia, którego nie wolno upuścić. W nocy można go było wyrzucić z siebie, można było nareszcie swobodnie płakać z twarzą wtuloną w miękki kaftaniczek Jasi.

Czasem zdarzało się jednak, że Fraulein Anna usłyszawszy jakiś dziwnie podobny do szlochu głos zapalała światło i pochylała się nade mną. Sztywniałam wówczas cała ze strachu, a serce poczynęło mi bić mocno i gwałtownie jak u zbrodniarza złapanego na gorącym uczynku. Staralam się oddychać miarowo i równo, z twarzą zwróconą do ściany, ażeby nie było widać, że jest mokra od łez, i żeby rzęsy nie drżały.

I Fraulein Anna uspokojona odchodziła.

Czasem znowu ojciec wchodził cicho do mego pokoju i stał długą chwilę przy moim łóżku.

Ojciec był mi teraz bliższy niż kiedykolwiek. Wiedziałam, że tęskni tak samo jak ja. Były chwile, że chciałam zarzucić mu nagle ręce na szyję i przytulić się do niego z całych sił i płakać, płakać głośno, krzykliwie, nie jak „dzielna dziewczynka”, ale jak zupełnie zwyczajne małe dziecko! Jednakże to znaczyło przecież „martwić go”, a ja przyrzekłam właśnie „być odważna, pocieszać go i rozweselać”.

Więc czasem znowu pragnęłam go „pocieszyć” i „rozweselić”, tak jak ta dziewczynka z zabawy z mamą. Ale nie wiedziałam, jak się do tego zabrać.

Pewnego razu panna Maria, moja nauczycielka, kazała mi napisać ćwiczenie pt. Mój tatuś.

Napisałam: Mój tatuś jest bardzo dobry. Bardzo go kocham i on mnie bardzo kocha, i nigdy go nie ma w domu. I to było naprawdę wszystko, co wiedziałam o moim ojcu.

Kiedy byłam malutka i słyszałam przed obiadem mocny i energiczny dzwonek ojca, wybiegałam prędko do przedpokoju, a on podnosił mnie w górę i wołał:

— Hop! Moja duża córeczka! A potem pytał mnie wesoło:

— Jak tam lalki?... r

48

I teraz tak samo podnosił mnie w górę, tylko już nie tak wysoko, i tak samo wołał:

— Hop! moja duża córeczka! I tak samo pytał:

— Jak tam lalki?

Różnica była tylko ta, że czasami zamiast o lalki pytał o lekcje. Ale i tak nie mógł prawie nigdy wysłuchać odpowiedzi, gdyż zawsze dzwonił telefon i jakaś pacjentka lub pacjent chcieli go o coś zapytać.

■ W dzień wyjazdu mamy, gdy wróciliśmy razem z dworca, ojciec wszedł wbrew swemu zwyczajowi do mego pokoju, usiadł przy stole i posadził mnie na kolanach. Siedzieliśmy tak w milczeniu długą chwilę. Przez całą drogę (zdaje mi się, że pierwszy raz w życiu szłam tak sama z ojcem przez ulicę) nie zamieniliśmy z sobą ani słowa.

Czułam tylko, jak ojciec ścisnął coraz mocniej moją rękę, i widziałam, jak plecy jego garbią się coraz więcej, a krok staje się dziwnie zmęczony i powolny.

I nagle zaczęło mi tak bardzo, tak strasznie być żal ojca, że zupełnie przestałam przez chwilę myśleć o „tamtych”. Chciałam mu tylko coś powiedzieć, coś wytłumaczyć, jakoś ulżyć. Ale nie wiedziałam przecież, jak to zrobić. A zresztą dziwne oneśmielenie ścisnęło mi gardło i nie pozwalało wykrztusić ani słowa. I kiedy tak siedząc na kolanach ojca spoglądałam na niego, to zobaczyłam, że on także chce coś powiedzieć i także nie wie, jak to zrobić, i także nie może. Więc pomyślałam sobie, żeby tak po prostu, jak kiedy mama bywała czasem smutna... Zebrałam całą odwagę i już... Ale w tej chwili wszedł Jan i powiedział, że dzwoni pielęgniarka pani Kosińskiej i prosi pana doktora do telefonu. Zsunęłam się z kolan ojca, a on wstał, patrzył przez chwilę przed siebie zmętniałym wzrokiem, a potem poszedł ku drzwiom. Nagle jednak zawrócił, jakby przypomniał sobie

4 — Druga brama

49

o czymś, co trzeba jeszcze załatwić, i podnosząc mnie w górę, zawołał:

— Hop! Moja duża córeczka!

Więc kiedy tak stał w nocy przy moim łóżku, wiedziałam już, że wszystkie bajki mamy o „dzielnej dziewczynce” to tylko — bajki.

Gospodarstwa nie mogłam przecież prowadzić, gdyż prowadziły je Fraulein Anna i Katarzyna. Jasia była mimo wszystko tylko lalką.

A tatuś... tatusiowi mogłam tylko nie pokazać, że płaczę.

To jedno mogłam dla niego uczynić.

Leżałam więc spokojnie, starając się oddychać miarowo, z głową odwróconą do ściany, żeby nie było widać łez i żeby rzęsy nie drżały.

XII. Imitacja

Śniadanie (nie zostawiaj kozuchów, bo to zdrowe!), Saski Ogród (pobiegaj sobie trochę naokoło fontanny!), obiad (trzymaj się prosto i nie rozkładaj tak szeroko łokci!), lekcja z panną Marią (chrząszcz brzmi w trzcinie, buk, rośnie nad Bugiem, babka patrzy przez lupkę na mapkę, a dwóch robotników na próżno usiłuje napęlić lub opróżnić basen, bo jeden wpompowuje, a drugi wypompowuje na godzinę...), potem znowu spacer, Fraulein Anna czyta bajeczki Grimma, kolacja i — wszystko zaczyna się na nowo.

i

Ale na dnie tego wszystkiego — niby drogocenna perła ukryta gdzieś w głębi serca — godzina spędzana w sypialni mamy.

Teraz jednak nie było już tej godziny.

I może właśnie dlatego Jasia wyrosła z dziecka na przy-jaciółkę.

Nie pamiętam już dzisiaj dobrze, jak się to stało. Zdaje się jednak, że nastąpiło to przy ognisku w puszczy. Całą

50

naszą rodzinę wycięli w pień Indianie. Zostaliśmy tylko my dwoje: ja, dzielny czternastoletni chłopiec Jack (byłam zawsze w zabawach chłopcem, i to chłopcem czternastoletnim, gdyż dopiero ten wiek wydawał mi się odpowiedni dla bohaterskich czynów i przygód) i moja mała siostrzyczka Nelly (Jasia).

W czasie więc długich nocy, spędzanych wspólnie przy ognisku w podzwrotnikowej, pełnej czyhających zewsząd niebezpieczeństw puszczy, w czasie tych długich nocy, gdy otuleni jednym płaszczem lub — jeśli kto woli — kołdrą, prowadziliśmy ze sobą długie rozmowy, węzły naszej przyjaźni zacieśniły się tak mocno, że nie mógł ich już rozluźnić dzień...

We dnie bowiem Jasia była po dawnemu tylko dzieciątkiem, które kołysałam na rękę, owijałam w pieluszki i kocyki i woziłam na spacer w koszykowym wózek z błękitnymi firankami. Dzień nie miał przecież nic wspólnego z nocą.

W dzień i ja nie byłam dzielnym i przedsiębiorczym Jackiem, ale zwyczajną Krysią, ciągle strofowaną przez Fraulein Annę, Krysią która mazała się o byle co, była niezgrabna i tchórzliwa i „za mało umiała jak na dziewczynkę w tym wieku”.

Jasia wiedziała o wszystkim.

O tym, że przyjazd mamy znowu został odłożony przynajmniej na kilka miesięcy, że jeszcze cały

rok będę się uczyła w domu, że nienawidzę spacerów do Saskiego Ogrodu, lekcji z panną Marią, robótek, wizyt i niemieckich bajeczek Grimma. Że jedyną przyjemną rzeczą w życiu są książki indyjskie i powieści historyczne, że nie wiadomo, czy to Ja właśnie nie zrobię powstania i nie wypędzę Moskali, bo Joanna d'Arc też była tylko małą dziewczynką i wszyscy się z niej z początku wyśmiewali, i na pewno jako pastuszka musiała „za mało umieć na swój wiek”... Co zaś do widzeń, to wystarczy tylko klęczeć bardzo długo albo leżeć krzyżem

51

(kiedy Fraulein Anny nie ma w pokoju), a można je także mieć. Raz już nawet prawie że je miałam, ale potem okazało się, że nie było to wcale widzenie, tylko suknia na wieszaku.

O wszystkim wiedziała Jasia. I czasem nawet w dzień patrzyła na mnie takimi mądrymi i wszystko rozumiejącymi oczyma, że zastanawiałam się nad tym, czy takie małe dziecko naprawdę nie może... Bo przecież skąd dorośli ludzie mogą wiedzieć, co ono rozumie, a czego nie rozumie, jeżeli ono nie umie mówić? Może właśnie wie i rozumie daleko więcej, niż my wszyscy przypuszczamy? Myśl ta sprawiała mi ulgę, gdyż trzeba przecież mieć jakiegoś przyjaciela, z którym można się podzielić wszystkim. A Jan nie nadawał się stanowczo na takiego przyjaciela.

Kiedy próbowałam mu opowiadać o moich indyjskich przygodach, potrząsał tylko głową, wzdychał i mówił:

— Tak... tak... człowiek wymyśla sobie zawsze to i owo... Do powstania odnosił się sceptycznie, a do przyjaźni z Jasią nawet wrogo.

— Lalka jest zawsze lalką! — mówił niechętnie i surowo — nie powinnaś zapominać o tym! Bardzo mnie to zrażało do Jana i sprawiało, że moje przywiązanie do Jasi, Jasi, która rozumiała wszystko, rosło. Zapewne, że gdyby Jasia nie była lalką... Ale przyjaźń z Jasią, taka właśnie, jaka była, miała także wiele dobrych stron.

Jasia wierzyła, że potrafię dokonać wszystkiego, czego tylko zechcę...

Jasia wiedziała, że jestem silna, zręczna i przedsiębiorcza... Jasia nigdy nie krytykowała ani mnie, ani moich zamierzeń! I nie potrzebowałam nawet czynić jakiegoś wysiłku, żeby zasłużyć na jej przyjaźń, ani obawiać się, że ją utracę. Należała przecież tylko do mnie.

Przyjaźń z Jasią była więc naprawdę wygodną przyjaźnią. Ale mimo to pewnego wieczoru, kiedy siedziałam z Jasią na kolanach w swoim pokoju, a Fraulein Anna czytała mi

52

z Grimma, jak to igielka, kogucik i poduszczyk wyruszyły razem w podróż, stało się ze mną nagle coś bardzo dziwnego.

Patrzyłam na różowe, jak farbowane cukierki od pani Rudzkiej, ściany mego pokoju, na obrazek, na którym przed nieprawdziwą wiejską chatką chłopczyk i dziewczynka w nieprawdziwych wiejskich strojach, dziwnie przypominających owych Hansel i Gretel z nieprawdziwych bajeczek Fraulein Anny, całowali się podając sobie pęk róż. Na samą Fraulein Annę, która z okolicznościowym uśmiechem czytała właśnie „wesoły” ustęp, jak to kogucik, poduszczyk i igielka zdobyli sobie wreszcie podwieczorek, i na Jasię, która przysłuchiwała się temu z rozumnym wyrazem w swych niebieskich szklanych oczach, i ku zdziwieniu Fraulein Anny, a nawet memu własnemu, powtórzyłam głośno te dziwaczne słowa Jana, słowa, którymi się już od dawna przestałam zajmować:

— Ty myślisz, że to prawda? To jest imitacja!

XIII. Przeprowadzamy się

W życiu bywa czasem tak, że dni płyną jednostajnie, podobne jedne do drugich jak krople szarej, mętnej wody, a czasem nagle wszystko zaczyna się zmieniać, burzyć i kipieć, dni stają się nagle krótkie i pełne zdarzeń, a każdy z nich jest nowy i zupełnie niepodobny do innego.

Więc zaczęło się od tego, że odeszła od nas Fraulein Anna, a przyjechała ciocia Kazia.

Zdawało mi się dotychczas, że nie bardzo lubię Fraulein Annę. A jednak, gdy żegnała się ze mną płacząc i prosząc mnie, byra nie zapomniała o swojej „starej nauczycielce”, rzuciłam się jej na szyję i długi czas po jej wyjeździe było mi bardzo smutno. Myślałam teraz często o tym, że nie zawsze byłam dla niej sprawiedliwa. Prawda, że Fraulein Anna zmuszała mnie do wielu rzeczy, których nie znośłam, i że bywała cza-

sem trochę szorstka, ale czyż nie upiekła własnoręcznie na moje ostatnie urodziny tortu z jedenastoma zapalonymi świeczkami?... Czyż nie wyhaftowała mi na gwiazdkę serwetki z napisem: „Praca jest największym szczęściem”?... Czyż nie przysłała mi pocztówki z niezapominajkami, na której dwa gołąbki niosły napis: Gruss aus Potsdam! \*? I czyż wreszcie nie płakała żegnając się ze mną? Widocznie więc kochała mnie jednak. I teraz, kiedy jej już nie było, żalowałam jej i przypominałam Jasi, jak wstawiała często w nocy, żeby zobaczyć, czy nie jesteśmy odkryte, i jak uszyła w nocy dla Jasi płaszczyk, aby zrobić mnie i jej niespodziankę. Bo tak już jest zawsze na świecie, że dopiero gdy człowiek odchodzi od nas, przypominamy sobie o tym, czegośmy zaznali od niego miłego i dobrego.

Ciocia Kazia nie wniosła w moje życie żadnych zmian. Chyba tę tylko, że teraz miałam w domu więcej swobody i że poza godzinami lekcji mogłam robić, co mi się żywnie podo~ bało. Oczywiście w obrębie naszego mieszkania. Ciocia Kazia zajmowała się mną bowiem o tyle tylko, o ile uważała, że grozi mi jakieś niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo zaś znajdowało się właśnie poza obrębem domu i streszczało się w jednym groźnym i złowieszczym słowie — przeziębienie! Przeziębienie zaś mogło powstać z tysiąca przyczyn:

Mogłam zziębnąć, zmoknąć i zgrzać się.

Mogło mnie „zawiać” i mogłam się spocić.

Byłam narażona na dziesiątki straszliwych rzeczy, których ciocia Kazia uniknęłaby, najchętniej nie wypuszczając mnie w ogóle z domu... Niestety, ojciec wymagał stanowczo, żebym codziennie wychodziła na spacer, i biedna ciocia Kazia przechodziła przed naszym wyruszeniem z domu prawdziwe męczarnie niepewności. Wyłaniała się bowiem natychmiast groźna kwestia — jak mnie ubrać? Jeśli ubierze mnie zbyt

\* € r u s s a u s P o t s d a m (niem.) — pozdrowienie z Poczdamu.

ciepło, to oczywiście zgrzeję się, jeśli zaś ubierze mnie zbyt lekko, to naturalnie przeziębę się... Zaczynała zawsze od zbadania stanu temperatury na termometrze za oknem w salonie. Ale temu termometrowi nie można było zbyt wierzyć, gdyż wisiał w słońcu. Zwracała się więc po opinię do domowników, którzy już tego dnia wychodzili. Ale — ale czyż mogło być miarodajne zdanie takiego Jana, który wybiegał po bułki w płóciennej kurtce (nic dziwnego, że było mu zimno), albo takiej Katarzyny, grubej jak beczka, której zawsze było gorąco?!

Wobec tego ciocia Kazia telefonowała do szpitala do ojca, ale potem przypominała sobie, że ojciec wyszedł z domu

0 ósmej i że „co innego rano, a co innego w południe”. I wychodziła sama na balkon. Jednakże już w przedpokoju zaczynała ją dręczyć obawa, że może się zerwać zimny wiatr albo może się ocieplić, i zabierała zawsze jeszcze „coś lżejszego” lub „coś cieplejszego” na rękę.

Katarzyna zaśmiewała się w kuchni.

— Tak to jest — mówiła do Jana — jak stara panna dostaje dziecko na wychowanie! Ją jeszcze kiedy szlag trafi przed tym spacerem!

Co do mnie jednak, to dziwne praktyki cioci Kazi nie drażniły mnie ani nie śmieszyły. Cierpienia jej były tak wielkie, że żywiłam dla niej prawdziwe współczucie, choć prawdę powiedziawszy spacer z nią był jeszcze gorszą męką niż przygotowania do niego. Nie wolno mi było usiąść, bo zmarznę... Nie wolno mi było biegać ani bawić się piłką, bo się zgrzeję. Nie wolno mi było napić się wody, bo może jestem spocona. A przy tym ciocia Kazia nieustannie rozpiniała mi i zapinała palto, rozluźniała, zdejmowała i na nowo zawiązywała szalik.

1 gdyby nie to, że od dawna nauczyłam się jeździć na szybko-nogim mustangu po najludniejszej ulicy miasta i doznawać tysięcy przygód spacerując spokojnie między sadzawką a budką z wodą sodową, nie wytrzymałabym chyba tego. Na szczęście, gdy tylko roztwieraliśmy drzwi domu, opieka cioci Ka-

zi ustawała. Ciocia Kazia mogła bowiem już zupełnie spokojnie i z czystym sumieniem oddać się swojej kuracji. Na co leczyła się ciocia Kazia, tego już nie pamiętam, ale pamiętam, że był to

właściwie cały splot chorób, a leczenie było niezmiernie skomplikowane. Od rana aż do wieczora ciocia Kazia piła jakieś zioła i połykała jakieś proszki, przy czym po jednych chodziła, po innych kładła się na kanapie, po jeszcze innych nakrywała się kołdrami i kocami, żeby się wypocić. Oprócz tego robiła sobie ciągle jakieś okłady, kąpiele i natryski i była tym wszystkim tak bardzo zajęta, że tylko od czasu do czasu zaglądała na chwilkę do mnie, żeby pocałować mnie w czoło i sprawdzić, czy nie mam czasem podwyższonej temperatury.

Można więc sobie z łatwością wyobrazić, jak bardzo przeraziła się biedna ciocia Kazia, gdy dowiedziała się, że przeprowadzamy się na Leszno!

Przeprowadzka to był przecież kilkudniowy zamęt, uniemożliwiający regularne prowadzenie kuracji, to było nowe (kto wie, czy nie wilgotne?) mieszkanie, to było wreszcie wynoszenie mebli, roztwarte drzwi i okna, a zatem — przeciąg i nieuchronne przeziębienie!

— Ach, ten twój tatuś! — wzdychała ciągle. — Ach, ten twój tatuś! Jakież on jest lekkomyślny!

Co do mnie, to wbrew zwyczajowi wszystkich znanych mi dzieci, które ogromnie lubią gwar i ruch przeprowadzki, odnosiłam się również do niej raczej z niechęcią. Na skutek utyskiwań cioci Kazi obawiałam się, że czeka mnie kilka dni ciągłego ubierania się i rozbierania, nakładania i zdejmowania szalików i nieustannego gderania.

Sama zaś zmiana ulicy i mieszkania była mi zupełnie obojętna. Ulica, podwórze, mieszkanie — były to już w owym czasie rzeczy, na które nie zwracałam niemal uwagi. Mój pokój był dla mnie czasem izdebką na wieży, czasem kajutą okrętową, a czasem komnatą zamkową. Patrząc na brudną i odrapaną klatkę podwórza mogłam z łatwością widzieć dale-

56

ką przestrzeń stepów i wędrować przez dżunglę idąc wąską i hałaśliwą ulicą.

Więc czy właściwie nie wszystko jedno — na Lesznie czy na Karmelickiej?

Okazało się jednak, że wcale nie było „wszystko jedno”.

#### XIV. Na Lesznie

Na Lesznie wszystko od razu się zmieniło. Ulica była spokojna, szeroka i cicha. Przechodnie mijali się powoli, nie śpiesząc nigdzie. Z kościoła Panny Marii, naprzeciw naszego domu, wychodziły przy dźwiękach dzwonów procesje biało ubranych, sypiących kwiaty dziewczynek, pogrzeby i śluby. I pogrzeby były tu dziwnie podobne do ślubów, a śluby do pogrzebów. W pogrzebach brały bowiem stale udział bractwa z kolorowymi, wesoło łopoczącymi na wietrze chorągwiemi, jak gdyby odprowadzającymi oblubieńca do innego, lepszego świata, a wesela wysiadały, poważne i uroczyste, z czarnych, lakierowanych pudeł-karet.

I sklepy były tu także inne niż na Karmelickiej. Czyż na przykład w sklepie panny Gołębiowskiej ktokolwiek ośmieliłby się nawet pomyśleć o targowaniu się?!

W sklepie panny Gołębiowskiej można było kupić wiele rzeczy. Takie, których się używa, i takie nawet, których już nikt nie używa. A może to się zresztą tylko tak zdaje, że „nikt”, bo po prostu ci, którzy ich używają, nie przychodzą do innych sklepów? Kiedyś spotkałam na przykład u panny Gołębiowskiej staruszkę w czarnym koronkowym czepeczku i dziwnego kształtu salopce (właśnie salopce, a nie jakimś tam płaszczu), która oglądała piękną naftową lampę z ozdobnym, malowanym w pęki róż kloszem, na niebieskim fajansowym postumencie. A innym razem jakiś siwy pan kupował dla wnuczka takiego pajaca, jakiego już pewnie nigdzie dzisiaj nie można dostać: porcelanowego, w ałasowym, błękit-

57

no-czerwonym, naszywanym dzwoneczkami ubraniu, z dźwięczącymi miedzianymi talerzami w rękach.

Czegóż bo nie było w tym sklepie panny Gołębiowskiej!

Zeszyty, fajansowe talerze malowane w kwiaty, porcelanowe kubki o pięknie złożonych brzegach, a na wystawie ogromna lalka z długimi, ciemnymi lokami. Ale przede wszystkim cel marzeń wszystkich ówczesnych dziewczynek — malowanki. Dziś już moda malowanek przeminęła. Ale jeszcze kilkanaście lat temu każda dziewczynka posiadała ich całą kolekcję. Robiło się z nich „albumy”, przylepiało się je na bibule (przyczepionej do zeszytu wstążeczką, ku większej jego ozdobie) albo po prostu — zbierało z miłości do czystego piękna. Malowanki były różne: dzieci,

zwierzęta, chatki w ogródkach, gwiazdy, główki aniołków, ale przeważnie — kwiaty. Róże, fiołki i niezabudki, pojedyncze lub w bukietach, w wazonach, koszyczkach i wózeczkach. Były maleńkie po groszu i ogromne po pół rubla — różne. Ale nigdzie w takim wyborze jak u panny Gołębiowskiej! I nigdzie nie było tak przyjemnie kupować jak w tym sklepie. Nie tylko malowanek, ale w ogóle wszystkiego.

Wnętrze sklepu panny Gołębiowskiej w dzień było głębokie, uroczyste i pełne cichego, tajemniczego półmroku jak kaplica, a wieczorem, w łagodnym świetle lampy, robiło się nagle dziwnie zaciszne i pociągające. Panna Gołębiowska, o której było wiadomo, że jej ojciec czy też może dziadek miał dwór, ale stracił go z powodu powstania, siedziała za ladą, z gładko przyczesanymi, siwymi włosami, łagodną i trochę smutną twarzą, w czarnej, zapiętej po szyję sukni i uśmiechała się życzliwie. Nie traktowała lekceważąco żadnego kupna, choćby to był sprawunek za kilka groszy, najbardziej zwykły i prozaiczny.

— Obsadka? — pytała na przykład — obsadka... A jakąż byś chciała, kochaneczko? Bo to — frasowała się nagle — obsadki bywają różne. Jedni lubią, żeby była leciutka, a inni właśnie, żeby ją było czuć w rękach, bo inaczej to ich tak

58

drażni, że nie wiem. Jedni lubią, żeby była z metalowym końcem, a inni żeby broń Boże, nic zimnego pod palcami! Bo to się tylko tak wydaje — „obsadka"... A przecież pracuje się nią potem całe miesiące...

I od razu czujesz się ważna, i przyjemnie ci jest, że z takim szacunkiem i powagą odnoszą się do twego sprawunku.

A panna Gołębiowska już wyjmuje całe pudła obsadek, grubych i cienkich, z metalowymi zakończeniami i bez zakończeń, matowych i lakierowanych, żółtych, czerwonych, zielonych i niebieskich.

Aż ci się w głowie kręci i decyzja staje się coraz trudniejsza.

Zielona?... Nie. Niebieska! A może — czerwona?... Ale panna Gołębiowska nie niecierpliwi się ani trochę. Tylko na jej twarzy pojawia się leciutki, tajemniczy uśmieszek.

— Mam tu — rzuca niedbale — jeszcze jedną. Trochę droższa. Ale (uśmieszek jej staje się jeszcze bardziej nieodgadniony) nie wiem, czyby ci się, kochaneczko, podobała — z wiśniowego drzewa. I kładąc przed tobą taką niepozorną niby, nie lakierowaną i nieforemną, o ciemnowiśniowej barwie, dodaje wciąż z tym samym uśmiechem:

— Powąchaj!

I okazuje się, że pióro pachnie jakimś nieszkolnym zapachem, zapachem, w którym nie czuje się ani farby, ani lakieru, ani atramentu, ale zapach wiśni, sadu, wakacji!

A panna Gołębiowska opowiada przyciszonym szeptem, ostrożnie spoglądając na drzwi, czy czasem kto nie wchodzi, jak to u nich we dworze było takie biureczko z wiśniowego drzewa i jak to jej dziadek, ten powstaniec...

I od tego opowiadania pióro trzymane w rękach robi się już nie tylko miłe, ciepłe i pulsujące życiem, ale nawet takie jakieś — patriotyczne... I od razu już wiesz, że to albo żadne!

60

Tak to było na Lesznie w sklepie panny Gołębiowskiej

A znowu nasz dom na Lesznie to był także inny od domu na Karmelickiej.

Pokoje w nim były bardzo duże, jasne i niskie. Ogromne podwórko brukowane okrągłymi, dużymi kamieniami, puste i ciche, a pod dachem otaczających je ganków gnieździły się setki jaskółek.

I o tym podwórku to nie myślało się nawet „podwórko", ale — „podwórzec". Może dlatego, że było takie poważne i duże, a może dlatego, że właścicielka domu twierdziła, iż dom ten jest zbudowany na miejscu, gdzie dawniej stał zamek książąt mazowieckich, a piwnice pod nim to dawne lochy. I rzeczywiście, były to jakieś dziwne piwnice: tak długie i ciemne, że zdawały się niemal nie mieć końca. Więc ile razy Katarzyna szła po węgiel lub kartofle, wołałam zaraz: „i ja, i ja!" A potem szłam z mocno bijącym sercem, ciemnym, wilgotnym lochem, za słabo migocącą w ciemnościach świeczką i myślałam, że przecież można zabłądzić i dojść aż do Wisły jak w „Szwedach w Warszawie" albo gdzieś w głąb puszczy jak w „Białej gołąbce", albo znaleźć jak „Złota Elżunia"



ukryte skarby.

I kiedy wychodziłam z Jasią na ganek, nad pustym i cichym podwórzem, Jasia była właściwie małą księżniczką, a ja wiernym giermkim, ratującym ją przed napadem Tatarów. Podwórzec był dlatego taki cichy, że zamek został splądrowany i pozostały z niego tylko mury. Przez bramę, wiodącą do miasta, nikt nie wchodził i nikt nie wychodził, bo miasto było spalone i zrównane z ziemią.

Ale — druga brama?

Ta w głębi podwórza, przez którą widać najwyraźniej ciemną głębię zieleni drzew?

Co mogło się znajdować poza tą bramą?

Najprościej byłoby oczywiście zejść na dół i zobaczyć. Ale tego właśnie nie chciałam zrobić. Bo przecież przyjemniej

61

jest myśleć, że tam, poza tą głęboką wnęką drugiej bramy, znajduje się tajemniczy ogród z książki Burnett albo zaczarowany las, albo...

Nie, nie chciałam zejść i zobaczyć: bo na Lesznie, tak samo jak na Karmelickiej, stałam — z moją nieprawdziwą przyjaciółką na ręku — wpatrzona w nieprawdziwe życie. Różnica była tylko ta, że jego nieprawdziwość nie bolała mnie już wcale.

XV. Druga brama

Nie przypominam już sobie dzisiaj, jak to się stało, że pewnego dnia przeszłam z Katarzyną przez ciemny, głęboki, sklepiony tunel drugiej bramy, w zieloną głąb drugiego podwórza.

Zdaje się, że ciocię Kazię, którą coraz bardziej pochłaniała kuracja, męczyły spacerzy ze mną, a Jan wmówił w nią, iż ogródek na drugim podwórzu jest tak dokładnie osłonięty ze wszystkich stron od wiatru, że „klimat” jego jest jakimś zupełnie wyjątkowym, pozbawionym przeciągów klimatem...

Nie pamiętam już także dzisiaj, skąd brały się właściwie owe wysokie mury, zamykające drugie podwórze i odcinające je od gwaru miasta.

Nie przypuszczam wszakże, by ktoś wznosił w środku miasta wysokie ogrodzenie z czerwonych cegieł jedynie w tym celu, aby zamknąć w nim kawałek zdziczałego ogrodu.

Skąd więc brały się owe mury, dzięki którym nabierał on cech jakiegoś zupełnie innego, ukrytego przed okiem wszystkich świata? Świata, do którego nie docierały odgłosy obcego życia i w którym pod gałęziami drzew złote plamy słońca bawiły się z cichymi czarnymi cieniami, a w splątanym gąszczu krzewów jaśminu, bzu, głogu i berberysu odzywały się ptaki.

Może mury te były po prostu tylnymi ścianami kamienic?

A może były to jakieś puste magazyny, których pozabijane

62

na głucho okna i drzwi sprawiały wrażenie czegoś martwego, czegoś, co my, dzieci, przyzwyczajaliśmy się uważać za mur?

Nie wiem także, do kogo należała naprawdę i do czego dawniej służyła pusta i na pół rozwalona szopa, stojąca w rogu podwórza. W mojej pamięci pozostała ona jedynie jako nasza i do naszego wyłącznie użytku przeznaczona szopa.

Pamiętam natomiast dobrze, że podwórze nie było brukowane, lecz porośnięte trawą, żółtymi mleczeniami, białą kaszką i liliowo kwitnącą pokrzywą. Że pośrodku rósł ogromny, cienisty kasztan, pod którym stała niska, drewniana, na pół przegniła i pokryta zielonym mchem ławeczka. Że akację nazywaliśmy „altaną”, gdyż miała długie, zwisające do samej ziemi gałęzie, tworzące zaciszny, zielony domek, pełen ruchliwych światła i cieni. Że za szopą rósł krzak czarnej porzeczki, a po tylnej ścianie szopy wspinał się (nie wiadomo skąd tu przybyły) chmiel. I to nawet, że z tych czarnych porzeczek próbowaliśmy robić atrament, a z chmielu piwo, ale się nam nie udało.

Najlepiej może jednak pamiętam tę chwilę, gdy w słoneczne wrześnie przedpołudnie stałam z Katarzyną za ową drugą bramą niby na progu nowego życia.

Na podwórzu nie było wiele dzieci, gdyż wszystkie niemal starsze znajdowały się o tej porze w szkole, najmłodsze zaś, pozbawione ich opieki, musiały bawić się w izbach. Tylko jakiś może sześciolatek zbierał kasztany, a na ławeczce pod drzewem siedziała dziewczynka w moim wieku z dzieckiem na ręku.

Było cicho, słonecznie i spokojnie, a mimo to serce biło mi mocno na myśl, że oto za chwilę

Katarzyna odejście, a ja zostanę pierwszy raz w życiu zupełnie sama!

Minęły już dawno te czasy, gdy tak gorąco pragnęłam wziąć udział w życiu dzieci z podwórza na Karmelickiej i kiedy to tak bardzo tęskniłam za Sabinką. Teraz czułam się już dobrze tylko w świecie moich książek, wymyślonych przygód i przyjaźni z Jasią. Nie chciałam już niczego innego.

Kie-

6-3

dy przychodziły do mnie czasem dzieci krewnych lub przyjaciół mojego ojca, ich towarzystwo nużyło mnie. Wstydziałam się mówić z nimi o tym, co mnie zajmuje, a to, o czym one mówiły (szkoła, stopnie, koleżanki, gry), było mi obce. Nie umiałam także bawić się z nimi. Ostatnia dobiegałam do mety, przez sznurek skakałam (według określenia jednego z moich kuzynków) jak stara krowa, w berku chwytało mnie natychmiast, w grach zaś wymagających pewnego skupienia musiałam ciągle dawać fanty, gdyż w środku zabawy zamyślałam się i moja uwaga przyskała. Toteż cieszyłam się opinią „gapy”, „gamajdy”, i „niezgrabiasza”. A mimo mojej pozornej pogardy dla rówieśników ta opinia bolała mnie bardzo. Na próżno mówiłam sobie, że cóż może mnie obchodzić, co myślą o mnie ci głupi, złośliwi i krzykliwi uczniacy, których wszystkie zainteresowania skupiają się na przedrzeźnianiu nauczycieli, na marce z Urugwaju i na tym, kto komu dał gola. Na próżno starałam się zamknąć w chłodnej i wyniosłej niedostępności Sokolego Oka, Ducha Puszczy i przyszłej Joanny d'Arc. Za mało byłam uodporniona na szyderstwa, zanadto przywykłam do podziwu i uwielbienia Jasi, aby móc znosić ich kpiny „dumnie i ze spokojem”. Czułam się niesłusznie poniżona, upokorzona i rozżalona i nie umiałam tego ukryć. Czerwieniłam się, łzy stawały mi w oczach, ręce drżały, a niezaradność i roztargnienie rosły. Nie ma zaś nic bardziej podniecającego dla gromadki kpiarzy niż taka mała beksa i gamajda usiłująca jeszcze w dodatku przybierać obrażone miny. Jeśli zaś ktoś stał się raz pośmiewiskiem, nie tak łatwo pozbywa się tej roli. „Nabieranie go”, stawianie w trudnej sytuacji, podchwytywanie wszystkich jego śmieszostek staje się po prostu jedną z ulubionych zabaw. Toteż wszelkie urodziny, imieniny i zebrania rodzinne były dla mnie prawdziwą męczarnią.

Po powrocie rzucałam się na szyję przerażonej ciotki Kazi i wybuchałam płaczem. I na próżno ciocia Kazia usiłowała dowiedzieć się, „czy mnie co nie boli?” i „co się właściwie stało?”

64

Ale kiedy leżałam już w łóżku, uspB ^Biar się powoli i stawałam się znowu Sokolim Okiem.

Kilku wojowników z mego plemienia przypr4| MiłL m\* związanych jeńców.

I kogóż to poznaję w owych wystraszonych i poblac niewolnikach, których śmierć i życie zależne jest od mego' rozkazu?!

Czyż to nie moi niedawni prześladowcy rzucają się w przerażeniu do mych nóg?...

A ja siedzę nieporuszona i spokojna na moim wspaniałym mustangu.

Ani jeden nerw nie drży w mojej posągowo spokojnej twarzy.

— Uwolnić ich — rzucam wyniosłe i biali ludzie odchodzą ze spuszczonej głowami, zgnębieni moją szlachetnością...

Z mego niedawnego przygnębienia i upokorzenia nie pozostaje już nawet śladu. Czuję się dumna, dzielna i wspaniałomyślna. Rola Sokolego Oka nie -wystarcza mi już nawet. I cała sprawa przybiera naraz inny obrót.

To Sokole Oko wraz ze swoimi Indianami napada na nich, ja zaś nie jestem Sokolim Okiem, lecz Duchem Puszczy i walczę w ich obronie. Narażam się na dziesiątki niebezpieczeństw, dokazuję cudów męstwa, byle tylko uratować od śmierci mych gnębicieli.

A oni rzucają się do moich nóg i...

Nie! Jeszcze nie tak! Indyjskie historie wydają mi się zbyt dalekie i nieprawdopodobne.

Lepiej — powstanie!

Moi kuzynowie przekradają się przez puszcę do obozu wodza, o którego męstwie krążą już po całym kraju legendy. Wodzem tym jest podobno młoda dziewczyna, ale starsi, osiwiali w bitwach żołnierze opowiadają, że żaden z nieprzyjacielskich generałów nie może się z nią równać! Moi kuzynowie przekradają się nocą do jego kwatery, by zaciągnąć się w szeregi. Błagają o posłuchanie. Czekają przed jego na-

miotem. Zasłona się rozsuwa i — któż to w szarej, skromnej kurtce z kordelasek \* i rewolwerem za pasem, w barankowej czapce, spod której wymykają się ciemne loki, staje przed nimi?! Przerażeni kuzynowie bledną, rzucają mi się do nóg i...

Czasem usiłowałam podzielić się tymi marzeniami z Janem. Ale Jan odnosił się do nich, z taką samą obojętnością, a nawet niechęcią, jak do mojej przyjaźni z Jasią.

— Tak... człowiek wymyśla sobie to i owo... — mruzczał po swojemu. A pewnego razu dodał nawet:

— Czy nie mogłabyś zamiast tego nauczyć się skakać przez sznur? Ja bym ci pottrzymał...

I to powiedzenie uraziło mnie tak bardzo, że przestałam z nim o tym rozmawiać. Zaczęły mnie jednak trapić dziwne wątpliwości: nie byłam zupełnie pewna, czy mogłabym rzeczywiście strzelać, jeździć konno, rzucać oszczepem, a przede wszystkim — stawić czoło wszelkim niebezpieczeństwom.

Może by rzeczywiście spróbować z tym sznurkiem? Wydało mi się to jednak zbyt dziecinne.

Teraz wszakże, gdy Katarzyna zniknęła we wnęce bramy, a ja zostałam zupełnie sama i zmuszona stawić czoło każdej przygodzie, przyszła mi do głowy dziwaczna myśl, że gdybym umiała skakać przez ten sznurek, to może byłoby mi trochę różniej...

Ale nikt nie zwracał na mnie uwagi.

Dzieci zbierały dalej kasztany, a dziewczynka na ławce kołysała dziecko.

Powoli, nieśmiało zbliżyłam się do niej.

Mogła mieć dwanaście, najwyżej trzynaście lat. Ubrana była w połataną i wypłowiałą sukienkę z różowego perkalu, a na nogach miała za duże, najwidoczniej matczyne buciki. Jej jasne włosy ściągnięte były do tyłu w śmieszny, sztywny warkoczek, związany kawałkiem czarnej tasiemki.

Chuda,

•Kordelas — długi obosieczny nóż, służący do klucia, dobijania i patroszenia zwierzyny.

66

piegowata twarzyczka miała wyraz dziwnej słodyczy, a złoto-orzechowe oczy patrzyły na śpiące dziecko z taką łagodnością, że nagle, od pierwszego niemal spojrzenia, poczułam dla niej to samo, co niegdyś dla Sabinki. Moja nieśmiałość i dzikość stopniały nagle, jak gdyby nieznajoma dziewczynka nie na dziecko, lecz na mnie patrzyła tymi ciepłymi, złotymi oczyma.

— Czy... czy mogę tu usiąść przy panience? — zapytałam z nieoczekiwaną dla siebie samej odwagą.

Nieznajoma dziewczynka drgnęła i podniosła oczy.

Ale oczy te straciły swój łagodny wyraz, a twarz stwardniała. Zlustrowała mnie uważnym, taksatorskim spojrzeniem od kokardy aż do czubków lakierowanych pantofelków, a gdy spojrzenie jej spoczęło wreszcie na Jasi, stało się nagle odpychające, zimne i szydercze. Uśmiechnęła się krzywo.

— Podwórze i ławka są dla wszystkich — powiedziała i odwróciła się do mnie bokiem.

Ta dziewczynka ■ — to była właśnie Adela.

Część druga ADELA

XVI. Adela

Kiedy Wicusowi i Zosi nudziło się, prosili Adelę:

— Adela, opowiedz, jak to było na Woli. Albo (jeszcze częściej):

— Adela, opowiedz, jak to było, kiedy ty byłaś jeszcze mała!

I Adela opowiadała o mieszkaniu, w którym była alkowa, pokój z froterowaną i starannie zaścieloną dywanikami podłogą i kuchnia, w której zawsze palił się ogień, pachniało kawą i smażoną słoniną, a w sobotę pieczoną na niedzielę babką. I o zielonej pluszowej kanapie, i lampie z abażurem, i klatce z kanarkami. I o tym, że wtedy nie było sublokatorów, a mama nie chodziła do fabryki. I o tym, jak pewnego razu rodzice zabrali ją ze sobą do kina, i o tym, jak pojechali statkiem na Bielany. Wicus i Zosia nie mieli nigdy dość tych opowiadań, choć już tak dobrze je pamiętali, że kiedy Adela zapominała jakiegoś szczegółu, sami przypominali:

— A zapomniałaś, że ojciec kupił wam w budce wody z sokiem i pierników!

Albo:

— A nie powiedziałaś, że najprzód pojechaliście jeszcze tramwajem!

I Adela musiała ciągle na nowo opowiadać o tym, jak to było na Woli, kiedy ona była jeszcze mała.

69

Bo dwa lata temu, na Woli, Adela była jeszcze mała.

U wszystkich dzieci to dorastanie idzie zawsze bardzo powoli. Najpierw są małe, potem większe, a potem dopiero — duże. Ale u Adeli to było inaczej.

Dopóki mieszkali na Woli, w tym dużym mieszkaniu, dopóki tatuś był zdrowy i pracował, a mamusia nie chodziła do fabryki, to Adela była mała. Ale kiedy tatuś zachorował i stracił pracę, a oni przenieśli się na Żelazną, do jednej izby w suterrenach, to Adela zrobiła się nagle — duża. Tak od razu. Bez przejścia. Niemal z dnia na dzień.

Kiedy na przykład w mieszkaniu na Woli mówiło się „dzieci”, to myślało się o Wicusiu, Zosi i Adeli. Ale na Żelaznej to już tylko o Wicusiu i Zosi, a później o Jasiu mówiło się „dzieci”. Adela była już dorosła. Do Adeli mówiło się teraz: „zajmij się dziećmi!”, „umyj” — albo: „połóż spać dzieci!” A później to już nawet — „przepierz” — albo: „przyszyj dzieciom!” A jeszcze później to już się nawet nic nie mówiło, bo przecież rozumiało się samo przez się, że to powinna zrobić Adela, która jest już teraz — duża.

W mieszkaniu na Woli Adela dostawała przed pójściem do szkoły duży kubek kawy z kożuszkami i matka smarowała jej grubo masłem chleb wzdychając:

■— Tak się długo wysiedzi dziecko bez czegoś gorącego w tej szkole!

I kupowała dla niej pięć deka szynki albo kielbasy do bułki, którą jej wkładała do tornistra.

Ale na Żelaznej — rozdzielało się już mleko i trochę smalcu (jeśli był w domu) tylko między Wicusia, Zosię i Jasia i mówiło się:

■— Aby dla dzieci!

Na Woli, kiedy Adela wychodziła zimą na ulicę, matka zapinała jej sama płaszcz, obwiązywała szyję szalikami i gniewała się, że Adela dużo rozmawia na mrozie. A kiedy chciała czasem z figłów podnieść Wicusia, to krzyczała:

Zostaw go w tej chwili, bo się podźwigasz!

70

Ale na Żelaznej, kiedy matka zaczęła brać pranie do domu, to już nikt nie troszczył się o to, że Adela w jednej sukien-czynie biegnie co chwila z pełnej pary izby do sklepiku po sodę, krochmal lub mydło, że nosi cały dzień na rękach Jasia i że pomaga matce wylewać ciężkie baniaki.

Na Żelaznej Adela była już duża.

Dawniej rodzice bardzo uważali, żeby się Adela nie spóźniała do szkoły, a gdy przyniosła raz złą cenzurę, martwili się i wzięli jej nawet korepetytora za pięć rubli na miesiąc. Na początku roku ojciec sam kupował jej książki, a piórniki to miała taki jak żadna w klasie: żółty, politurowany, podzielony na cztery osobne szufladki (do piór, do gumy, do obsadek i do ołówków), z bukietem róż i niezapominajek wymalowanym na wierzchu!

Ale na Żelaznej to już dawno rozpoczął się rok szkolny, a o kupieniu książek nie było nawet mowy. Adela musiała je pożyczać od koleżanek, a jeśli trzeba jej było zeszytu czy ołówek, to namyślała się długo, zanim powiedziała o tym matce, bo matka zaraz zaczynała krzyżeć, że co chwila czegoś innego się jej zachciewa i że ona sobie żyły wypruwa, a Adela nie ma nad nią litości. Albo pochylała się nad balią z twarzą zaciętą i zimną i zaciśniętymi ustami, jak gdyby wcale nie słyszała prośby Adeli, i tarła bieliznę z taką zawziętą złością, że Adela nie śmiała już jej powtórzyć. Nikt też nie troszczył się o to, że Adela, która nie mogła często wydołać robocie, spóźnia się do szkoły lub opuszcza lekcje. A kiedy matka otrzymała pracę w fabryce, to Adela została już na stałe w domu pilnować dzieci.

— To trudno! Nauka chleba jej nie da!

Adela była teraz taka duża, że nie potrzebowała już nawet chodzić do szkoły.

Zresztą zewnątrz Adela także spoważniała. Nie żeby wyrosła, ale wychudła i wyciągnęła się jakoś. Jej dawniej okrągła i różowa twarzyczka zaostrzyła się, oczy przygasły i nabrały przedwcześnie dojrzałego wyrazu, a jasne, kędzierzawe

VI

włosy, które dawniej matka związywała do szkoły granatową kokardą, ściągała teraz w tył i zaplatała w maleńki, twardy warkoczyk, zakończony tasiemką, co nadawało im podobieństwo do uczesania tych wszystkich zmęczonych całodzienną pracą i krzątaniem kobiet, które wraz z jej matką powracały z fabryki — tyle tylko, że warkoczyk Adeli nie był zwinięty jak u nich w maleńką, przypiętą kilku szpilkami na czubku głowy kukiełkę. I tak samo jak owe kobiety Adela garbiła się teraz trochę i chodziła powłócząc zmęczonymi nogami. I tak samo opuszczała bezwładnie wzdłuż ciała ręce, jeśli zdarzyło się jej stać chwilę bez pracy. I tak samo jak one nauczyła się wkrótce w każdej okoliczności stawać po stronie „swoich dzieci” i walczyć o nie z całym światem. Bo na Woli i jeszcze nawet z początku na Żelaznej — to cóż? Był przecież zawsze jakiś swój bezpieczny i własny kąt. Ale kiedy ostatnie pieniądze i sprzęty poszły na leczenie, a później na pogrzeb ojca, to matka Adeli wzięła sobie „na mieszkanie” lokatorów. Było tam razem ze dwie kobiety, dwóch chłopów i siedmioro dzieci. Więc te kobiety kłóciły się ze sobą o wszystko: o miejsce przy kuchni i przy balii, o sznur na strychu, o kolejność szorowania podłogi. A dzieci to znów wydzierają sobie z rąk czy kawałek chleba, czy zimny kartofel, czy też kubek kawy, bo jedzenia nigdy nie było za wiele. I każda matka musiała pilnować, żeby inne dzieci nie „podjadły” jej małych — zupełnie jak kwoki swoich piskląt. Ale matka Adeli była od rana w fabryce, a wracała tak zmęczona, że już do niczego nie miała sił. Adela więc gotowała i szorowała, a często nawet i prała. I właśnie Adela musiała bronić swoich małych.

Dawniej, kiedy Adela była jeszcze mała, wszyscy mówili, że Adela jest bardzo nieśmiała. W szkole nawet często dlatego źle „wydawała” lekcje, bo kiedy musiała głośno wobec całej klasy odpowiadać pani na pytania, traciła przytomność, czerwieniła się, jękała i „już nie wiedziała”. Toteż z początku Adela czekała pokornie, aż lokatorki pozwolą jej wreszcie zagrześć dzieciom jedzenie, starała się zabierać jak najmniej miej-

72

sca w izbie i pozwalala się używać wszystkim do posług. Ale kiedy dzieci płakały z głodu i kiedy zobaczyła, że nie będzie mogła ich nigdy ani wykapać, ani opruć, ani obszyć, bo zawsze brakowało dla niej miejsca na płycie, wody, kawałka sznura, a nawet stołka, to nieśmiałość jej zapodziała się gdzieś bez śladu. Adela potrafiła teraz nie gorzej od innych odsunąć czyjś garnek z kuchni, zrzucić ze swego sznura „obcą” bieliznę, a nawet wzięwszy się pod boki tak „wygarnąć” komu potrzeba, że się jej kobiety bały, bo języczek miała ostry jak nóż, a krzyzczyć potrafiła tak, że ją w całej kamienicy było słychać. Wtedy to zaczęto właśnie mówić o Adeli, że jest chuda jak patyk, a zła jak pokrzywa — prawdziwa jędrza!

Niewiele sobie z tego zresztą Adela robiła. Dawniej, na Woli, to Adela miała taką naturę, że jak kto tylko na nią krzywo spojrział, to już zaraz czuła się jakby winna i najgorsza ze wszystkich i gotowa była się mazać przez cały dzień. Teraz jednak przestało ją zupełnie obchodzić, czy się ktoś na nią boczy, czy życzliwie patrzy.

— I tak wszystko dla interesu! — mówiła machając ręką zupełnie jak matka.

Świat podzielił się teraz dla niej jakby na dwie części: jedna bliska i jedynie ważna to była Adela, „jej” dzieci i jej matka, druga obojętna, a nawet wroga, to byli wszyscy inni ludzie. Dawniej, gdy się komu w czym nie powiodło, to ją tak obchodziło, jakby to się jej samej przytrafiło. Otrzymała jakaś koleżanka zły stopień — Adela martwi się z nią razem. Zobaczyła ślepego na ulicy — już cały dzień myśleć o niczym innym nie może. Okradli sąsiadkę — Adela w nocy się budzi i rozważa, co ta sąsiadka teraz pocnie. Aż się nieraz matka na nią za to irytowała, a ojciec nazywał ją „zmartwienie całego świata”. Ale na Żelaznej to te troski innych ludzi przestały Adelę jakoś obchodzić.

— Mam dość swoich kłopotów — mówiła niechętnie, zupełnie jak lokatorka Kubasiowa.

Na Woli nie było prawie ludzi, których Adela naprawdę nie

73

lubiała. Chyba pani od arytmetyki, która była straszną złością, i jeden chłopak w szkole, ten, co wykluwał oczy ptakom. Ale i to nawet nie było takie prawdziwe „niełubienie”. Za to na Żelaznej to takich ludzi zrobiło się nagle bardzo wiele: lokatorzy, dzieci z podwórka, które lubiły dokuczać jej „małym”, sklepiczarka, która nie chciała dawać na kredyt, ale już najbardziej to chyba ludzie z

Saskiego Ogrodu. Bo w życiu Adeli istniała dławiąca ją jak koszmar i powtarzająca się codziennie zhora, a tą zhorą były właśnie spaceru do Saskiego Ogrodu.

Zaczęło się to od tego, że Zosia, która miała krzywe nóżki i ciągle chorowała, potrzebowała powietrza i słońca.

■— Spaceru, proszę pani, spaceru, jarzynu i surowe owoce są najważniejsze! — tak powiedziała matce doktoru.

Więc Adela, która stała obok i przysłuchiwała się temu ze skupieniem, gotowała jarzynu, skrobała z braku owoców surową marchew i codziennie chodziła z małą na spacer.

Nielatwa to rzecz, gdy się ma dwanaście lat, maszerować kilka kilometrów dźwigając na rękach półtorarocznego Jasia, prowadząc za rękę czteroletnią Zosię i uważając, żeby się sześcioletni Wicus, straszny łobuz i zawiadaka, gdzieś po drodze nie zawieruszył i nie wpadł pod tramwaj.

Kiedy Adela dochodziła do ogrodu, koszula aż mokra na niej była od potu, nogi uginały się pod nią z osłabienia, ręce mdlały, a zaschnięte od kurzu i od ciągłego krzyku na Wicka gardło stawało się jakby drewniane. Ale dopiero w ogrodzie zaczynała się nowa męka. Można tu było co prawda usiąść w chłodzie na ławce, ale za to... Bo przecież nikt nie mógł chyba zarzucić Adeli, że nie utrzymywała czysto swoich dzieci! Codziennie wieczorem, gdy zmęczona całodzienną pracą matka zasypiała najczęściej od razu kamiennym snem, Adela łątała, cerowała i prała ich bieliznę i ubranka. Ale stare, wypłowiałe sukienki, z wieloma nie dającymi się już wywabić plamami, wyglądały mimo to zawsze jak trochę przybrukane. A oprócz tego pó drodze do ogrodu dzieci też potrafiły

74

wybrudzić je. Zmęczona Zosia musiała choć ze dwa razy usiąść na środku ulicy w kurzu czy błocie — gdzie popadło, a podnoszona przemocą przez Adelę, zaczynała płakać rozmazując rączkami brud po całej buzi. O Wicku to już nie ma nawet co mówić! Nie było kałuży, w którą by nie wlaź lub choćby na próbę nie „chlupnął” nogą, nie było schodków, z których by nie zeskoczył rozbijając i brudząc kolana, nie było szyby, po której by nie pociągnął oślinionym palcem lub której nie polizałby językiem. Toteż kiedy nareszcie przybywali do ogrodu, nie wyglądali wcale pociągająco. Matki, bony i nianki odsuwały ich z przestrachem, gdy malcy cisnęli się do zabawy z innymi dziećmi.

W Adeli, gdy to widziała, wszystko aż się przewracało ze złości i upokorzenia.

— Żebyście mi nie śmiały pchać się do tamtych bachorów! — zapowiadała im groźnie. — Bez łaski Ogród Saski!

Ale „tamte bachory” posiadały lalki, piłki, skakanki, koła i tysiące innych cudów, które dzieci Adeli znały tylko z szyb wystawowych. Nie było więc nawet mowy o posłuszeństwie.

'— Ach, żeby nie te spaceru, toby człowiekowi było lżej żyć na świecie! — wzdychała Adela, lecz mimo to co rano podejmowała odważnie wędrowkę do ogrodu. Z każdym dniem rosła w niej jednak nienawiść do tych matek, bon i nianek i do tych biało, różowo i błękitno ubranych laleczek, przypatrujących się z nieufnym zdziwieniem jej dzieciom. Najbardziej może jednak nie znosiła dziewczynek w swoim wieku lub niewiele młodszych od siebie, w jasnych, krótkich sukienkach, z barwnymi motylami kokard, dziewczynek skaczących jak małe dzieci przez skakanki, bawiących się w piłkę, prowadzonych za rękę, piastujących ludzko podobne do prawdziwych „dzidziusia”, a patrzących z odrazą na jej Jasia, który miał wysypkę na twarzy.

Jakiś niewytłumaczony wstręt i pogarda, wzbierały w Adeli. Nie. Nie były to właściwie wstręt i pogarda. Było to jakieś inne, dziwne uczucie. Dziewczynki te śmieszyły Adelę, ale

76

nie było w jej śmiechu wesołości, lecz raczej szyderstwo, obrzydzenie, głucha złość i jakby — obraza.

I kiedy Adela wracała ze spaceru do domu, była tak zmęczona i rozdrażniona, że to ona pierwsza wszczyniała teraz czasem awantury i kłótnie. Lokatorki zaczęły się na nią wieczorem skarżyć matce, która wysłuchiwała ich narzekań kiwając się sennie na krześle i patrząc tępym wzrokiem przed siebie. Ale pewnego razu coś w tych powtarzających się narzekaniach uderzyło ją jednak, bo podniosła oczy i spojrzała uważnie na Adelę. Patrzyła długo, w milczeniu, z coraz większym

zdziwieniem.

— No... — powiedziała wreszcie — kto by się tego spodziewał! Takie z niej było dobre i ładne dziecko, a teraz takie się jakieś złe, chude i brzydkie zrobiło. Prawdziwa jędra!

I nagle Adelę jakby coś ukuło w serce.

Tyle razy już przecież słyszała Adela to słowo z ust sąsiadek i — nic. Ale kiedy je powiedziała matka» to taki poczuła w sobie żal, że byłaby się rozbeczała na głos jak małe dziecko, żeby jej tak nie było wstyd. Dopiero więc w nocy, •kiedy wszyscy zasnęli i kiedy w izbie słychać już było tylko oddechy, trzeszczenie łóżek i chrapanie lokatorów, Adela rozplakała się z twarzą wtuloną w poduszkę.

A nazajutrz, kiedy Wicus i Zosia prosili Adelę, żeby im opowiedziała, jak to było na Woli, kiedy była jeszcze mała, Adela zamyśliła się i powiedziała:

— Kiedy byłam mała, byłam jeszcze dobra.

XVII. Felek

Czasem to naprawdę nie wiadomo, co się człowiekowi w życiu obróci na dobre, a co na złe.

Bo kiedy matka powiedziała Adeli, że weźmie na mieszka» nie nowego sublokatora, to cóż? Adela pomyślała sobie tylko, że nowy kłopot i zawada.

77

A tymczasem...

Przyszedł ten Felek pierwszy raz wieczorem razem z matką Adeli, bo pracowali w jednej fabryce. Lokatorki układały właśnie spać młodsze dzieci. Adela stała przy kuchni i gotowała wieszak. Jeden z sublokatorów wrócił do domu niezupełnie trzeźwy. Siedział na łóżku z wyciągniętymi nogami, przyglądając się ponuro końcom swoich obło-czonych butów. Dwóch chłopców wodziło się na środku izby za łby, wrzeszcząc przy tym przeraźliwie.

Jednakże gdy tylko Felek wszedł, wszyscy obrócili ku niemu głowy: był to przecież nowy człowiek, który odtąd będzie także zabierał część miejsca w izbie, który będzie jeszcze jedną przeszkodą, utrudniającą im wszystkim poruszanie się, oddychanie, pracę i spoczynek. Spojrzenia ich były twarde i niezyczliwe.

Tylko matka Adeli zabiegała około nowego sublokatora.

— Izba jest duża — mówiła prędko i jakby ze strachem, że się Felek może jeszcze rozmyśli. — A ludzie są porządne i spokojne. Nie tak, jak gdzie indziej, co to człowiek, kiedy idzie do roboty, to się boi, że mu tymczasem wszystko poroz-ciągają. I już co do czystości, to robactwa u mnie nie ma! A że zawsze się coś na kuchni gotuje, więc i ciepło jest, a to w zimie także przecież coś warte. Nie wiadomo, czy te wywody trafiły Felkowi do przekonania, czy nie.

Stał w progu izby ogromny, smukły i zarazem barczysty, taki, że głową sięgał niemal aż do górnej framugi drzwi, a robocza kurtka z niebieskiego „ferszalungu" ledwie nie pękała na jego szerokich ramionach. Granatową maciejówkę nosił wesoło zsuniętą w tył na jasnej, kędzierzawej czuprynie i patrzył jasnymi i dobrymi, a jednocześnie trochę jakby kpiąciami i dziwnie władczymi oczyma po izbie.

— No — roześmiał się wreszcie dźwięcznym i głośnym śmiechem. — No, tu nawet palić nie potrzeba! Jeden od drugiego może się grać, więc i tak będzie za gorąco!...

78

I śmiech jego był tak zaraźliwy, że nie tylko wszyscy w izbie, ale, ku swojemu największemu zdziwieniu, także i Adela zawtórowała mu natychmiast. Zdaje się, że nawet Adela pierwsza i głośniejsze niż inni, bo Felek spojrzał na nią, uśmiechnął się do niej i mrugnął porozumiewawczo. Zaraz też w izbie nastrój niechęci i napięcia przyszedł i poczęto Felkowi radzić, jak ma najlepiej ustawić łóżko i kuferek, który przytaszczył z sieni, i żeby nie przybijał gwoźdźmi na ubranie na tej ścianie, bo tam jest wilgoć, tylko na drugiej.

A tymczasem Felek już się rozgospodarowywał w swoim kącie. Siennik przykrył czystym prześcieradłem i kocem, kuferek ustawił przy nim niby stół, a na nim lichtarz i świecę.

— Czytam czasem w nocy — objaśnił. : I oto już siedział na łóżku zaznajomiony i zżyty ze wszystkimi, jakby tu zawsze mieszkał, i — opowiadał.

Bo od razu, od pierwszego wieczora, było zawsze tak, że Felek opowiadał, a wszyscy nasłuchać

się go nie mogli. O naj-, prościej rzeczy tak umiał mówić, że ludziom aż oczy z cie-' kawości na wierzch wychodziły i śmieli się, oburzali, a czasem to nawet i płakali jak małe dzieci.

A on potrafił jakoś zawsze w trakcie tego opowiadania to uśmiechnąć się do któregoś dziecka, to pokazać taką sztukę, że bachory aż usta otwierały ze zdumienia. Drobnostką było bowiem dla niego wyciągnąć komuś naj niespodzianie z za kołnierza cukierek, połknąć zapaloną zapałkę, a następnie wyjąć ją sobie jeszcze palącą się z nosa lub pokazać jakiemuś bąkowi, że nie zna zawartości własnej kieszeni, bo mu się nagle urodziła w niej bułka... Toteż od razu, jeszcze tego pierwszego wieczora, trzymał na kolanach dwoje, a troje innych obstało go ze wszystkich stron, nie odrywając od niego zachwyconych oczu i śledząc każde jego poruszenie, jak gdyby oczekiwały, że Felek zrobi lada chwila jakąś nową, cudowną i zdumiewającą sztukę.

Ale najbardziej zdziwiła Adelę jedna rzecz: oto gdy jeden

79

z sublokatorów poczęstował go papierosem, Felek odmówił grzecznie, ale stanowczo:

— Dziękuję. Palę, ale nie w izbie. Tu tyle dzieci.

Adeli aż ręka z łyżką, którą karmiła Jaska, zawisła w powietrzu.

Nigdy dotychczas nie słyszała, żeby tu ktoś liczył się z innymi, a do tego jeszcze z dziećmi!

Sublokator wzruszył ramionami i uśmiechnął się ironicznie:

— E... nasze dzieci nie takie tam delikatne! Widocznie pan Feliks do innego towarzystwa przyzwyczajony...

Felek popatrzył na niego uważnie i już bez uśmiechu swymi jasnymi oczyma. (Dziwne miał spojrzenie ten Felek, zupełnie jakby brał nim człowieka w garść i trzymał).

— Ja myślę — powiedział wolno — że to źle, jeżeli proletariats nie szanuje zdrowia swoich dzieci!

I od tego spojrzenia Felka czy też od tego obcego i dumnego słowa „proletariat” sublokator zmieszał się.

— Ja tam nic nie mówię — bąknął — może i pan Feliks ma rację. Ale — co tu można poradzić? Nie będzie pan palić, ale inni będą. Więc... czy nie wszystko jedno?

Felek już znowu uśmiechnął się swoim otwartym, szczerym i miłym uśmiechem.

— No, zawsze będzie o jeden komin mniej! — powiedział i skierował rozmowę na inne tory.

Ale po chwili sublokator zgasił papierosa. Felek zdawał się nie zauważać tego. Dopiero po kilku minutach rozmowy trącił go przyjacielsko łokciem i powiedział:

\* — Może byśmy tak poszli na papierosika, co? — I wyszedł do sieni, a za nim sublokator.

I od tego czasu rzadko kto palił w izbie. „Na papierosika” wychodziło się do sieni.

I od tego także czasu zaczęło się w izbie coś zmieniać... Codziennie coś innego. Niewidocznie niemal, ale stale. Jak gdyby z przybyciem Felka zrobiło się w niej nie mniej, ale więcej miejsca. A przecież Felek zajmował go właśnie bardzo

80

wiele. Czulo się go wszędzie, pamiętało się zawsze o jego obecności i kiedy nie wracał wieczorem do domu, mówiło się ze złością:

— Gdzież on się znowu włóczy, ten Felek?! Przyszedłby, opowiedziałby coś, a tak to się człowiekowi ten czas dłuży...

I nawet największa piekielnica, sublokatorka Jasińska, wstawiała czasem Felkowi kawę do pieca, żeby była gorąca.

Najczęściej wszakże, a potem to już zawsze, grzała tę kawę Adela.

Bo Adela najbardziej może ze wszystkich nie lubiła tych „zmarnowanych” wieczorów.

Skulona na łóżku, z łokciami wspartymi na kolanach, a głową na rękach, Adela mogła słuchać Felka całymi godzinami.

Wszystkie troski dnia odchodziły od niej wtedy i roztopiały się, ściany izby zdawały się rozszerzać i rozszerzać, aż wreszcie stawały się ledwie widoczne i znikwały zupełnie w jakiejś nie kończącej się dali.

Adela słuchała o kopalniach we Francji i o osadach w puszczy kanadyjskiej, o nocach na okręcie i wędrownkach przez dalekie drogi, i o wszędzie jednakiej niedoli, i wszędzie jednakim szczęściu.

Gdzież to nie był ten Felek, choć miał przecie dopiero dwadzieścia kilka lat! I czegoż to nie widział



i nie wiedział!

Mówił o maszynach, które mogłyby stworzyć człowiekowi zupełnie inne życie, a które są tylko jego panami, o gwiazdach, które nie są gwiazdami, lecz dalekimi światami, o dziwach obcych krajów i mórz. I także o tym najważniejszym — o przyszłym ustroju.

I kiedy Felek zaczynał o tym właśnie, to w Adeli aż zamierało serce. Przed oczyma jej bowiem wyłaniał się wówczas nowy świat (świat, którego budowniczym był Felek i — „proletariat“!). Wyrastały miasta w ogrodach, w których nie było ani biedy, ani piwnic, ani suterren. Miasta, w których zdrowe i opalone dzieci bawiły się na zalanych słońcem trawnikach, bie-

6 — Druga brama

81

gały między kwitnącymi owocowymi drzewami, uczyły się w ochronkach i szkołach, mieszczących się we wspaniałych, otoczonych placami zabawowymi i kwietnikami gmachach, kąpały się w olbrzymich pływalniach i jeździły przy dźwiękach wesołej orkiestry na karuzelach. Miasta, w których dorośli nie pracowali nad siły, aż do zupełnego wyczerpania, lecz dużą część dnia poświęcali wycieczkom, nauce, czytaniu, śpiewom i muzyce.

A wszystko to dzięki temu, że na świecie zwyciężyła sprawiedliwość, że żaden człowiek nie mógł żyć z wyzysku cudzej pracy, a żaden naród z wyzysku i ciemnienia innego narodu, że zapanował „nowy ład” (ład, o który walczy Felek i „proletariat“!). I człowiek w tym nowym świecie kierował huczącymi maszynami, zmieniał bieg i kierunek rzek, budował tunele pod oceanem, wznosił się na latających maszynach aż w podniebne strefy. (Nic nie było wszakże zbyt trudne dla Felka i „proletariatu“!).

A wszyscy ci ludzie kochali się i pracowali ramię przy ramieniu (i na pewno musieli być tacy dobrzy, piękni i silni jak Felek, bo taki właśnie jest „proletariat“!).

Więc nowe, cudowne słowo proletariat łopotało nad światem jak zwycięska czerwien sztantaru, sztantaru płynącego „ponad trony“! A słowo „burżuazja” budziło obrzydzenie i wzdąrdę! I kiedy Adela je słyszała, to wobrażała sobie dziewczynkę z Saskiego Ogrodu, w powiewnej sukience i z olbrzymią kokardą w lalczynych lokach, przyglądającą się z odrazą jej Jasiowi.

Teraz jednak w tym obrazie nie było już uczucia poniżenia i żalu, lecz raczej tryumf.

Adela nie żyła z niczyjej krzywdy, Adela nie zabierała nikomu słońca, chleba i nauki, Adela była — proletariusz-ką!

I to nad głową Adeli, a nie nad głową tamtej dziewczynki, łopotał ów sztantar, który płynie ponad trony! I to Adela,

82

a nie tamta dziewczynka, była częścią bratniej gromady całego świata!

Tylko znowu... z tą „bratnią gromadą” to nie wszystko było tak zupełnie w porządku. Oczywiście, że Adela kochała teraz z całego serca, tak jak życzył sobie tego Felek, „proletariuszy wszystkich krajów”. Jednakże... oprócz tych, którzy byli sublokatorami jej matki!... A nawet prawdę powiedziawszy to myśl, że oni także są proletariuszami, była Adeli raczej przykra...

Chociaż... właściwie mówiąc, to Adela wolałaby także nie zaliczyć w szeregi proletariatu wielu sąsiadów z tej samej kamienicy... Nie wszystkich, ma się rozumieć! Jedynie tych, których znała...

Opadały ją wątpliwości. Coraz większe. Bo przecież to było znowu tak jak na wieczornych lekcjach z jedną panią z tej samej kamienicy, która przez jakiś czas uczyła Adelę (niedługo zresztą, bo i Adela była wieczorem zanadto zmęczona, i panience znudziło się to jakoś wkrótce). Więc ta panią to znowu mówiła zamiast „proletariat” — „ludzkość”. I Adeli zdawało się czasem, gdy jej słuchała, że kocha wszystkich ludzi, ale potem okazywało się zawsze, że oprócz tych, których znała, a szczególnie tych, z którymi mieszkała.

Więc co? Najoczywiściej to, że daleko łatwiej jest kochać ludzkość niż ludzi i proletariat niż proletariuszy.

A może to tylko Adela jest taka podła?! No tak. Przecież nazywają ją nawet jędzą. Gdyby Felek wiedział, jaka ona jest, toby na pewno nie patrzył nawet w jej stronę! Dla takiej jak ona to chyba nie ma miejsca w tym przyszłym ustroju!

No dobrze. A... a... dla Jasińskiej? Czyż Jasińska jest zdolna do tego, żeby pracować, jak mówi

Felek, „ramię przy ramieniu" dla powszechnego dobra?! Albo nawet te inne?! Przecież wołały wcale nie szorować podłogi w izbie — byle tylko jedna nie zrobiła czegoś więcej niż druga! Przecież żarły się ze sobą o każdą drobnostkę! Albo Jasiński, który upijał się i znę-

83

cał nad żoną i dzieckiem?! Albo Kubas, który podczas strajku tylko dlatego nie szedł do pracy, że się bał kolegów?

Wątpliwości Adeli stawały się coraz większe i dotyczyły już nie tylko jej samej, ale nawet w ogóle możliwości przyszłego ustroju. Nie mogła jednak o nich mówić z Felkiem tak jak inni. Bo sytuacja Adeli była trudna i kłopotliwa. Adela nie była już wszakże dzieckiem i nie mogła, tak jak Wicek lub Zosia, wleźć do niego na kolana i paplać z nim o wszystkim, co im tylko ślina na język przyniosła. Nie była wszakże również dorosła i nie mogła bez obawy śmieszności wtrącić się do wieczornej pogawędki. Dusił ją więc w sobie tę rozterkę i te wątpliwości, aż zdarzył się wypadek, który wszystko zmienił.

Pewnej soboty Felek wrócił wcześniej z pracy. Dzieci bawiły się na podwórzu, bo dzień był słoneczny i wiosenny, sublokatorzy poszli „na posługi", a matka Adeli odwiedzić swego ojca, który był dozorcą na Lesznie. W izbie nie było nikogo oprócz śpiącego na łóżku Jaśka i Adeli, na którą przypadła kolej szorowania. Felek wszedł do mieszkania właśnie wtedy, kiedy Adela usiłowała z trudem ściągnąć z kuchni ogromny sagan z mydlinami.

— A ty co tutaj wyprawiasz? — ■ przestraszył się Felek. I wyrwawszy jej sagan z rąk postawił go na ziemi.

Adela spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Przecież muszę wyszorować podłogę! ■ — powiedziała.

— Wyszorować?! Ty?! Adela wzruszyła ramionami.

— A pewnie że ja! Choć prawdę powiedziawszy to dzisiaj jest kolej na Kubasiową. Ale ona zawsze się wykrecą.

■ — Ależ ty jesteś jeszcze za mała! — zawołał z gniewem Felek. — Jesteś za mała, żeby podnosić taki sagan! Rozumiesz, smarkulo jedna?!

Adela patrzyła na niego ze zdumieniem.

„Za mała"! Nie! To doprawdy zdarzyło się jej po raz pierwszy! Nie, żeby jej nigdy nie nazywano „smarkulą" albo „małą". Ale dotychczas Adela była zawsze „za mała", żeby kłócić

84

się ze starszymi, „za mała", żeby upominać się o swoje miejsce, „za mała", żeby nie ustępować z drogi innym lub nie usługiwać im. Jednakże nikt jeszcze nie twierdził, że jest za mała, żeby pracować...

Adela była tak zmieszana, że nie wiedziała, co odpowiedzieć.

Felek wyjął jej szczotkę z rąk.

— Siadaj na łóżku! — zakomenderował.

I Adela, osłupiała i oszołomiona, posłusznie usiadła na łóżku obok śpiącego Jasia.

Felek ściągnął kurtkę, zakasał rękawy od koszuli i — zabrał się do roboty.

Z początku Adela chciała nawet krzyknąć i zapobiec temu. Wydawało jej się bowiem niemal świętokradztwem, żeby taką pracę, tak niestosowną dla mężczyzny, wykonywał Felek. Ale nie zdążyła jeszcze odezwać się, gdy głos uwiązł jej ze zdumienia w gardle: podobnego szorowania to Adela jeszcze nigdy w życiu nie widziała!

Szczotka i ścierka tylko migwały mu w rękach! Szorował i wycierał, szorował i wycierał, a każdy kawałek podłogi, który pozostawiał za sobą, był tak czysty i biały, że chyba takiej podłogi nigdy jeszcze w tej izbie nie było!

Nie było to w ogóle jakby szorowanie, ale nowa sztuka Felka!

Więc Adela zrozumiała, że cokolwiek robi Felek, robi to inaczej niż wszyscy ludzie i że każda, najzwyczajniejsza nawet praca zmienia się w jego rękach w coś zupełnie innego, tak jak najbliższe nawet zdarzenia nabierały w jego ustach barwy i blasku... Nie próbowała się już sprzeciwić. Siedziała na łóżku skulona nieruchomo jak podczas jego opowiadań i nie odrywała od niego błyszczących oczu.

A tymczasem Felek już skończył, odstawił sagan, obrzucił swą pracę zadowolonym spojrzeniem, a spotkawszy zachwycone oczy Adeli pokazał jej w uśmiechu wszystkie zęby.

— Myłem w Niemczech dworce kolejowe! — objaśnił.

85

I przyniósł sobie miednicę, zdjął koszulę i zabrał się, jak zwykle po robocie, do mycia.

Adela cicho ześliznęła się z łóżka i podeszła do niego.

Stała obok niego nie śmiejąc się odezwać. Serce biło jej jak młotem. Wiedziała, że jeżeli teraz, kiedy przecież nie ma nikogo w izbie, nie powie mu tego, to już chyba nigdy. Ale nie mogła wykrztusić ani słowa.

Wreszcie wyciągnęła rękę (ręka jej zrobiła się nagle jakby drewniana) i pociągnęła go leciutko za rękaw. Felek, który właśnie zapinał kurtkę, obrócił się ku niej z uśmiechem.

— Ja... ja... — powiedziała Adela i wybuchnęła płaczem. Felek przestraszył się. Usiadł na łóżku i przyciągnął ją do siebie.

— No, co ci jest? Co ci się stało, Adelciu?

Ale Adela płakała dalej i nie umiała powiedzieć, co jej jest. Bo jakże tu objaśnić Felkowi, że jest taka podła i że nie wierzy w przyszły ustrój i że gdyby Felek wiedział, jaka ona jest naprawdę, to na pewno nie szorowałby za nią podłogi...

I dopiero po długiej chwili, bezładnie, niezdarnymi słowami, tak że Felek nie mógł z początku zrozumieć, o co jej chodzi — powiedziała wszystko.

Felek słuchał uważnie. Bez gniewu i bez uśmiechu patrząc na nią dobrymi i smutnymi oczyma.

— Więc tak to jest z tobą, Adelciu... — powiedział wreszcie trochę drżącym głosem. — Więc tak to jest, że ty już nie wierzysz?...

A potem zaczął tłumaczyć. Że tak, że najtrudniej jest zawsze kochać najbliższych, bo trzeba umieć zrozumieć i wybaczać. I że ludzie są źli nie dlatego, że są źli, ale dlatego, że jest im źle. I że w przyszłym ustroju będą zupełnie inni...

Ale Adela nie mogła się uspokoić.

Więc Felek przyciągnął ją jeszcze bliżej i nagle posadził ją sobie na kolanach i przytulił do piersi.

W Adeli zamarło wszystko. W pierwszej chwili chciała wyrwać się i uciec. Bo jakże?! Ona, „duża Ad«la”L. Ale potem

86

już nie. Ogarnęło ją nagle uczucie, jakby zapadała się gdzieś, w ciszę, spokój, ciemność i szczęście. Przestała płakać. Przestała niemal oddychać.

I w rozkosznych bezpieczeństwie mocnych Felkowych ramion Adela poczuła nagle, że jest mała i że... tak... że wierzy!

XVIII. Ich niedziela

Od tego czasu, gdy Felek wyszorował za Adelę podłogę, zrobiło się nagle tak, jakby Adela i Felek...

Nie! to przecież wcale nie było tak; Felek był wszakże tym samym co dawniej Felkiem, tylko Adela nie była już dawną Adelą.

Adela była teraz — „małą Felka”.

Stało się to wkrótce jasne nie tylko dla niej samej, ale nawet i dla innych.

Z nią pierwszą witał się spojrzeniem Felek, gdy tylko wracał z roboty, „jej” dzieciom przynosił najczęściej karmelki, pomagał jej w pracy, jeżeli tylko był w izbie, do niej sprowadził lekarza, gdy raz zachorowała.

Wszyscy przyzwyczaili się do tego, że kiedy pewnego razu Adela przewróciła się z wiadrem wody na korytarzu, to sąsiadka krzyknęła ze złością do powracającego właśnie z roboty Felka:

— Popatrz no pan tylko, co ta pana mała narobiła! Innym zaś razem, gdy Felek bronił Adeli przed matką, któ-^

ra krzyczała na nią za to, że Wicek wybił dozorczy szybę, to nawet matka wzruszyła ramionami i powiedziała:

— Ach, ta pana Adela!...

Sublokatorki żartowały czasem z Adeli, gdy wstawiała do pieca Felkową kawę:

— Cóż to twój kawaler tak długo dzisiaj nie wraca?... Albo:  
■—r~Ho! Hó! To pan Feliks znowu przyniósł narzeczonej cukierki!

87

Felek niby się uśmiechał, ale nie lubił takich żartów:

— Dałaby pani spokój. To niedobrze dla małej!

Gruba i wesoła Kubasiowa śmiała się tak, że aż jej się brzuch trząsał pod pasiastym fartuchem:

— Co „niedobrze”? Dlaczego „niedobrze”? Jeszcze kilka latek, a będzie w sam raz...

Adeli nie gniewały jakoś te dogadywania. Nic jej w ogóle teraz nie gniewało. Zrobiła się dziwnie cicha i łagodna i chodziła w promieniach Felkowej łaski i opieki jak w słońcu.

Od rana, kiedy się tylko budziła, od razu wiedziała, że teraz w izbie jest Felek i że będzie dziś i jutro, i zawsze! Gorący strumień radości napełniał ją całą. Miała serce jakby nalane światłem.

Czasem to światło nie mogło się już w nim pomieścić i przelewało się przez brzegi. Wówczas Adela próbowała śpiewać. Ale głosik miała tak cieniutki i piskliwy i śpiewała tak fałszywie, że sublokatorzy krzyczeli natychmiast:

— Bój się Boga, Adela! Myszy wystraszysz! — Albo: — Przestań, dziewczyno! Skrzypisz jak nie nasmarowane koło!

Adela nie obrażała się — wybuchala śmiechem. Wszystko było teraz takie wesołe! A zwłaszcza tego tygodnia, kiedy Felek obiecał jej, że całe niedzielne popołudnie spędzi z nią i „jej” dziećmi.

■— Taki jestem zmęczony, Adelciu — powiedział — że chcę sobie z wami odpocząć. Ta niedziela będzie naszą nadzieją. Wszyscy się porozłożą, a my będziemy sobie piekli kasztany i wytnę wam z kartonu jedną grę i — zobaczysz sama!

Powiedział to we wtorek, więc Adela nie mogła się już po prostu doczekać niedzieli — całe pięć dni! Mój Boże! Ileż rzeczy mogło się zdarzyć przez ten czas!

Mógł Felek zapomnieć albo mogło mu coś wypaść, albo mógł przyjść jeden z tych kolegów, którzy czasem do niego zachodzili, poszeptali z nim o czymś cicho i zabierali go ze sobą.

88

Mogły te chrzciny u Franciszkowej, na które się wszyscy sublokatorzy wybierali, zostać odłożone, a wtedy Adelcia i dzieci nie będą same z Felkiem w izbie i to ich „własne popołudnie” przepadnie.

Mogła wreszcie matka nie chcieć iść sama na Leszno, lecz posłać tam Adelę.

Ale minął już wtorek, środa i czwartek i wszystko zapowiadało się jak najlepiej.

Matka ciągle mówiła o tym, że człowiek jest taki zapracowany, że nawet przez cały tydzień nie ma siły zajrzeć do ojca, któremu przecież trudno dać sobie radę ze wszystkim, teraz gdy macocha jest chora.

Felek, ile razy przechodził koło Adeli, mrugał do niej filuternie i szeptał tajemniczo: „niedziela!”...

A we czwartek Franciszkowa kupiła i zamarynowała dziesięć funtów wieprzowiny, o czym rozprawiano szeroko i z ożywieniem w całej kamienicy.

Ale w piątek w serce Adeli począł się znowu wkradać niepokój. Bo w piątek wieczorem Felek ani razu nie wspomniał już o niedzieli.

„Co ma ciągle gadać o jednym i tym samym!” — pocieszała się Adela. I nawet poprosiła sklepiczarkę o jakieś stare tekturowe pudełko na tę grę, którą Felek będzie im wycinał.

W sobotę rano Felek wstał trochę za późno, pospiesznie ubrał się, duszkiem wypił kawę i — już go nie było. O niedzieli znowu ani słowa.

„Spieszył się do roboty, więc przecie nie miał czasu”... ■— myślała ze ściśniętym sercem Adela. — A zresztą... czy on tylko tę niedzielę ma na głowie?!

Jednakże w sobotę wieczorem, kiedy Felek siedział w swoim kącie nad książką, Adela nie mogła już znieść tego milczenia. Podeszła do niego i szepnęła cichutko:

— Wiesz, Felek, mam już karton!

Felek podniósł znad książki zamyślane oczy.

— Karton?... — powtórzył. — Karton?...

89

- Przecież na tę grę!... — szepnęła z zamierającym sercem Adela.

— AL. Na grę... No, to dobrze — powiedział z roztargnieniem Felek. Ale było od razu widać, że

nie bardzo wie, o co chodzi.

Adela nie mogła tej nocy zasnąć. Czy to możliwe, żeby Felek zapomniał?! I dlaczego właściwie ona przypuszcza, że zapomniał? Przecież wyraźnie powiedział „no, to dobrze”... A jeżeli powiedział „no, to dobrze”, to znaczy...

Jeżeli zaś nawet zapomniał, to może sobie przypomni jutro rano.

A zresztą... może mieć jakieś zmartwienie i dlatego... Czy to Felek nie ma innych zmartwień prócz ich głupich gier?! Tak, na pewno Felek ma zmartwienie! Ale jakie?

Ale nazajutrz rano Felek wstał wesoły jak kos. Figlował z dziećmi, żartował ze starszymi, mył się długo, pluskając się wesoło w zimnej wodzie, a potem włożył nowe granatowe ubranie i wygwizdując wesoło na całą izbę, długo i starannie zawiązywał przed lustrem krawat i szczotkował do tyłu swoje niesforne kędzierzawe włosy.

— Oho! — powiedziała Kubasiowa. — Pewnie tam jakaś panienska na pana Felka czeka!

— Może... może... — śmiał się Felek swoim radosnym i dźwięcznym śmiechem, który aż dzwonił po izbie. — Może i czeka! — I już sięgał po czapkę. Ale w tej chwili jego spojrzenie padło na Adelę.

Adela siedziała na łóżku i karmiła Jaśka. Była bardzo blada i miała zaciśnięte usta. Jej oczy śledziły każdą łyżkę, którą niosła do ust dziecka, jakby się bała coś z niej uronić. Nie mówiła nic. Ani słowa.

Ale mimo to Felek przypomniał sobie widać o czymś, bo nagle uderzył czapką w stół i zawołał:

■— A do licha! Byłbym zapomniał!

A potem usiadł przy Adeli i dodał cicho:

A co będzie z naszym popołudniem, Adelciu?

90

Adela nie odwróciła ku niemu głowy.

— Nie wiem ■— odpowiedziała krótko i dalej śledziła uważnie oczyma łyżkę, jak coś, od czego nie wolno jej oderwać ani na chwilę spojrzenia.

Felek z zakłopotaniem obracał w rękach czapkę.

— Zrobione! — powiedział wreszcie wesoło, jak ktoś, kto znalazł wyjście. — Wróć wcześniej i zdążymy się jeszcze pobawić!

Przeciagnał ręką po włosach Adeli, kiwnął wszystkim głową i po chwili słysząc już tylko było, jak gwizdząc przeskakuje po kilka schodów na raz.

Adela siedziała dalej, wciąż taka sama sztywna i z zaciśniętymi ustami. Nie rzuciła w stronę drzwi, za którymi zniknął Felek, ani jednego spojrzenia.

Wieczorem, kiedy Felek powrócił, w izbie było bardzo cicho. Sublokatorzy nie przyszli jeszcze z chrzcin, matka Adeli zabrała ze sobą na Leszno Jaśka, Zosię i Wickę. Było już prawie ciemno.

Tylko od palącego się na kuchni ognia szedł na izbę czerwony blask.

Na razie wydało się Felkowi, że nie ma w niej nikogo.

Dopiero po chwili dostrzegł pod ścianą siedzącą na ławce Adelę.

Siedziała skulona, drobniutka, prawie niewidoczna i obierała kartofle, które wpadały w szaflik stojący na podłodze u jej chudych, nie dosięgających ziemi nóżek. Nie rozprostowywała schylonych pleców i nie podnosiła głowy, jakby wcale nie zauważyła skrzyknięcia drzwi i nie widziała Felka, który stanął obok niej i patrzył w milczeniu. Kartofle wymykały się jedne za drugimi z jej czerwonych, spierzchniętych rączek i wpadały z pluskiem w wodę.

— Adela... — zaczął Felek. — Adela...

Odpowiedziało mu milczenie.

Tylko głowa Adeli pochyliła się jeszcze niżej i jakby zapadała w ramiona, a czerwone rączki pracowały jeszcze szybciej.

91

- Dlaczego siedzisz tu sama? Nie poszłaś z matką na Leszno?

Adela milczała. Felek doznał nagłego ściśnięcia serca. Więc czekała na niego dotychczas. Całą tę niedzielę, która może miała być jej pierwszą niedzielą.

Usiadł obok niej i położył jej rękę na głowie.

— Adelciu... — szepnął.

Adela strząsnęła jego rękę szorstkim, gwałtownym ruchem i obierała dalej, jeszcze prędzej, jeszcze zawzięciej.

Felek wyjął jej nagłym ruchem nóż i kartofel z rąk, rzucił je do szaflika i usiłował przemocą obrócić ku sobie jej głowę.

— Gniewasz się na mnie, Adelciu? — pytał. — No, odpowiedz mi, gniewasz się?

Adela szamotała mu się w rękach, oporna, wściekła, cała rozdygotana ze złości i żalu.

■— Zostaw mnie! — krzyknęła. — Idź do tamtej! Nie potrzeba mi twego głaskania!

Felek puścił ją i popatrzył na nią zdumiony.

■— Coś ty powiedziała? — zapytał. — Coś ty powiedziała, Adelciu?! — I pochylił się znowu nad nią.

I wówczas właśnie stało się to straszne. To, czego nigdy chyba nie zapomni Adela. Bo Adela chciała przecież tylko odepchnąć Felka, chciała go tylko mocno, z całych sił odepchnąć! I — uderzyła go! Tak — uderzyła Felka! Dopiero, kiedy się to stało, zrozumiała, co właściwie zrobiła, i zdrętwiała z przerażenia.

Felek podniósł się z ławki, powoli poszedł do kąta i zaczął zdejmować kurtkę.

Stał tak odwrócony tyłem do Adeli, która śledziła, cała zmartwiała ze strachu, każdy jego ruch: tak samo właśnie ściągał kurtkę i powoli odpinał rzemień sublokator Jasiński, kiedy zabierał się do rozprawy ze swoim Staśkiem...

„A niech... — pomyślała Adela. — A niech! Wszystko jedno... wszystko jedno!”

92

Bo nagle w Adeli zatrzasnęło się coś i zacięło tak mocno, że nie mogła rozewrzeć zaciśniętych zębów. Stała się nagle cała jakby drewniana. Tylko serce, które z początku zastygło w niej w straszliwym napięciu oczekiwania, bolało. Bolało coraz mocniej. W uszach miała szum, a gardło stało się tak suche, że z trudnością przełykała ślinę.

— Nie poszedłem do dziewczyny, Adelciu — powiedział nagle Felek, który stał wciąż odwrócony tyłem do niej i zapinał codzienną marynarkę. — Gdybym nawet miał swoją dziewczynę, a bardzo być może, że ją będę miał (zapamiętaj to sobie dobrze, Adela!), to nie porzuciłbym dla niej ciebie. Ty miałabyś u mnie swoje miejsce, a ona swoje. Ale poszedłem dziś nie do dziewczyny, tylko po jedną paczkę, na którą dawno czekali, a która dopiero dziś szczęśliwie przyszła. W tej paczce są takie rzeczy, które potrzebne są dla Sprawy. Mówię to tylko tobie, rozumiesz, Adela?

— Ach — powiedziała Adela i wydało się jej, że jakiś ogromny ciężar zwałił się z niej nagle, a jednocześnie straszliwy żal i skrucha szarpnęły jej sercem. Nie mogła płakać. Załkała tylko krótkim, urywanym, suchym szlochem.

Felek odwrócił się gwałtownie, podszedł do niej, wziął ją za oba ramiona tak mocno, że aż ją zaboląło, i postawił przed sobą.

— A teraz posłuchaj, Adela! — powiedział surowo. — ■ To, co zrobiłaś, było wstrętne! Nie ma nic wstrętniejszego niż zazdrość, która doprowadza człowieka aż do takich czynów, rozumiesz? I jeżelibyś kiedykolwiek jeszcze tak postąpiła, nie wybaczę ci już, przestanę cię kochać i nie będziesz już moją małą!

Puścił jej ręce i usiadł ciężko na ławie.

Adela podeszła do niego i przytuliła z całej siły głowę do jego ramienia, mówiąc, że już nigdy więcej... że już nigdy!...

Ale kiedy obudziła się w nocy i przypomniała sobie to, co powiedział Felek, roześmiała się cicho ze szczęścia: Nie miał więc wcale innej dziewczyny! Miał tylko ją, Adelę!

93

## XIX. Straszna noc

Stało się to wszystko tak nagle, że Adela długo nie mogła uwierzyć, żeby ten straszny koszmar senny mógł być prawdą.

Adela nie mogła tej nocy długo zasnąć.

W izbie było gorąco i duszno.

Od poduszki buchało żarem jak od pieca.

Wicek wsadził jej głowę pod pachę i nie mogła go odsunąć.

Zośka, która spała w nogach łóżka, kopała ją ciągle, a matka naciągała bezustannie zrzucaną przez Adelę pierzynę.

Cuchnęło potem, brudnymi ścierkami, wiadrem, na które w nocy wychodziły dzieci, a w dodatku przez niskie okienko — odpadkami ze śmietnika: widocznie był to dzień wywożenia śmieci.

Adela zapadała co chwilę w krótki, męczący półsen i budziła się znowu. Gryzło ją, a nie mogła się poruszyć, żeby nie obudzić Jaśka. W lecie zawsze było najwięcej pcheł.

O którejś godzinie poczuła wreszcie, że zapadła miękko w ciemność i ciszę prawdziwego snu. I w tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Adela wzdrygnęła się i zbudziła się natychmiast.

Ona pierwsza w izbie usłyszała pukanie i trąciła matkę.

— Pewnie znowu ten pijak Jasiński! — mruknęła matka -unosząc się na łóżku.

Ale z zewnątrz odezwał się głos stróża Franciszka. Brzmiał twardo, oficjalnie, urzędowo:

— Proszę otwierać! Rewizja! Matka znieruchomiała z przerażenia.

— Otwierać, powiadam! — krzyczał Franciszek.

Nagle zbudzona Jasińska zaczęła jęczeć i wzywać Boga i wszystkich świętych. Kubasiowa biegała po izbie, w popłochu naciągając spódnicę i kaftanik i zabierając rzeczy,

94

jak gdyby dzwoniło na pożar. Mężczyźni ubierali się szybko i pospiesznie, a zbudzone dzieci zaczęły płakać.

Felek pierwszy był gotów. Zapalił lampę i otworzył drzwi.

Do izby wszedł Franciszek z latarnią, a za nim z brzękiem ostróg i szabli dwóch żandarmów i oficer.

— Pan jest Kwiatkowski? — zwrócił się do Felka żandarm.

— Tak — odpowiedział Felek. — Tu są moje rzeczy, a tu łóżko.

W mgnieniu oka pościel została zrzucana z łóżka. Poduszka, prześcieradło, koc. Jeden z żandarmów przetrząsał siennik, drugi wyrzucał z kuferka rzeczy Felka.

Adela patrzyła z osłupieniem, jak czyste koszule Felkowe, które dopiero wczoraj przyniósł sobie z prania, świąteczne granatowe ubranie, tak porządnie zawsze poukładane książki, wszystko wałało się teraz na ziemi, zmięte i rozrzucone. Spojrzała z przerażeniem na Felka i uspokoiła się natychmiast: widocznie nie było w tym nic groźnego, bo Felek nie zdawał się tym martwić.

Przyglądał się wszystkiemu z wyraźnie kpiącym uśmieszkiem.

— Może jeszcze walizeczka... — proponował uprzejmie żandarmom.

Oficer obrzucił go wściekłym spojrzeniem.

— Obszukać całe mieszkanie! — zakomenderował. Żandarmi zabrali się do pierwszego z brzegu łóżka. Teraz

dopiero Felek zmarszczył z niezadowoleniem brwi.

— Po co to panom? — zaoponował. — Przecież ja jestem tu tylko sublokatorem! Nie chowałbym chyba po cudzych łóżkach! Porozbudzacie dzieci!

— Milczeć! — wrzasnął oficer. — Nikt się pana o zdanie nie pyta!

Felek wzruszył ramionami i zamilkł chmurnie.

Jedne za drugimi zlatywały z łóżek sienniki, poduszki, pierzyny. Powyrzucane z kuferków i pościągane z wieszaków rzeczy zaścielały całą podłogę. Wszyscy skupili się w spłoszo-

95

ną, milczącą gromadkę. Nawet dzieci przestały płakać ze strachu!

— Pan z nami! — powiedział wreszcie do Felka oficer. — Ubieraj się pan!

Felek włożył palto i odszukał na podłodze swoją czapkę. Od drzwi przesłał jeszcze nie mogącej niczego pojąć Adeli ostatnie spojrzenie i uśmiech.

I spojrzenie to było właśnie tym jasnym, głębokim, „biorącym w garść" Felkowym spojrzeniem. Ale uśmiech nie był zwykłym uśmiechem Felka. Był to jakby tylko cień tego uśmiechu.

XX. Adela nie płacze

Adela rzadko kiedy płakała. Nie można jednak znowu powiedzieć, żeby nigdy. Płakała raz, kiedy Jasiiek był chory, raz, kiedy ją matka niesprawiedliwie wybiła za jakąś Wiekową psotę, i raz, kiedy

tak zupełnie i w żaden sposób nie mogła uwierzyć w nowy ustrój. Czasem nawet zdarzało się jej płakać ze złości, gdy sub-lokatorki jej bardzo dokuczyły albo kiedy nie mogła sobie dać rady z jakąś robotą.

Ale teraz Adela nie płakała.

Ani nawet nie mówiła z nikim o Felku.

Jakby tylko wyszedł do roboty i miał wieczorem powrócić albo jakby go nigdy nie było.

Inne dzieci i sublokatorzy wspominają ciągle Felka. Troszczą się, co z nim teraz jest, co mu grozi i za co go właściwie wzięli. Większość żałuje go, a Jasiński powiada, że trudno: jak sobie kto pościele, tak się wyśpi, i jak kto szuka guza, to go znajdzie.

Ale Adela — nic.

Rano, jak zwykle, wstanie, ubierze młodsze dzieci i idzie z nimi do ogrodu. Wróci, zgotuje obiad, nakarmi je, a po-

96

tem pierze, zamiata izbę, łąta albo ceruje. Ale żeby kiedy zagadnęła kogo o Felka — to nie.

Aż się Jasińska i Kubasiowa wydziwić nie mogą, że niby „co za dziecko takie!” Boć przecie ten Felek ciągle jej coś przynosił i najbardziej ze wszystkich dzieci ją właśnie lubił. Bez serca jest chyba ta Adela czy co?

Same nawet próbowały ją zaczepiać, ale Adela zaciskała tylko usta, patrzyła spode łba i — nic.

Jeszcze się bardziej mrurowata i zła zrobiła niż dawniej — prawdziwa jędrza!

Tylko wieczorem, przed siódmą, zawsze wstawiała do pieca duży kubek kawy.

Żeby miała nie wiem jak mało mleka, zawsze robiła o ten jeden kubek więcej i wstawiła go do pieca.

A kiedy już położyła dzieci spać, siadała skulona, z głową wspartą na rękach, wpatrzona nieruchomo w drzwi, aż póki ostatni sublokator nie położył się i nie zgasił lampy.

W niedzielę rano, kiedy matka poszła z dziećmi na Leszno, Adela ubrała się, powiedziała Kubasiowej, że nieprędko wróci — i wyszła. W bramie spotkała się ze stróżem Franciszkiem i zapytała go, jak się idzie na policję.

— Niby do cyrkułu?\* — zdziwił się Franciszek. ■— Tak — potwierdziła Adela.

— Tu zaraz, trzecia ulica na prawo, taki żółty doni. A po co ci to?

Adela nie odpowiedziała.

W cyrkule za drewnianą barierką siedział przy stoliku obitym zieloną bibułą „pan naczelnik”.

Kilka kobiet w chustkach, jakaś elegancko ubrana panienska i panusia w kapeluszu, lepiej i gorzej ubrani mężczyźni, stróż w czapce z mosiężną blachą podchodzili do niego kolejno.

Pan naczelnik jednych wysłuchiwał obojętnie i ze znużeniem, popijając herbatę i dłubiąc piórkami w zębach, innych uprzejmie (elegancko ubranej panience kazał nawet podać

•Cyrkuł — dawna nazwa komisariatu.

7 — Druga brama

97

krzesło), a na jeszcze innych huczał tak groźnie, że wystraszeni petenci \* cofali się w popłochu ku drzwiom.

Adela doczekała się swojej kolei i podeszła do barierki.

Mówiła spokojnie, zwykłym, trochę drewnianym głosem, jak gdyby przyszła do sklepiku po bułki. Ręka z piórkami zawisła w powietrzu. Rewirowy spojrział na Adelę ze zdziwieniem.

— Aresztowany? Widzieć się? A ty kto będziesz jego? Siostra? A?!

■— Nie — odpowiedziała Adela.

— No, więc co cię to obchodzi? Ktoś starszy cię wysłał? Tylko mów prawdę! — zainteresował się przyglądając się jej podejrzliwie.

Adela spojrzała na niego ponuro.

— Nie — powiedziała. ■— Nikt mnie nie wysłał. Ja jestem... — zawahała się chwilę, nie mogąc znaleźć określenia — ja jestem... jego mała!

— Co ty jesteś jego? — zaryczał ze śmiechu naczelnik. — A to sobie narzeczoną socjalist upatrzył! Wcześniej zaczynasz! A teraz zabieraj się — dodał groźnie. — No już! Bo powiem matce, to ci tak



wsypie, że usiąść nie będziesz mogła!

Interesanci podchwycili natychmiast śmiech pana naczelnika. Nawet policjant przy drzwiach śmiał się, aż mu łzy stanęły w oczach.

Rewirowy zwrócił się do następnego interesanta.

Adela usunęła się na bok, przeczekwała ich rozmowę i znowu podeszła do barierki.

— Panie naczelniku... — zaczęła tym samym, spokojnym, drewnianym głosem.

— A, ty jeszcze o narzeczonym... — żartował zadowolony z efektu poprzedniego dowcipu naczelnik. — Zostaw ty jego w spokoju, dziewczonka! On sobie za kratkami posiedzi, a ty tymczasem podrośniesz... Akurat go dla ciebie zachowamy. A tak by ci go jeszcze która sprzątnęła, co?

•Petent — osoba prosząca o załatwienie jakiejś sprawy urzędowej.

98

Izba aż trzęsała się ze śmiechu,

— No, dość już tego — dodał już groźnie naczelnik. — Zabieraj się, pókim dobry! Następny!

Adela znowu odsunęła się na bok, przeczekwała rozmowę naczelnika ze stróżem i znowu zbliżyła się do bariery.

— Panie naczelniku...

Naczelnik już się nie śmiał... Zerwał się, cały purpurowy z gniewu.

— Poszła won! — zaryczał tak, że wszyscy petenci cofnęli się przerażeni, paniusia z piórkiem jęknęła cicho, a wysoki, blady Żydek aż przysiadł ze strachu. — Won! W tej chwili! Won!

Spłoszeni interesanci popychali Adelę ku drzwiom, a „pan naczelnik”, poważny i surowy, zwrócił się już do grubej i niskiej pani, która zaczęła mu coś tłumaczyć płaczącym głosem. Adela wcisnęła się w kąt, przeczekwała cierpliwie ją i kilku następnych, po czym znalazła się znowu najniespodzianie dla wszystkich koło barierki.

— Panie naczelniku...

Tym razem naczelnik zdziwił się tak bardzo, że nawet nie rozgniewał się.

— Durna jakaś czy co?!... — mruknął do siebie, a potem skinął na stojącego w drzwiach policjanta, który chwycił Adelę za ramię i wypchnął ją na korytarz, Adela próbowała wrócić, ale drzwi były zamknięte.

Usiadła więc na schodach i czekała.

Upływały godziny. Jedna, druga, trzecia.

Policjant wyszedł na schody z paczką jakichś formularzy w ręku. Chciał właśnie otworzyć drzwi do sąsiedniej kancelarii, gdy natknął się na Adelę.

— To ty?! — spojrzał na nią ze zdziwieniem.

Adela podniosła się. Patrzyła na niego w milczeniu, z uporem.

Był to starszy człowiek, o poczciwej, szerokiej twarzy, długich wąsach i bardzo niebieskich oczach.

99

— No... no... — pokiwał głową, a potem dodał łagodnie:

— Nie duri, dziewczonka \*! Przecież to nie więzienie, a cyrkuł. ■— I po chwili namysłu dorzucił jeszcze: — A i do więzienia też cię tak od razu, bez pozwolenia nie puszczą. Trzeba iść do urzędu po pozwolenie. Napiszę ci adres.

Napisał coś ołówkiem na skrawku papieru i podał jej.

— A teraz to już pójdziesz do domu, prawda?

Adela wzięła karteczkę i skinęła głową. Szła zgarbiona, ledwie powłócząc nogami. Od rana nic nie jadła i była straszliwie zmęczona. A przy tym wiedziała, że musi czekać cały tydzień: w powszedni dzień nie mogła zostawić dzieci samych.

W izbie matka czekała już na nią.

— Gdzieś się włóczyła?! — krzyczała już od progu. — Słyszał ktoś coś podobnego?! Wyszła rano i wraca o tej porze!

Adela nie odpowiedziała. Siadła w milczeniu na ławce i łykała pozostawione dla niej zimne kluski. Coś ją jednak tak dławilo w gardle, że zdołała zjeść zaledwie kilka. Nie patrząc na dzieci, które ją obstały, weszła na łóżko i wtuliła się w kąt jak ranne zwierzątko.

— Chora jesteś? Boli cię co? — zatrwożyła się matka, którą tak niezwykle zachowanie się Adeli zaniepokoiło.

A nie otrzymawszy odpowiedzi westchnęła:

— Niestety moje z takim mrukiem! — I okryła ją starannie pierzyną.

Adeli sprawiło to ulgę. Nie żeby jej było zimno, ale to, że matka ją okrywa. Usnęła natychmiast. A następnego dnia wstała już znowu taka jak zwykle, od rana do wieczora zajęta pracą i dziećmi, milcząca i opryskliwa.

Następnej niedzieli poszła do wskazanego jej przez policjanta „urzędu”. Ale w niedzielę urząd był zamknięty.

Zabierała więc codziennie dzieci i wędrowała razem z nimi, uginając się pod ciężarem Jaśka, ledwie trzymając się na nogach ze zmęczenia.

'Nie duri dziewczonka (rys.) — nie wariuj, dziewczyno.

100

Nie chciano z nią rozmawiać.

Aż pewnego dnia któryś urzędnik się zlitował.

— No, niech ci będzie! — powiedział •— postaram się! Poszedł do jakiejś kancelarii. Długo nie wracał. Aż wreszcie, może po godzinie:

— Nie ma go już tutaj, mała! Zesłany na Syberię. Adela przestała wstawiać do pieca Felkową kawę.

Ale wieczorami siedziała dalej, nieruchomo wpatrzona w drzwi i — czekała.

XXI. Ostatni ślad

Kiedy Adela starała się przypomnieć sobie znacznie później pogrzeb macochy matki, to nie mogła wywołać w swojej pamięci nic innego prócz straszliwie długiej i męczącej drogi na cmentarz, a następnie izby dziadka natłoczonej ludźmi, którzy gawędzili wesoło, zajadali kielbasę, trącali się kieliszkami i od czasu do czasu rzucali z pobożnym westchnieniem jakieś zdanie o nieboszczce. Prawdę powiedziawszy, to wielu pochlebnych rzeczy nie można było o zmarłej powiedzieć. Nad dziećmi swego męża znęcała się, póki były małe, a kiedy pozbyła się ich szczęśliwie z domu, nie chciała im nigdy w niczym dopomóc. Staś-ka, sierotę po młodszej córce męża, który chował się u dziadka, poszturchiwała i głodziła. Mężowi zatruwała życie, z lokatorami kłóciła się od rana do wieczora. Że jednak wypadało nad nieboszczką westchnąć i powiedzieć o niej coś pochlebnego, więc wtrącano od czasu do czasu:

— Nieboszczka bardzo lubiła taką kielbasę z czosnkiem!... Albo:

— Jak ona zrobiła cytrynowkę, to dopiero był smak! Takiej cytrynowki to już nigdzie nie uświadczysz!

Albo jeszcze trącając się z dziadkiem:

— Co wy teraz poczniecie, Wojciechu? Prawda, że nie-

101

boszczka była trochę, nerwowa, ale dbała o was. Takiej gospodyni to szukać!

Dziadek siedział na ławce smutny i zgnębiony, pił w milczeniu i od czasu do czasu ocierał łzy rękawem — był mimo wszystko bardzo przywiązany do żony.

Matka Adeli krzątała się po izbie częstując gości.

Zosia, ulubienica dziadka, wgramoliła się do niego na kolana.

Wicek usiłował palić pod stołem ogarek od znalezionej na podłodze papierosa.

Adela widziała to. Wiedziała, że powinna wyciągnąć go stamtąd, odebrać mu papierosa i przyłożyć mu takiego klapsa, żeby pamiętał. Wiedziała także, że powinna wstać i pomóc matce myć naczynia.

Ale ogarnęło ją jakieś dziwne odrętwienie. Siedziała w kącie, kiwając się sennie. Wszystko, co działo się wokoło niej, zdawało się jakby nie docierać do niej. Właściwie zdarzało się to jej teraz coraz częściej. Męczyła się prędzej niż dawniej, a wieczorem to już ledwie mogła się poruszać.

Dzisiaj jednak do zwykłego wieczornego zmęczenia przyłączył się jeszcze nurtujący ją niepokój: było już dawno po siódmej, a oni jeszcze nie wracali do domu.

„Nie wiadomo... przecież nigdy nie wiadomo...” — myślała Adela.

Tymczasem goście zaczęli się rozchodzić i wreszcie w izbie pozostali już tylko dziadek i Stasiak,

który zaraz po powrocie z cmentarza wgramolił się na łóżko i zasnął.

Matka skończyła już wycierać szklanki i zabrała się do zamiatania izby.

Dziadek siedział zamyślony, ze śpiącą Zośką na kolanach. Wreszcie powiedział:

— Marysiu!

— Co, proszę ojca? — zapytała matka.

— Widzisz, Marysiu, ja już dawno myślałem, żeby was wziąć do siebie. Izba jest duża, kamienica dobra, chleba dla wszystkich wystarczy. A na to, co ci tam jeszcze potrzeba,

102

mogłabyś dorobić, bo tu u nas o jakieś pranie, szorowanie czy inną posługę u lokatorów łatwo. Ale nieboszczka nie chciała nawet słyszeć o tym. No i zresztą to ja sam wiedziałem, że (świeć, Panie Boże, nad jej duszą!) trudno jest się z nią zgodzić. Ale teraz — po co masz się tak męczyć i poniewierać? No, co? Jak myślisz?

Matka przestała zamiatać. Stała chwilę w milczeniu, po czym podeszła do ojca i pocałowała go w rękę. Trzęsa się cała. Wielkie łzy płynęły po jej wymizerowanej twarzy.

— Patrzcie! — zdziwił się dziadek. — To ci aż tak ciężko? Matka usiadła obok na ławce.

— Ciężko?! A jak ojciec myślał?! Jeszcze ja, jak ja, ale — Adela! Czy dziecko powinno tak harować?! Przecie mi dziewczyna w oczach niknie!

Adeli aż oddech zapało ze zdziwienia: nigdy nie myślała, że matka... Senność odleciała od niej.

— A tak — mówiła dalej matka — to już w domu ugotuję i przepiorę. A i do ogrodu nie będzie potrzebowała się z Jaśkiem taszczyć, bo tutaj jest przecie na drugim podwórzu ogródek. Boję się, czy ona nie z tego taka mizerna, że podźwi-gała się!

— A od kiedy sprowadzisz się do mnie? ■ — zapytał dziadek.

— Choćby za tydzień! — powiedziała matka i zaczęła budzić Zośkę, bo czas już było wracać do domu.

— Im prędzej, tym lepiej, bo i mnie gospodyni trzeba. Dziadek wziął klucz i odprowadził ich do bramy.

Po drodze matka rozmawiała z Adelą tak, jak już chyba nie mówiła z nią dawno. Była podniecona i ożywiona, a głos miała taki miękki i ciepły jak kiedyś na Woli.

Opowiadała Adeli, jak to jej teraz będzie dobrze i że jak Pan Bóg da, to może jeszcze na przyszły rok pójdzie do szkoły!

— Rozumiesz, córuchno? — zakończyła.

Tak właśnie powiedziała: „córuchno"... Adela aż pojąć tego po prostu nie mogła!

103

W izbie było już ciemno, wszyscy lokatorzy spali. Adela i matka rozebrały się więc pośpiesznie i byle jak. Śpiące dzieci oswobodziły tylko od zwierzchniego odzienia. Kiedy już leżały, matka powiedziała jeszcze, jakby ciągnąc dalej zaczęte rozmyślenia:

— Az nauką to prędko dopędzisz, bo Felek zawsze mówił, że masz dobrą głowę!

I nagle Adela aż ścierpła.

Przeprowadzić się stąd?! A... a Felek?!... Tak zupełnie stąd odejść?! I żeby już nie było w rogu tego Felkowego łóżka ani kuferka i żeby już nawet — nie czekać?! Żeby już ostatni ślad?!

Adela leżała cała zmartwiała, z szeroko rozwartymi oczyma. I nagle, czując całą beznadziejność tego, co zamierzała uczynić, powiedziała cicho:

— Mamo...

— A co?

— Mamo... — szepnęła Adela drżącymi ustami — mamonie wyprowadzajmy się na to Leszno!

Matkę aż zatchnęło ze zdziwienia.

— Zglupiałaś ty, dziewczyno, czy co?! Przecie ci tłumaczyłam całą drogę!

I matka zaczęła jeszcze raz opowiadać o tym wszystkim. O tym, jaka to izba, i że takiej stróżówki szukać można w całej Warszawie, bo sucha, jasna i duża, jakby wcale nie suterena! I o tym ogrodzie na drugim podwórzu, i o tych posługach, i o szkole. O tym, że po babce została maszyna, a matka za panińskich czasów wcale nieźle szyła. I że materiały teraz niedrogie, to uszyje Adeli na święta nową sukienkę. No, a teraz niech już śpi, bo późno!

Ale Adela nie mogła zasnąć.

Wydawało jej się, że zapada w jakąś straszliwą próżnię i pustkę, w której już nic nie ma z której już nie ma wyjścia.

Pociągnęła jeszcze raz matkę za rękaw od koszuli.

104

— Co tam znowu? — poruszyła się niecierpliwie matka.

— Mamo... — powiedziała Adela. ■— No, czego chcesz jeszcze?

Adela chciała jej coś wytłumaczyć, ale na próżno szukała słów.

— Nie wyprowadzajmy się na to Leszno! — wyszlochała tylko znowu przez łyzy.

Teraz to już matka była naprawdę zła.

— Ej! Żeby ci nie przyłożyła! — powiedziała głosem nie wróżącym nic dobrego.

Więc Adela umilkła, a matka przewróciła się na drugi bok i zasnęła.

Adelę ogarnęło uczucie straszliwej samotności i opuszczenia.

Jakby nie leżała tu na tym łóżku z matką i z dziećmi, ale zupełnie sama. Jakby już nie była tutaj, w tej izbie, gdzie po przeciwległej ścianie stoi jeszcze Felkowe łóżko, ale w tamtej obcej, do której — nikt nie wróci.

I Adela powtórzyła raz jeszcze, wiedząc przecież, że słowa jej padają w głuchą ciemność nocy:

— Nie wyprowadzajmy się na to Leszno! Odpowiedziało jej chrapanie matki.

XXII. Dziewczynka z Saskiego Ogródu

Za Felkowych czasów Adela często myślała o „nowym ustroju”.

I ciągle pytała Felka, jak to całe ich życie, wszystkie ich troski, kłopoty i radości będą wyglądać — wtedy. Adela chciała to wiedzieć nie tylko tak „po wierzchu”, ale dokładnie, w każdym najdrobniejszym nawet szczególe, w każdej najbliższej nawet rzeczy. Bo Adela miała już taką naturę, że wtedy tylko mogła w coś wierzyć i o czymś myśleć, jeśli to coś nie znajdowało się gdzieś we mgle, ale było widzialne tak dokładnie, że prawie można się było tego dotknąć.

105

Adela lubiła porządek. Na szczupłej przestrzeni, którą rozporządzała w izbie, wszystko musiało się znajdować na swoim miejscu. Łóżko było zawsze tak samo zasłane, stołek, szaflik i garnki tak samo ustawione. Ścierka miała swój gwóźdź, szczotka swój ką, a w szufladzie ich komódki łyżki, widelce, noże, przybory do szycia — wszystko miało swoje własne miejsce. I Adela chciała tak sobie każdą rzecz w tym „nowym ustroju” porozmieszczać, żeby już na pewno — wiedzieć...

— No, a jak będzie na przykład z gotowaniem? — pytała Felka. — Czy ci, co będą gotowali, to będą już zawsze gotowali, czy też będą robili na zmianę coś innego? I co zrobić, jak któreś dziecko albo nawet dorosły właśnie tego do gęby wziąć nie może, a tu gotuje się dla wszystkich razem?... A prasowanie? Przecie prasować to już chyba maszyna nie może?... Co, Felek?

Felek śmiał się, wzruszał ramionami i mówił:

— Ty śmieszna, mała Adelo! Przecie nowy ustrój to nie jest ciasto, żebym ci mógł dać dokładny przepis, jak się go robi! Może ludzie przyjdą do przekonania, że lepiej jest mieszkać w dużych domach, które będą zaopatrzone w kuchnie, świetlice, biblioteki i ochronki. A może właśnie w małych domkach z ogródkami, w których każdy będzie prowadził swoje własne gospodarstwo. Może będzie się dalej prasowało tak jak teraz, a może nie. To nie jest przecież ważne, takie głupstwa!

Ale Adela potrząsała uparcie głową. Adela wiedziała, że to jest właśnie bardzo ważne i że to wcale nie są głupstwa!

Bo czy to jest na przykład wszystko jedno, czy oni z Felkiem (Felek przyrzekł, że w nowym ustroju będzie także mieszkać z nimi...) otrzymają pokój w ogromnym domu i będą przynosili sobie jedzenie w menażkach z ogólnej kuchni, a na spacer chodzili do parku, przypominającego zapewne trochę Saski Ogród, czy też zamieszkają w takim maleńkim, białym domku z zielonymi okiennicami, jaki Adela widziała

106

raz za rogatką. (W domku, w którym Adela będzie gotowała Felkowi na kuchence z niebieskich kafli i posadzi z nim w ogródku bratki i niezabudki). Przecież żaden człowiek ze zdrowym

rozsądkiem nie powie chyba, że to jest „wszystko jedno”?! A tymczasem u Felka to było raz tak, a raz inaczej, że aż Adeli pękała od tego głowa...

Natomiast sprawa rewolucji wyglądała u Felka zawsze jednakowo. Ale prawdę powiedziawszy rewolucja (dopóki go nie zaaresztowano) obchodziła Adelę daleko mniej niż nowy ustrój. Rewolucja to były jak gdyby wielkie porządki, a dopiero później następowało przecież to, co powinno być trwałe. Właściwie Adela wołała nawet, żeby wcale nie było rewolucji, tylko od razu nowy ustrój. Rewolucja to były na przykład strajki, a Adela pamiętała dobrze strajk w fabryce matki, kiedy dzieci płakały z głodu, a ona musiała je napy-chać zimnymi kartoflami. Rewolucja to były starcia z policją i wojskiem, a przecie matka opowiadała Adeli (Adela nie pamiętała tego sama, bo była jeszcze wówczas mała), że choroba ojca zaczęła się od tego czasu, kiedy w 1905 roku przestrelili mu podczas manifestacji prawe płuco.

Nie! Adela stanowczo by wołała, żeby już było po rewolucji!

Ale kiedy zabrakło Felka, wszystko zmieniło się od razu. Przede wszystkim zachwiała się w posadach i runęła sama możliwość nowego ustroju.

Bo i jakież to może być „nowy ustrój” bez Felka?! Felek zajmował w nim przecież jak gdyby centralne miejsce. Od niego wychodziły i do niego wracały nici wszystkich spraw. Bez niego nie była możliwa ani sprawiedliwość, ani dobroć, ani szczęście!

Teraz dopiero rozumiała Adela, że tamte rzeczy, o które go pytała, nie były naprawdę ważne. Bo cóż to obchodziło teraz Adelę, czy dom będzie mały, czy duży, jeżeli ani w dużym, ani w małym domu nie będzie Felka?! Więc teraz dopiero Adela zaczęła myśleć o rewolucji. Bo

107

wszystkie rewolucje zaczynały się przecież od ataku na cytadelę i uwolnienia więźniów...

Rewolucja więc — to był powrót Felka.

Ale kiedy się dowiedziała, że Felka nie ma już ani w Warszawie, ani nawet w Polsce, rewolucja zaczęła powoli stawać się dla niej czymś innym.

Dawniej, gdy Felek mówił „burżuazja”, to właściwie głównym uczuciem, które to słowo wywoływało w Adeli, była — pogarda. Burżuazja była wtedy dla Adeli czymś w rodzaju pcheł czy pluskiew, niezdolnych do samodzielnego życia i żywiących się tylko krwią i potem proletariatu.

Jednakże sam Felek powiedział raz, że nie burżuazja jest właściwie winna, ale ustrój, więc Adela nie nienawidziła burżuazji. Adela miała nawet dla niej obok pogardy trochę współczucia. I raz zapytała Felka, czy jak już będzie „nowy ustrój”, a burżuazja zrozumie i poprawi się, to będzie ją można przyjąć w szeregi proletariatu?...

I Felek trochę się wprawdzie namyślał, ale się zgodził...

Teraz wszystko zmieniło się zupełnie.

Prawda, że Felka zaaresztowali Moskale. Ale czyż burżuazja nie szła ręką w rękę z nimi?!

Czyż to nie ona paliła cygara, grała w karty i paktowała z wrogiem, „gdy naród do boju wystąpił z orężem”?

Czyż to nie ona „radziła w stolicy”, gdy „naród pod Stoczkiem zdobywał armaty rękami czarnymi od pługa”? I czyż wreszcie gospodarz ich kamienicy, który bez litości wyrzucał na bruk każdego, kto nie zapłacił czynszu, nie powiedział do Franciszka o Felku: „Chciałbym, żeby z nimi wszystkimi zrobili porządek!”?

Teraz więc Adela nienawidziła burżuazji! Adela pragnęła się zemścić! A rewolucja to była — zemsta, to był „sąd ludu”!

Adela pragnęła się zemścić na burżuazji, na jej sojusznikach Moskalach i na jej dzieciach z Saskiego Ogrodu!

Kiedy szła tam na spacer ze swymi małymi, to nie mogła

108

już patrzeć na ich wypasione gęby, na ich bezmyślne zabawy, na ich lalki ubrane lepiej niż dzieci z suterenu!

Nie! Adela nie pragnęła już teraz im wybaczyć i przyjąć ich w szeregi proletariatu! Cóż by to była za sprawiedliwość, gdyby one miały korzystać z tego wszystkiego, co przyniesie ze sobą nowy ustrój, tak samo jak Adela i wszyscy, którzy tak strasznie męczą się i cierpią! Adela czuła, że kiedy

je widzi, wszystko zacina się w niej z zimnej i głuchej nienawiści!

Jakżeby pragnęła krzyknąć im w twarz najgorsze, obelżywe słowa, upokorzyć je i poniżyć!

Ale była przecież zupełnie bezsilna.

To jedno więc w tym mieszkaniu na Lesznie przynosiło jej ulgę, że nie musiała już chociaż stykać się z nimi.

Do ogródka na drugim podwórzu przychodziły tylko takie same dziewczynki jak ona. Niektóre przyprowadzały ze sobą także młodsze rodzeństwo: Wicusiów, Jasiów i Zosie, umorusanych, ruchliwych i świergotliwych jak wróble, a nie białe i różowe laleczki!

Malcy bawili się najczęściej w sklep. Na starej, wywróconej do góry dnem skrzyni pod szopą rozkładali towary: kala-fiorki z kwiatów koniczyzny, śliwki z głogu, wiśnie z berberysu. Odważali zaś je starannie na wadze zrobionej z dwóch pudełek od pasty do butów i sznurka. Starsze dziewczynki przyłączały się czasem do ich zabawy. Najczęściej wszakże rozmawiały na ławeczce pod kasztanem lub przechadzały się parami, zatopione w zwierzeniach, pochłonięte sobą i swoim życiem.

Po raz pierwszy może Adela odczuwała tak mocno ciężar samotności.

Było jej zanadto źle.

Pragnęła, tak jak one wszystkie, należeć do jakiejś gromady, najbardziej zaś może — chodzić z jedną z nich pod rękę i wiedzieć, że to jest przyjaciółka, z którą można mówić „tak naprawdę”, z którą można mówić — o Felku.

109

Bo teraz dopiero Adela pragnęła o nim mówić.

W tamtej izbie, w której Adela mogła porządkować jego książki, usiąść na jego łóżku, powiesić na ganku i wytrzepać koc, każde słowo mogło tylko coś przerwać, coś rozproszyć, okazać jawnie, że już się o nim mówi, że już się go — wspomina... Ale tutaj, gdzie Adela nie miała już niczego, o co mogłaby się zaczepić, słowa były przecież jedynym p o-twierdzeniem.

Na próżno jednak próbowała się zbliżyć do swoich nowych znajomych.

Wszystko w nich było dla Adeli dziwnie dalekie, obce albo nawet wrogie.

Jakże dawne były te czasy, kiedy rozmawiała tak jak one, o szkole, koleżankach, o tym, co „pani” powiedziała i kogo pani naprawdę najbardziej lubi, i o tym, że te nowe buciki pani nie są naprawdę nowe, tylko przefarbowane z tych brązowych (zauważyłaś?!)...

Jakże bezmyślne wydawały jej się te wieczne rozmowy o sukniach, paltach i kapeluszach i o tym zwłaszcza, jak ubierają się doktorowa z pierwszego i mecenasowa z drugiego piętra, i „ile może kosztować takie futro”!

A one właśnie mówiły o tym z podziwem, z uniesieniem, z nabożnym niemal akcentem w drżących głosach, z wypiekami na policzkach!

Adela rzucała wówczas z pogardą — „burżuazja!”

Patrzyły na nią ze zdziwieniem — nie rozumiały. Wyczuwały jednak lekceważenie i niechęć. Nie lubiły jej i coraz wyraźniej odsuwały się od niej.

Z każdym dniem także Adela zdawała sobie jaśniej sprawę, że właściwie nic jej z nimi nie łączy. W ich obecności czuła się samotniejsza niż wtedy, kiedy była naprawdę sama. Zaczęła więc lubić owe ciche przedpołudnia, kiedy dziewczynki były w szkole, a ogród pusty.

Adela siadała wówczas na ławeczce pod kasztanem. Wicek i Zośka bawili się w piasku. W ogrodzie było zupełnie cicho,

110

tylko od czasu do czasu w krzakach odzywały się ptaki. Adela popadała w jakiś kojący, zielonawobłękitny półsen. Czasami zdawało jej się, że za nią staje Felek. Wrócił. Franciszek powiedział mu, że teraz tutaj mieszkają. Wszedł więc niespodzianie do ogrodu i...

Wiatr kołysał lekko gałęziami drzew. Żłote, czerwone i liliowe astry zdawały się zasypiać w ciszy i słońcu.

Pewnego jednak razu to złudzenie obecności Felka stało się tak mocne, że Adela nie miała odwagi się odwrócić. Nagle ktoś dotknął jej ramienia. Adela drgnęła całym ciałem i skoczyła na równe nogi.

Przed nią stała dziewczynka, dziewczynka, jakich tutaj nigdy nie widywała — „dziewczynka z Saskiego Ogrodu”!

Tak. Była to jedna z tych lalek z długimi lokami, w powiewnej sukience, białych skarpetkach i lakierowanych pantofelkach, z wystrojonym dzieckiem na ręku. Nie! Oczywiście to nie było dziecko, tylko — kukła (one przecież nigdy nie noszą na ręku prawdziwych dzieci!). Kukła w białym sweterku i włóczkowych buciczkach, jakich Jasio nie miał nawet w zimie.

Mówiła coś do Adeli. Cichym, trochę nawet jakby drżącym z nieśmiałości głosem, z prośbą. Adela była jednak tak wzburzona i wściekła, że nie słyszała niemal jej słów.

— Czego?! — warknęła chrapliwie.

Tamta spojrzała na nią z przestachem i cofnęła się o krok.

— Czy... czy... mogłabym usiąść przy paniencie? — powtórzyła jeszcze ciszej.

Adela wyprostowała się. Zmierzyła ją wzrokiem z góry na dół, od „aeroplanu” na głowie aż do czubków błyszczących pantofelków. Ironicznie, obelżywie, drwiąco, tak że tamta aż się skuliła pod jej wzrokiem jak pod uderzeniem.

— Podwórze i ławka są dla wszystkich! — odpowiedziała i odwróciła się do obcej dziewczynki tyłem.

Tą dziewczynką byłem właśnie ja.

Część trzecia MY DWIE I - ALBANIA

XXIII. Jak wstąpiłam na tron Albanii

Właściwie to dotychczas nie wiem, dlaczego właśnie — Adela? Dlaczego ta szorstka i niemiła dziewczynka, która odepchnęła mnie zaraz przy pierwszym spotkaniu oczyma dzikimi z nienawiści i wzgardy?

Bo jeżeli nawet przypuścić, że przyczyną tego dziwnego» uczucia było po prostu moje osamotnienie, to przecież jeszcze tego samego dnia poznałam na drugim podwórzu inne dziewczynki. I te dziewczynki były nie tylko inne niż Adela, ale inne niż wszystkie znane mi dotychczas dzieci. Nie potrzebowałam wcale wysiłku, by zbliżyć się do nich i zyskać ich względy! To one otoczyły mnie zwartym kołem, wciągnęły mnie natychmiast do zabawy, przyjmowały z zachwytem wszystkie moje projekty, przymykały oczy na małe niepowodzenia i ubiegały się o moje względy. Zajmowały je nawet wszystkie drobne, nic nie znaczące szczegóły mego codziennego życia. Wysłuchiwały z ciekawością tego, że wczoraj byłam z ciocią w teatrze albo że pojechaliśmy na przejażdżkę. Wystarczyło powiedzieć, że dziadek mój posiada willę pod miastem, albo rzucić o Katarzynie i Janie słowo — „służba”, aby wywołać w nich jakieś dziwne podniecenie. Były w obcowaniu jeszcze łatwiejsze od Jasi, gdyż w stosunkach z nimi nie tylko że nie musiałam (jak to bywało z innymi znajomymi dziećmi) dotrzymywać im pola w ich wyczynach, ale nawet rozwijać, jak przed Jasią, świata urojonych przygód i zdarzeń.

8 — Druga brama

113

Imponowałam im jak gdyby przez to samo, że istniałam.

Było to nowe i naprawdę oszałamiające. Zostać tak od razu z dzikiej, samotnej dziewczynki, kopcieszka wszystkich dziecinnych zebrań, ośrodkiem zainteresowań całej gromady, łaskawą królową, rozdzielającą swe uśmiechy i względy!

Kiedy przypominam to sobie dzisiaj, usiłuję z pewnym zawstydzeniem przytoczyć na swoje usprawiedliwienie, że nie zdawałam sobie wówczas sprawy, czemu zawdzięczam swą niezwykle popularność.

Ale wiem dobrze, że to nieprawda.

Zdawałam sobie przecież doskonale sprawę, dlaczego upierałam się w domu, by właśnie na podwórze wkładać najładniejsze sukienki, i dlaczego zabierałam ze sobą moją francuską gramatykę, choć na podwórzu nie mogłam się nigdy uczyć, i po co wspominałam niedbale i niby od niechcenia:

■—■ U nas w domu jest teraz straszny rozgardiasz, bo tapicer pokrywa meble w salonie nowym adamaszkiem.

Moje życie było zupełnie różne od życia tych wszystkich dzieci.

Było dla nich dziwne i tajemnicze.

Nareszcie nie tylko we śnie i w wieczornych rozmowach z Jasią, ale naprawdę byłam kimś, czyje życie jest dziwne i tajemnicze, kimś, kto roztacza wokół siebie urok, podobny do tego, jaki roztaczają księżęta panujących rodów...

Podniecało mnie to i uderzało mi do głowy.

Mój dzień powszedni przestał być nagle samotny, ciężki i nudny.

Po raz pierwszy zauważyłam, że dywan w salonie jest puszysty i barwny, że meble w poczekalni są pokryte aksamitem, że moja kołdra jest z błękitnego jedwabiu... Wszystko to przestało być codzienne i nabrało blasku, barwy i smaku, dopiero teraz, gdy można było opowiadać o tym — tam. Ale na dnie tego wszystkiego, od początku, od chwili pierwszego spotkania, była — Adela.

114

Adela chmurna, pogardliwa i wyniosła. Adela stroniąca ode mnie, Adela nie zdająca się niemal mnie widzieć.

I to przez Adelę właśnie talerze, na których jadałam, stały się z czasem złote, a „srebrny mój kubek” mienił się tęczą szmaragdów, diamentów, szafirów i rubinów...

To przez Adelę zrodziły się najniespodziewaniej w świecie owe dobra należące do mego ojca w Katalonii (jaka to śliczna nazwa „Katalonia” i gdzież to właściwie może być?!).

Dobra, w których znajdował się olbrzymi, zielony park (dziwnie przypominający park z „Małego lorda”) i biały pałacyk, cały tonący w pnących się różach, i dwa śliczne czarne kucyki o lśniącej, jedwabistej sierści, z białą gwiazdką na czole...

Ale Adela pozostawała daleka, obca i nieosiągalna.

Nawet kucyki nie wzruszały jej, choć przecież naprawdę były prześliczne... Wieczorem przed zaśnięciem myślałam zawsze o niej.

Widziałam ją, jak siedzi na ławeczce pod kasztanem, z robotą w ręku. Jej opalone, brązowe rączki poruszają się tak zręcznie (ja nie umiałabym sobie przyszyć nawet guzika!), oczy ma spuszczone i długie rzęsy rzucają ciemne cienie na jej wychudzoną twarzyczkę, a usta mają wyraz dziwnego smutku. Widziałam ją, jak patrzy na „swoje” dzieci oczyma, które stają się zupełnie złote i ciepłe, jak gdyby były nalane słońcem (ja nie miałam jeszcze nigdy prawdziwego dziecka na ręku!). I widziałam, jak odpycha mnie i tamte dziewczęta chłodnym i wyniosłym spojrzeniem, udaremniając próbę wszelkiego zbliżenia.

Nie. Nie czułam ani obrazy, ani goryczy, ani gniewu. Ogarniał mnie tylko straszliwy i bezradny żal, że chyba już nigdy...

I co wieczór w „dobrach mego ojca w Katalonii” zakwitały dla Adeli najdziwniejsze kwiaty, dojrzewały złociste morele i rubinowe winogrona, rozścielały się makaty z jedwabiu i złotogłowiu, przetykane klejnotami...

116

Ale nadaremnie. Adela pozostawała niewzruszona.

Twórczas to właśnie, pewnej nocy, gdy poduszka moja była mokra od łez, zerwałam dla Adeli z całym dotychczasowym życiem, żeby wstąpić na tron Albanii.

Jeżeli kogoś zastanowi, dlaczego wybrałam sobie właśnie tak niepozorny kraik, to muszę wyjaśnić, że z Albanią łączyły mnie bardzo zażyłe i dawne stosunki. Istniały one bowiem od czasu, gdy na moje dziewiąte urodziny dostałam od ojca książkę pt: „Jerzy, książę albański”. Książkę tę pożyczył ode mnie zaraz po przeczytaniu jeden z moich kuzynów, który mi jej już nigdy nie oddał, a treść jej, pochłonięta gorączkowo w ciągu jednego popołudnia, wkrótce ulotniła się z mojej pamięci.

Pozostało mi jednak pewne ogólne wrażenie: góry o śnieżnych szczytach, szafirowe morze, walki z tureckim najeźdźcą, kryjówki w ciemnych grotach, przeprawy przez przełęcze...

Wszystko to było naprawdę wspaniałe i w moich wieczornych marzeniach stawałam się coraz częściej ciemnowłosym, smukłym księciem o orlim spojrzeniu i nieustraszonym sercu...

Nieco niepewna i jak gdyby tylko widziana przez mgłę treść książki sprzyjała uzupełnianiu zamazanych konturów, wprowadzaniu zmian, rozwijaniu tematu. W ten sposób powstała już nie tylko nowa, niezależna od książki opowieść, ale nawet nowa — Albania. Albania, może nieco odmienna od prawdziwej, ale za to — moja własna... Albania, której morza, góry i lasy nie miały



dla mnie tajemnic (nie mogłam tego samego powiedzieć o prawdziwej!), a stolica, nad którą górował mój warowny zamek (do dziś dnia trudno mi pogodzić się z myślą, że Durazzo jest tylko nędzną miejsciną), czekała na mnie nie złamana przez wroga, nieustraszona i wierna...

I do tej właśnie stolicy postanowiłam schronić się w moim nieszczęściu, przedłużając jej istnienie z ciemnej i cichej toni nocy i snu w zielony, kipiący życiem i gwarem dzień drugiego podwórza.

117

Pewnego więc razu zrobiłam to, co czynią w podobnych razach wszyscy samozwańcy, to jest wzięłam na stronę Anielcię od szewca i powierzyłam jej — tajemnicę swego p o-ch od żeni a...

I tak od wieków działo się w podobnych wypadkach, tajemnica ta z szybkością błyskawicy obleciała całe podwórze i wzburzyła lud...

Wieść, szeptana z ust do ust w kącie podwórza za szopą, była bowiem naprawdę wstrząsająca! Przede wszystkim nie byłam więc córką pana doktora, ale synem pana doktora, przebranym za dziewczynę!

Po wtóre — nie byłam synem pana doktora, ale synem Jerzego, króla Albanii, który poległ w walce z Turkami (księstwo wydało mi się nagle niewystarczające).

Po trzecie — wychowuję się dlatego w takiej tajemnicy i w takim przebraniu, żeby Turcy nie zamordowali mnie przed wstąpieniem na tron, na który moi wierni poddani zaproszą mnie, gdy ukończę lat szesnaście!

Jako zaś najlepszy dowód prawdziwości moich słów miał służyć fakt, że mój przybrany ojciec przechowuje w żelaznej skrzyni, która stoi w salonie pod fortepianem, srebrną skrzynię, w srebrnej złotej, a w złotej — koronę Albanii i mój strój koronacyjny! Korona ta, która jest koroną „narodu rycerzy”, nie jest podobna do zwykłych. Otacza ona złoty hełm ze śnieżnym pióropuszem. Strój jest z szafirowego aksamitu, bramowany gronostajem, rękojeść miecza wysadzana drogimi kamieniami, płaszcz zaś jest właściwie tylko krótką peleryną, również z szafirowego aksamitu, podbitą gronostajem (my, Albańczycy, nie lubimy płaszczy, które płaczą się pod nogami, kiedy trzeba wspinać się na góry lub wskakiwać na grzbiet dzikiego rumaka!...).

Co do kluczy od owych trzech skrzyń, to mój przybrany ojciec nosi je stale przy sobie na piersiach, w kieszonce od kamizelki...

Wobec tak przygniatających dowodów nie mogło już być

118

chyba nawet cienia wątpliwości co do prawdziwości moich słów... Tym bardziej że w owym właśnie czasie dwóch Turków założyło na Lesznie, naprzeciw naszego domu, piekarnię turecką, co, rzecz jasna, było tylko pretekstem, gdyż cele ich osiedlenia się w naszej dzielnicy były wyraźnie szpiegowskie... Zośka widziała nawet na własne oczy, jak młodszy Turek stanął przed drzwiami owej piekarni i przyglądał się naszemu domowi podejrzliwie i z nienawiścią... Innym zaś znowu razem starszy Turek przywołał do siebie bawiącego się na ulicy Jasia, braciszka Anielci, ślicznego chłopaczka o długich, jasnych lokach, i podarował mu pełną torebkę słodkich okruszków od ciasta, które, rzecz jasna, były zatrute... W duszy podłego Turka kiełkowała widocznie nadzieja, że Jaś poczęstuje tym ciastem ■ — mnie... Jednakże Anielcia zobaczyła całą tę scenę z bramy i odebrała Jasiowi torebkę, którą przy akompaniamencie jego rozdzierających serce krzyków zakopaliśmy w kącie za szopą.

W ogóle owo nikczemne i zdradliwe postępowanie Turków miało tylko ten skutek, że oburzyło przeciw nim wszystkich szlachetnych.

To już nie tylko moje królewskie pochodzenie otaczało mnie nimbem wielkości i niedostępności, lecz nieprzebrane skarby będące w moim posiadaniu czyniły ze mnie istotę z innego świata!

To współzucie dla mnie i oburzenie wobec najeźdźców, którzy nie przebierali w najpodlejszych środkach, byle mnie zgładzić i zagarnąć mój kraj, jednały mi wszystkie serca!

Najeźdźcy ci zresztą musieli być w zмовie z Moskałami, bo pewien gruby rewirowy przesadywał po całych dniach w tureckiej piekarni i objadał się dużymi drożdżowymi ciastkami z rodzynkami oraz babeczkami ozdobionymi piramidką z różowego lukru. (Wiedzieliśmy o tym dobrze, gdyż kilku chłopców z drugiego podwórza przysięgło sobie otoczyć mnie tak czujną strażą, aby włos nie mógł mi spaść z głowy, i odważnie śledziło zza rogu każdy krok wrogów...) Co do mnie,

królewskiego wygnańca ; Łej ziemi, to chodziłam po podwórzu smutna, bladą . d2hle \*nicza tęskniąc za Durazzo, „swoim Durazzo”, tonący^ 3^iejeni pomarańczowych gajów i czekającym na mnie ną próżno już od tylu lat.”..

Czasem zapomniałam niemal o otaczającej mnie gromadce i siadając na ławeczce pod kasztanem (tak się jakoś zawsze składało, że obok Adeli...) snułam plany oswobodzenia mojej ojczyzny. Dziewczynki i chłopcy otaczali mnie zwartym kręgiem i słuchali mnie drżący i przerażeni, pełni na przemian to entuzjazmu, to śmiertelnej trwogi, to współczucia, napełniającego łzami wszystkie oczy. Jakże bo nie współczuć z człowiekiem, który oświadcza dumnie: „Wiem, że zginę, ale moja śmierć...”

Ile razy wymawiałam te słowa, a wymawiałam je dość często, gdyż moja determinacja była wielka, a męstwo nieustraszone, Zośka wybuchała głośnym płaczem.

Adela jednak była niewzruszona.

Obojętnie cerowała i łątała sukienki swoich dzieci nie rzucając w moją stronę ani jednego spojrzenia.

A pewnego razu ujrzałam nawet na jej twarzy lekki, drwiący uśmieszek.

Byłam dotknięta i zraniona do głębi serca.

Czyż nie było to po prostu ohydne szydzić z biednego, wyganego księcia, którego kraj jęczy w niewoli, a on sam tak niewiele lat życia ma już przed sobą?

Czyż nie trzeba być naprawdę z kamienia, żeby nie rozumieć, iż jestem tak strasznie, tak niewypowiedzianie samotna w obcym kraju i wśród obcych ludzi?!

A przy tym — trawi mnie przecież nieuleczalna choroba... Bo jeszcze kiedy miałam dwa lata i nasz wierny sługa Jan uciekał ze mną z Albanii, jedna z kul ścigających nas tureckich zbirów przebiła mi prawe płuco, uwięzła tuż obok serca i nie można już jej wyjąć... Tak... jeżeli nawet nie zginę od kuli tureckiej, to lekarze twierdzą, że moje chwile są policzone...

12.0

Oparłam się o pień drzewa niby o poduszki łoża (byłam niedawno z ciotką Kazia w teatrze na „Orłęciu” Rostanda).

Nie tylko Zosia, ale wszystkie dziewczynki płakały. Ja sama z trudnością tylko powstrzymywałam łkanie.

„Nie płaczcie nade mną, ale nad Albanią, przyjaciele!” — chciałam powiedzieć łagodnie i — umrzeć.

I może udałoby mi się wykonać to trudne zamierzenie, gdyby nie to>, że w owej właśnie chwili wzrok mój padł przypadkowo na Adelę.

Adela uśmiechała się wciąż.

Jeszcze bardziej zjadliwie, jeszcze bezwstydniej, jeszcze bardziej ohydnie niż poprzednio!

I wtedy wściekłość, gniew i oburzenie uderzyły mi nagle do głowy.

Ach! Więc śmieje się ze mnie! Śmieje się dlatego, że jestem słaba, skazana na śmierć, bezsilna! Ale — zobaczmy jeszcze, moja panno!

Czyż my, książęta albańscy, nie jesteśmy z rodu żelaznych rycerzy, którzy nie umierają od jednej marnej kuli?!

Bezsilny?! Skazany?! I dlaczegoż to, proszę?! Dlatego, że Turcy raz nas pokonali? Zobaczymy jeszcze, czy nie będą błagali nas o łaskę!

Oni i ich sprzymierzeniec — rewirowy, obżerający się bezwstydnie ciastkami w sąsiedniej piekarni! Zobaczymy, czy godzina wolności Albanii i godzina wolności Polski (my, Albańczycy, nie zwykliśmy opuszczać swoich przyjaciół!) nie wybije wkrótce!

Nie wzruszyły cię moje nieszczęścia, ale zobaczmy, czy nie zadrżysz wobec mojej potęgi! Już niedaleki jest czas, gdy nagle pewnego, takiego może jak dzisiaj, dnia, w tej oto bramie pojawi się poselstwo z mojej ojczyzny! Dwóch oficerów w kapiących od złota mundurach wypręży się na baczność przed tą niepozorną dziewczynką, której przyjaźń odrzuciłaś!

121

królewskiego wygnańca z dalekiej ziemi, to chodziłam po podwórzu smutna, blada i tajemnicza

tęskniąc za Durazzo, „swoim Durazzo”, tonącym w zieleni pomarańczowych gajów i czekającym na mnie na próżno już od tylu lat!..

Czasem zapominałam niemal o otaczającej mnie gromadce i siadając na ławeczce pod kasztanem (tak się jakoś zawsze składało, że obok Adeli...) snułam plany oswobodzenia mojej ojczyzny.

Dziewczynki i chłopcy otaczali mnie zwartym kręgiem i słuchali mnie drżący i przerażeni, pełni na przemian to entuzjazmu, to śmiertelnej trwogi, to współczucia, napęlniającego łzami wszystkie oczy. Jakże bo nie współczuć z człowiekiem, który oświadcza dumnie: „Wiem, że zginę, ale moja śmierć...”

Ile razy wymawiałam te słowa, a wymawiałam je dość często, gdyż moja determinacja była wielka, a męstwo nieustraszone, Zośka wybuchała głośnym płaczem.

Adela jednak była niewzruszona.

Obojętnie cerowała i łątała sukienki swoich dzieci nie rzucając w moją stronę ani jednego spojrzenia.

A pewnego razu ujrzałam nawet na jej twarzy lekki, drwiący uśmiezek.

Byłam dotknięta i zraniona do głębi serca.

Czyż nie było to po prostu ohydne szydzić z biednego, wygnanego księcia, którego kraj jęczy w niewoli, a on sam tak niewiele lat życia ma już przed sobą?

Czyż nie trzeba być naprawdę z kamienia, żeby nie rozumieć, iż jestem tak strasznie, tak niewypowiedzianie samotna w obcym kraju i wśród obcych ludzi?!

A przy tym ■— trawi mnie przecież nieuleczalna choroba... Bo jeszcze kiedy miałam dwa lata i nasz wierny sługa Jan uciekał ze mną z Albanii, jedna z kul ścigających nas tureckich zbirów przebiła mi prawe płuco, uwięzła tuż obok serca i nie można już jej wyjąć... Tak... jeżeli nawet nie zginę od '-kuli tureckiej, to lekarze twierdzą, że moje chwile są policzone...

12.0

Oparłam się o pień drzewa niby o poduszki łoża (byłam niedawno z ciocią Kazia w teatrze na „Orlęciu” Rostanda).

Nie tylko Zosia, ale wszystkie dziewczynki płakały. Ja sama z trudnością tylko powstrzymywałam łkanie.

„Nie płaczcie nade mną, ale nad Albanią, przyjaciele!” — chciałam powiedzieć łagodnie i — umrzeć.

I może udałoby mi się wykonać to trudne zamierzenie, gdyby nie to; że w owej właśnie chwili wzrok mój padł przypadkowo na Adelę.

Adela uśmiechała się wciąż.

Jeszcze bardziej zjadliwie, jeszcze bezwstydniej, jeszcze bardziej ohydnie niż poprzednio!

I wtedy wściekłość, gniew i oburzenie uderzyły mi nagle do głowy.

Ach! Więc śmieje się ze mnie! Śmieje się dlatego, że jestem słaba, skazana na śmierć, bezsilna! Ale — zobaczymy jeszcze, moja panno!

Czyż my, książęta albańscy, nie jesteśmy z rodu żelaznych rycerzy, którzy nie umierają od jednej marnej kuli?!

Bezsilny?! Skazany?! I dlaczegóż to, proszę?! Dlatego, że Turcy raz nas pokonali? Zobaczymy jeszcze, czy nie będą błagali nas o łaskę!

Oni i ich sprzymierzeniec — rewiry, obżerający się bezwstydnie ciastkami w sąsiedniej piekarni! Zobaczymy, czy godzina wolności Albanii i godzina wolności Polski (my, Albańczycy, nie zwykliśmy opuszczać swoich przyjaciół!) nie wybije wkrótce!

Nie wzruszyły cię moje nieszczęścia, ale zobaczmy, czy nie zadrzysz wobec mojej potęgi! Już niedaleki jest czas, gdy nagle pewnego, takiego może jak dzisiaj, dnia, w tej oto bramie pojawi się poselstwo z mojej ojczyzny! Dwóch oficerów w kapiących od złota mundurach wypręży się na baczność przed tą niepozorną dziewczynką, której przyjaźń odrzuciłaś!

121

— Wasza cesarska mość! — powiedzą (tytuł królewski wydał mi się naraz już nie wystarczający)

— Wasza cesarska mość! Naród waszej cesarskiej mości czeka!

Uroczystości koronacyjne w Durazzo...

Ceremoniał i przepych dworu... Czyż Adela ma o nich pojęcie?

Nawiasem zresztą mówiąc, to w moich dawnych marzeniach obyczaje dworu albańskiego były raczej spartańskie. Książę--rycerz lubił tylko proste, żołnierskie potrawy, sypiał na twardym łożu, nie znosił, by mu usługiwano. (Chowałam sobie nawet w owych czasach pod poduszkę kawał czerstwego, posypanego solą chleba, który podczas tych marzeń zjadałam z rozkoszą...). Teraz jednak czułam instynktownie, że podobne obyczaje nie wywarłyby na moich słuchaczach odpowiedniego wrażenia. Suchary z czarnego chleba, popijane tylko wodą źródlaną, i ślanie sobie samemu łóżka nie miałyby dla nich wielkiego uroku...

Toteż przepych, którym zabłysnął dwór w Durazzo, przeszedłby na pewno oczekiwania każdego ze wschodnich władców. Wszystko, co wyczytałam w powieściach historycznych i opisach życia maharadzów indyjskich, wszystko, co zapamiętałam z „Bajek z tysiąca i jednej nocy”, wszystko, co zobaczyłam w teatrze i w kinie, a nawet na obrazkach dodawanych wówczas do czekolady Wedla, a przedstawiających króla Montezumę, siedzącego na złotym tronie, za którym stoją niewolnicy z wachlarzami ze strusich piór, i podającego filiżankę kakao zgiętemu przed nim w ukłonie don Cortezo-wi — wszystko to złożyło się na wspaniałość mojego dworu! Złoto... klejnoty... baldachy ze strusich piór... kolorowe fontanny, rozpraszające fiołkową i różaną woń... karawany białych słoń, zwożące skarby, pachnidła i drogie kamienie z czterech stron świata...

Ale było to jeszcze niczym wobec ceremoniału, który mnie otaczał! (Należało przecież zgiąć hardy kark tej dziewczynie patrzącej na mnie drwiącymi oczyma! Należało jej pokazać,

122

z kim ma do czynienia! Należało stanąć przed nią w całym blasku mego majestatu!)

Heroldowie więc w szatach ze srebrnej lamy poprzedzali moje pojawienie się, za mną szli biali oficerowie gwardii, paziowie w czarnych aksamitach, przede mną gięli się w ukłonie dworzanie... Ale nade wszystko lubiałam wyjeżdżać (oczywiście na białym lub kruczym rumaku) na spotkanie moich wiernych pułków...

Oto wchodzi do stolicy gwardia.

Pod jej mocnymi, wspaniałymi krokami dudni rytmicznie ziemia, podczas gdy tysiąc oczu „zastygłych w żołnierskiej wierności” (strasznie mi się podobało to wyrażenie!) patrzy spod futrzanych czak, nad którymi kołyszą się białe kity, w tę stronę, gdzie na pagórku, nad którym łopoczą sztandary Albanii, stoję — ja!

Wrażenie, które robiły nie tylko na moich słuchaczach, ale nawet i na mnie owe „wiernie pułki”, musiało być ogromne, gdyż pamiętam dobrze, że ledwie śmieli oddychać i odsuwali się ode mnie z szacunkiem, ja sama zaś czułam, że rosnę i poważnieję, że góruję głową nad wszystkimi, że biję ode mnie blask majestatu!...

I właśnie w jednej z tak uroczystych chwil usłyszałam tuż obok siebie ów dziwny dźwięk.

Nie chciałam niemal wierzyć własnym uszom.

Ale — nie ulegało wątpliwości: Adela dusiła się ze śmiechu!

Nikt oprócz mnie nie zauważył nawet tego, a jednak wydało mi się, że drzewa, ogród, szopa, wszystko wiruje mi przed oczyma i wali się na mnie! Ostra i zimna jak nóż myśl przebiła mi serce: Adela uważała mnie za nędzną kłamczuchę! Adela nie wierzyła ani we mnie, ani w moje królestwo! Nie! Nigdy żaden człowiek nie wyrządził mi jeszcze takiej krzywdy! Nikt jeszcze nie był wobec mnie tak strasznie, tak bezliśnie niesprawiedliwy!...

123

Nawet moi kuzynowie, którzy wyśmiewali mnie na dzieciennych zebraniach! Bo ostatecznie można wyśmiać moją niezręczność, moją nieśmiałość, moją gapiowatość, ale żeby wyśmiać to jedyne, co posiadałam i dla czego poświęciłam wszystko inne, żeby wyśmiać to, dla czego wyrzekłam się Sokolego Oka, Emilii Plater i Ducha Puszczy, żeby wyśmiać moje królestwo, moją Albanię! Dławiła mnie wściekłość i łzy. Zerwałam się z ławeczki i zostawiając moich zdumionych słuchaczy pobiegłam do domu. Nie mogłam sobie nigdzie znaleźć miejsca. A w nocy nie mogłam długo zasnąć. Było mi gorąco i zimno, jak gdybym miała febrę. Płakałam i ścisiskałam pięści tak mocno, że paznokcie wbijały mi się w ciało.

Nienawidziłam jej! Nienawidziłam Adeli!

— Uważa mnie za kłamczuchę! — powtarzałam. — Uważa mnie za kłamczuchę! Ale — zobaczymy jeszcze! Zobaczymy!

I w pewnej chwili zrodziło się we mnie rozpaczliwe postanowienie: Tak! Adela musi „zobaczyć”! Nie w jakichś tam nocnych, wymyślonych bajkach i rozmowach z Jasią (pierwszy raz określiłam tak tę sprawę)! I nie kiedyś tam, gdy skończę lat szesnaście, ale zaraz, jutro, na podwórzu! Nazajutrz zesłam do ogródka później niż zwykle, gdy wszystkie dzieci były tam już zebrane. Adela ze swoimi dziećmi również. Stałam na środku podwórza, przywołałam je do siebie skinieniem i powiedziałam głośno i wyraźnie:

— Przyjaciele! Mam wam do oznajmienia wielką nowinę — wczoraj przyjechali oficerowie!

Gdyby grom padł na środek podwórza, nie uczyniłby większego wrażenia!

Wszystkie dzieci stłoczyły się w jednej chwili wokół mnie. Nawet Adela po raz pierwszy, od czasu gdy ją znałam, raczyła odwrócić głowę.

— Kiedy?! Gdzie?! Jak?! — padały ze wszystkich stron okrzyki.

124

— Wczoraj o dwunastej w nocy! Zajechali złotą kareta, wybitą białym aksamitem... — oświadczyłam tym samym pewnym i stanowczym głosem.

Szumiało mi w uszach, serce waliło we mnie jak dzwon na trwogę, a gardło było suche jak drewno: w tej chwili wiedziałam przecież, że kłamię, że kłamię beczelnie, głupio, nieprawdopodobnie!...

A jednocześnie czułam, że jeśli tylko ktoś będzie miał choćby najdrobniejszą wątpliwość co do prawdy moich słów...

Dzieci patrzyły po sobie zdziwione.

Po twarzy Staśka od stróża przemknął nawet niedowierzający uśmiech.

— Za nimi — mówiłam dalej — jechał oddział kirasjerów gwardii w białych mundurach i złotych kaskach, z pochodniami w ręku...

Głos mój był jakby zupełnie obcy i płynął do mnie z daleka.

Uśmiech Staśka zaczął się jakby nagle udzielać innym, wypelzał na wszystkie twarze, zuchwały, kpiący i beczelny.

— Dowódca oddziału zapukał w bramę szablą... — głos mój począł lekko drżeć.

— He! — przerwał mi Stasiak wybuchając śmiechem — że też to dziadek nikomu z nas nie opowiedział, jakich to panów widział w nocy, co, Adela?

Adela milczała, ale Stasiak śmiał się dalej.

— Przecie chyba musiał od nich dobrze zarobić za bramę!... I nagle stała się rzecz straszną: zawtórował mu ogólny wybuch śmiechu.

Uczułam, że krew uderza mi do głowy, a straszliwy gniew przesłania oczy czerwoną mgłą.

— Milczeć! — ryknęłam tupiąc nogami w nieprzytomnej, dzikiej wściekłości. — Milczeć albo ja was nauczę!

Cofnęli się i zamilkli na chwilę ze zdumienia, a ja krzyczałam dalej, czując, że nie ma już Albanii, że wszystko jest stracone:

125

— Tam na górze wyjmują właśnie ze skrzyni mój strój koronacyjny!

— Cha! Cha! Cha! — śmiech wybuchł ze zdwojoną siłą.

— A gdzie to stoi teraz ta skrzynia? — wołał Stasiak pokładając się niemal. — Bo jakem pomagał dziadkowi zdejmować dywan do trzepania, to jej jakoś pod fortepianem nie widziałem!

Dotychczas nie śmiał mówić, ale teraz...

— A moja matka — wołała Franka, córka praczki — mówiła, że Katarzyna to się skarżyła, że takie państwo, a każdy grosz wylicza i nawet na praczkę sobie pozwolić nie może!

— Patrzcie, jaki to głos z siebie dobyła! — wołała Mańka od sklepiczarki. — Boi się jej kto, myśli! Żebyś wiedziała, ty cesarzowo chińska, że twój tatuś to podobno przez to włóczenie się mamy po zagranicach resztkami goni! O jeden rachunek trzy razy się upominać trzeba!

— Książę, co psy wiąże!

— Cesarz, co na wesz wlaź!

— Jeżeli nie przestaniecie... jeżeli w tej chwili...

— No to co? No to co? — skakali wokoło i przedrzeźniali mnie.

I wtedy zrodziła się we mnie nagle ostatnia, rozpaczliwa myśl — próba ratunku. Schwyciłam za rękę Staśka i warknęłam przez zęby:

— Chodź!

Zanim zdołał się zorientować, byłam już z nim na schodach. Przed naszymi drzwiami próbował się wyrwać.

— Puszczaj! Czego ode mnie chcesz?! Ale zatrzymałam go i zadzwoniłam.

— A to co takiego?! — zdziwił się Jan ujrzawszy mnie z wypiekami na twarzy i rozwianymi włosami, przytrzymującą z całej siły wyrwijącego się Staśka.

— Janie! — zawołała zdyszana. ■— Co tatuś nosi w prawej kieszonce od kamizelki?!

126

— Co pan doktor nosi w kieszonce od kamizelki?! — powtórzył coraz bardziej zdumiony Jan. Stasiak zrozumiał, że nie chodzi tu o porachunki z nim, przestał się wyrwać i dwie pary oczu wpatrzyły się w Jana z oczekiwaniem.

— No tak! No tak! Przecież Jan co dzień czyści ubranie, więc musi Jan wiedzieć!

— Klucze. Ale...

— Klucze! — powtórzyłam z naciskiem patrząc z tryumfem na Staśka. — Słyszysz?! — Klucze! A ile ich jest?

— Trzy — odpowiedział Jan i przeżegnał się, chociaż nigdy nie miał tego zwyczaju.

— Trzy! — powtórzyłam. — Trzy! Teraz wierzysz?! Stasiak zawahał się.

— A od czego te klucze? — zapytał. Janowi było już tego za wiele.

— A tobie co do tego, smerdo jeden?! — zawołał.

I byłabym może jeszcze ocalona, gdyby nie to, że Jan wytłumaczył sobie fałszywie moje błagalne spojrzenie i wzruszywszy ramionami, mruknął:

— A zresztą... niech wam będzie! Jeden od bramy, drugi od drzwi, a trzeci od zatrzasku!

Wbiegłam jak nieprzytomna do mieszkania, rzuciłam się na najbliższy fotel i zaniosłam się od płaczu.

Zdumiony i przerażony Jan na próżno usiłował przez dłuższą chwilę wydobyć ode mnie, co się właściwie stało. Łkałam rozpaczliwie z twarzą zasłoniętą rękami, jak gdybym zamierzała rozplynać się we łzach.

Jan przysunął sobie krzesło, objął mnie wpół (nigdy dotychczas tego nie czynił) i gładząc moje włosy, słowo za słowem, wyznanie za wyznaniem, wydobył ze mnie wszystko.

O tym, że tylko Jasia... i o Adeli... i o tym, jak nie można było niczym zdobyć jej serca... i o Albanii...

Jan słuchał uważnie, kiwając głową, z trochę smutnym i do-

127

brotliwym uśmiechem. W miarę mego opowiadania poważniał jednak, a wyraz jego oczu stawał się coraz surowszy.

— A mówiłem ci zawsze — powiedział wreszcie — żebyś zamiast wymyślać sobie to wszystko, nauczyła się skakać przez sznurek! Bo to nie o to chodzi, że się z ciebie teraz wszyscy śmieją, ale o to, że się wyparłaś swego kraju i swego ojca!

Zdrętwiałam. Bo to właśnie nie przyszło mi jakoś dotychczas do głowy. A przecież — tak! To była prawda! Wyparłam się mego kraju i tatusia!

Wybuchnęłam jeszcze głośniejszym płaczem.

Ale Jan nie pocieszał mnie wcale. Pokiwał nade mną głową, jakby chciał powiedzieć: „imitacja!” i poszedł do swojej roboty.

Przez tydzień mimo nalegań cioci Kazi nie chciałam zejść na podwórze. Wreszcie zdecydowałam się iść tam bardzo wcześnie, kiedy jak mi się zdawało, nie będzie jeszcze nikogo.

Podwórze było rzeczywiście zupełnie puste. Usiadłam pod kasztanem. Było zupełnie cicho, tylko z gałęzi odzywał się od czasu do czasu świergot ptaków.

Dawniej myślałam często o tym, że może któregoś ranka usiądę tutaj z Adelą.

Ale teraz wiedziałam, że już nigdy. Byłam ośmieszona, zhańbiona, odtrącona przez wszystkich.

Sama nie wiedziałam, jak i kiedy zaczęłam płakać. Łzy płynęły mi z oczu same, jedna za drugą, bez łkania, jak krew.

I nagle poczułam, że ktoś bierze mnie za rękę. Odwróciłam się — za mną stała Adela. , —, Czego ty się tak mażesz, co?

Nie odpowiedziałam. Byłam zbyt zaskoczona. Ale nie przestawałam płakać.

Wtedy Adela usiadła obok mnie i otarła mi fartuchem łzy, zupełnie jak Zośce, kiedy się przewróciła i płakała.

— Przykro ci bez matki? — zapytała Adela.

Instynktownie poczułam, że... Ale nie! Nie chciałam jej już

128

9 —

RA

Iki

,

więcej kłamać! Nigdy! A przecież teraz — to nie była prawda. Więc nie patrząc w oczy Adeli i nie odwracając głowy wyznałam jej wszystko. Adela słuchała ze zdziwieniem.

— Dziwna z ciebie dziewczyna! — powiedziała wreszcie. Więc ja jeszcze ciszej i ze spuszczoną głową, że to przecież

wszystko zrobiłam dla niej, bo taka byłam sama i tak bardzo chciałam ją mieć za przyjaciółkę.

Adela zmieszana się.'

— Awantura arabska! — mruknęła. A potem dodała surowo:

— Jesteś jeszcze dla mnie za mała!

■ — Ja wiem... — powiedziałam pokornie. Siedziałyśmy dłuższą chwilę w milczeniu.

— No, a co do tego albańskiego cesarza, to nie potrzebujesz się martwić, że nim nie jesteś! Ty wiesz, ile mnie obchodzą wszyscy książęta, królowie i cesarze?!

Potrząsnęłam głową na znak mojej pełnej nieświadomości.

— Na wszystkich książąt, królów i cesarzy to ja sr...! — oświadczyła stanowczo Adela.

Oslupiałam. Podniosłam na nią oczy rozszerzone zachwytem, zgrozą i podziwem.

Człowiek, który na wszystkich książąt, królów i cesarzy... Taak.

XXIV. A Adela...

Póki Adela mieszkała na Żelaznej, nie miała wiele czasu na rozmyślanie. Chyba tylko w niedzielę, gdy matka była w domu, albo wieczorami, gdy dzieci już zasnęły. Ale i wieczory nie zawsze były wolne. To trzeba było ścierki przepłukać, to coś załatać, to wyprać Jasiowi koszulkę. A zresztą Adela była już tak zmęczona, że ledwie jej się oczy otwierały.

130

Nie miała także gdzie i kiedy płakać.

I od tych nie przemyślanych myśli i nie wypłakanych łez to było czasem Adeli tak ciężko, że aż ją bolało w piersiach, że aż już nie mogła znieść. I dlatego najbardziej lubiła Adela obierać kartofle. Siadzie sobie na ławie nad szaflikiem z wodą, okrąża nożem kartofel, wyłuskuje zepsute części i myśli o Felku.

Wspomina sobie Adela wszystko od początku, każdą niby to nic nie znaczącą rzecz...

Nie to, o czym mówił nawet, ale jak siadał na łóżku, tak trochę bokiem, żeby móc czasem i na nią popatrzeć.

I jak się uśmiechał, bo przy uśmiechu to mu się robiły takie jasne i bliskie oczy i taki się zaraz stawał miły jak mały chłopczyk. Że aż się go chciało pogłaskać po twarzy jak Jasia, że aż nie można było uwierzyć, że to jest przecież ten sam wielki i mocny Felek!

I o tym, jak po powrocie z fabryki pił kawę grzejąc zziębnięte ręce nad garnuszkiem.

I jak się zamyślał siedząc przy zapalanej świecy z książką w ręku.

I jak się mył po robocie, otrząsając się wesoło z wody.

Same takie zwyczajne rzeczy.

Ale przy tym zawsze także i to, że jeżeli to właśnie było takie zwyczajne, takie codzienne, takie dobrze znane, no to nie może przecież tak ni stąd, ni zowąd przestać być!

I jedna za drugą odpadały od Adeli te myśli, jak kartofle do szaflika.

Ale choć każda z nich była twarda, gładka i biała, choć każda wątpliwość była z niej wyluskana starannie ostrym nożem, to Adeli nie robiło się od tego ani trochę lżej, tylko coraz mocniej bolało ją w zgiętych plecach.

Bo z takimi myślami to jest tak, że gdy nie można ich przemyśleć, gdy po prostu nie ma czasu, to się człowiekowi zdaje, że już ich nie może dłużej wlec, że mu chyba pęknie od nich serce! To mu się zdaje, że chyba dałby nie wiem co, byle

131

każdą z tych myśli z siebie wyjąć i obejrzeć, i dokładnie ją sobie rozkładać, i poznać aż do samego środka, i na pewno wiedzieć, że się ją mocno trzyma w garści, i pozbyć się tego nieznośnego uczucia czczości i pustki!

Ale jak się znowu ma czas, to każda taka myśl idzie w serce, jak ostry nóż w palec. Bo przecież Adela mimo wszystko wiedziała, że „stamtąd” piszą. Więc jeżeli nie pisał, to znaczy...

A jednak... nawet taki ból jest lepszy od tej pustki i gdyby ktoś zapytał na Żelaznej Adeli, czego pragnęłaby najbardziej, to odpowiedziałaby na pewno, że chciałaby móc siedzieć tak spokojnie na ławce cały dzień i o nic się nie troszczyć, i niczym nie zajmować, tylko — obierać kartofle.

Ale — gdzie tam! Czy jej dali choćby parę minut spokoju?! Przecież i od tego obierania to się co chwila musiała odrywać. To się Wicek ze Staśkiem od Kubasiowej pobił, to Zośce Józek bułkę odebrał, to Jasio, który teraz dopiero zaczynał chodzić, rozciągał się co parę kroków jak długi lub usiłował ściągnąć na siebie garnek z gorącą wodą.

Adela musiała się co chwila zrywać, pocieszać, uspokajać, rozdzielać klapsy i szturchańce.

Zdawałoby się więc, że na Lesznie, kiedy matka zajmie się gospodarstwem, to Adela będzie mogła nareszcie przemyśleć swoje myśli. Ale — dziwna rzecz! Im więcej się ich przemyślało, tym więcej ich powstawało i nie można było sobie z nimi dać rady. Czasem to nie mogła się z nich otrząsnąć; nawet wtedy, kiedy wołało ją które z dzieci. Raz Zośka przewróciła się, nabiła sobie guza i podniosła krzyk na całe podwórko, a mimo to upłynęła dłuższa chwila, zanim Adela ocknęła się, podniosła z ławeczki i pobięła do niej. I niby to słyszała jej krzyk i widziała przecież, że Zośka upadła, ale jakby z daleka, przez mgłę.

Innym razem, wycierając matce naczynia, zamyśliła się i stanęła tak beczynną ze ścierką i talerzem w ręku, aż matka krzyknęła na nią:

132

— Co ty, śpisz, dziewczyno, czy co?

Adeli zdawało się czasem, że zapada we wspomnienia jak w trzęsawisko, że nie może już się z nich wydostać.

Najgorzej było jednak wtedy, gdy kontury ich zaczynały się zacierać i gdy Adela, oblana zimnym potem przerażenia, uświadamiała sobie, że nie może wywołać już obrazów, nigdy nie utrwalonych przez słowa.

Mówić z kimś! Mówić z kimś o Felku! Pragnienie to stawało się coraz silniejsze, a samotność coraz bardziej nie do zniesienia!

W tym właśnie czasie „przyczepiła się” do niej ta Krysia. Adela nie potrafiłaby zresztą powiedzieć, na czym polegało owo „przyczepienie się”. Bo od tego pierwszego spotkania, gdy potraktowała ją od razu jak należy, Krysia nie śmiała do niej się zbliżyć.

A przecież Adela czuła ciągle jej obecność natrętną i drażniącą.

Widziała, że Krysia obserwuje ją nieustannie, że kręci się ciągle koło Wicka i Zosi, którzy jak na złość od razu przyłgnęli do niej, że zdaje się chwytać każde jej spojrzenie, każdy przypadkowy uśmiech. Pewnego razu spróbowała nawet wziąć na rękę Jasia. Adela jednak wyrwała go jej gwałtownie i posadziła brutalnie obok siebie rozkrzyczane dziecko.

— Masz swoją lalkę! — warknęła. — Nij się baw, a nie moim bratem.

Krysia spojrzała na nią szeroko rozszerzonymi, przerażonymi oczyma, które nagle napełniły się łzami.

— Za co ty mnie tak nie lubisz, Adelciu? — zapytała.

— A bo już tak! — odpowiedziała Adela, ale ni stąd, ni zowąd zrobiło się jej strasznie przykro,



zupełnie jakby skrzywdziła małe dziecko.

I niespodzianie dla samej siebie dodała:

— Zresztą... skąd wiesz, że cię nie lubię?...

Cóż to za dziwna dziewczyna była z tej Krysi! Łzy obeschły jej natychmiast, różowy rumieniec oblał twarz, szafirowe oczy

133

stały się zupełnie promieniste, a usta rozchyliły się w uśmiechu.

— Nie? — powiedziała głosem, który załamywał się trochę i drżał. — Nie?... A ja myślałam...

Wyglądała tak, jakby się chciała rzucić Adeli na szyję. Ale tego już Adeli było naprawdę za dużo!

— A zresztą... co ci na tym zależy?! — burknęła. Usiadła pół odwrócona od niej na ławce i zajęła się swoim

szyciem. Na próżno Krysia stała obok niej długą chwilę ze spuszczoną głową i już znowu przygasłymi oczyma, czekając na jakieś ośmielające spojrzenie czy słowa. Adela nie zwracała na nią uwagi, jak gdyby nie rozmawiała z nią przed chwilą, jak gdyby jej wcale nie było.

Ale mimo to... mimo to od tego dnia Adela zaczęła również, na pół świadomie, niemal niepostrzeżenie dla siebie samej, obserwować Krysię.

Było w niej coś szczególnego, coś, czego nie widziała jeszcze nigdy u żadnej innej dziewczynki.

Coś dziecinnego, płochliwego i bardzo kruchego, co nie pozwalało odnosić się do niej źle. Jak gdyby była daleko młodsza niż naprawdę i zupełnie bezbronna. A jednak... a jednak rzecz dziwna...

Adeli zdawało się, że jednocześnie Krysia wie i rozumie o wiele więcej niż inne dziewczynki!

Czasem, gdy zamyślała się lub uśmiechała, Adela odnosiła wrażenie, że zna już skądś to spojrzenie i ten uśmiech. Długo nie mogła sobie przypomnieć skąd, a kiedy wreszcie uprzytomniła to sobie, to aż jej się gorąco zrobiło z gniewu i oburzenia: przeszła jej bowiem przez głowę głupia i prawie bluźniercza myśl, że Krysia podobna jest w owych chwilach do — Felka!

Od tego czasu obserwowała ją jeszcze uważniej, zamykając się jednak pozornie w jeszcze większej obojętności — nie mogło być przecież mowy o tym, żeby zbliżyła się do tej „małej z Saskiego Ogrodu”!

Nic ich nie łączyło i nie mogło łączyć.

Adela nie jest jedną z tych dziewcząt, które łąszą się do

134

niej bez godności i bez wstydu, którym imponuje jej sześć pokoi, lalka, sukienki i służba!

I czyż ta Krysia naprawdę nie widzi, czyż nie zdaje sobie sprawy, dlaczego jej tak nadskakują, dlaczego się tak podlizują, że aż Adela dławi wstyd?! Jak może nie pogardzać tego rodzaju

„przyjaźniami”! Chociaż... czegóż można od „takiej” wymagać?! Jest przecież nimi tak zajęta, że nawet — zapomina o Adeli!

— No — nie całkiem... Teraz na przykład znowu posyła w jej stronę nieśmiały uśmiech.

Ale Adela... nie! Adela nie widzi nawet tego uśmiechu! Po prostu — nie dostrzega go...

Pewnego jednak razu Adela usłyszała w sklepiku, jak Katarzyna, „kucharka pana doktora”, opowiadała:

— Dziecko bez matki, proszę pani! Czasem, jak ścielę jej łóżko, to poduszka aż mokra jest od łez.

Ojciec ciągle w robocie, ciotka ma fiołka i ciągiem się tylko leczy, do szkoły jej nie posyłają, bo niby chora. Czekają tak, proszę pani, na te listy, że po dziesięć razy do skrzynki biegnie. A

mamusia to podobno nieczęsto pisze. Mówią, że bardzo chora, ale ja myślę, że prędzej —

fanaberie! A przez te jej włóczenie się po zagranicach to tak na wszystko skapią, że się już chyba człowiek porządnie gotować oduczy! A stary to haruje jak wół. Dzień i noc. Nie wiem, skąd on te siły bierze! Ja tobym już chyba nogi wyciągnęła, i wspomni pani jeszcze moje słowa, że jak tak dalej pójdzie, to i on wyciągnie!

— Co ma wyciągnąć! — powiedziała sentencjonalnie skle-piczarka. — Pani byś też nie wyciągnęła, żeby ci tyle płacili!...

Adela wróciła do domu dziwnie wzburzona.

Bo i dawniej nie wszystko było dla niej jasne i proste. Ale teraz to już jej się do reszty poplątało.

Żeby był Felek, toby jej to jakoś wszystko ułożył i uporządkował, a tak to ani rusz!

Bo jeżeli ktoś tak ciężko pracuje, to jest czy nie jest — „burżuazja”?

Ale najważniejsze: co robić, jeżeli taka „burżuazja” wcale nie ucztuje, podczas „gdy naród do boju wychodzi z orężem”, ale całkiem po prostu — cierpi?!

Cierpi tak samo jak Adela, jak Felek, jak każdy.

I co robić, jeżeli „proletariat” odsuwa cię, a podlizuje się bezwstydnie „burżuazji”, a „burżuazja” właśnie pcha się do ciebie z przyjaźnią?!

I jeżeli w dodatku to jest taka zupełnie mała „burżauzja” i taka jakaś wygląda opuszczona, mimo swoich powiewnych sukienek i kokard, i patrzy na ciebie takimi oczyma jak Zośka, i płacze nocami z tęsknoty za matką, i czeka na nią jak Adela na Felka?!...

W głowie Adeli zapanował zupełny zamęt.

O przyjaźni między nią a Krysią nie mogło być oczywiście mowy! Ale — dlaczego miałyby jej unikać?

Zna się z taką Anielcią, zna się z Kazia, Jadwisią, a nawet Mańką (choć Mańka, córka sklepiczarki, to właściwie także „burżuazja”!), więc dlaczego nie miałyby właśnie z Krysią! Oczywiście, pchać to się ona do niej nie będzie. Ale jeżeli tamta tak bardzo chce — to — proszę! I nazajutrz Adela nie siedziała już jak dawniej pograżona w robocie, zamknięta w sobie, oddzielona od całego świata pancierzem obojętności.

Czekała.

Ale nieśmiały uśmiech i trwożne spojrzenie szafirowych oczu nie wybiegało jej naprzeciw.

Kryśka chodziła po podwórzu otoczona kilkoma dziewczynkami, zapatrzonymi w nią jak w tęczę, i opowiadała im o czymś z ożywieniem. Na Adelę nie zwracała uwagi.

Adela poczuła dziwne rozdrażnienie i złość.

„O czym może właściwie rozmawiać z nimi?” — pomyślała.

Powoli cała gromadka zbliżała się do ławeczki.

„No, teraz to już musi spojrzeć po swojemu — pomyślała

Adela. — A wtedy to ja jej kiwnę głową, a wtedy to ona...”

Ale Kryśka nie spojrzała.

Usiadła tuż obok Adeli nie zwróciwszy nawet na nią uwagi.

— U nas — mówiła głośno do otaczających ją dziewczynek — jada się wyłącznie na srebrze i złocie, a wszystkie owoce i kwiaty znajdują się na stole cały rok...

Adela doznała wrażenia, jakby ją ktoś odepchnął.

„Ach, więc to je tak zajmuje...” — pomyślała.

Ale nagle uderzyła ją jedna rzecz: przecież to, co mówiła Kryśka, to były najoczywistej wymyślone głupstwa!

A przy tym mówiła dziwnie głośno, tak głośno, jak gdyby przeznaczała je dla kogoś poza słuchaczami...

W Adeli aż zakipiało ze złości: więc Kryśka traktowała ją na równi z tymi gęsiami, którym można było zaimponować srebrnymi i złotymi talerzami!

Nie! Pomiedzy Adelą a nią nie mogło nastąpić żadne zbliżenie! Adela zacięła się znowu i zamknęła w sobie, wyłączyła po prostu Krysię ze swego życia.

Ale — tak się tylko mówiło. Bo mimo wszystko nie mogła jej wyłączyć. Nie tylko dlatego, że rozmowy Krysi z jej „przyjaciółkami” toczyły się zawsze w pobliżu Adeli.

Ostatecznie — mogła się przecież przenieść w inny kąt podwórza. Ważniejsze i bardziej zadziwiające było to, że Adela nie mogła się powstrzymać od przysłuchiwania się im.

Było w opowiadaniach Krysi coś, co mimo woli przykuwało uwagę Adeli. Coś, co przykuwało ją tym mocniej, im bardziej stawały się one nieprawdopodobne, im bardziej oddalały się od domu na Lesznie aż do słonecznych dóbr w Katalonii, a później w krainę bajecznego królestwa — Albanii.

Gdyby ktoś zapytał Adelę, co się jej w tych opowiadaniach podoba, mogłaby odpowiedzieć z całą szczerością: Nic!

Nic także jej w nich nie imponowało jak dziewczynkom z podwórza. Przepych bowiem nie

ołśniewał jej, ceremoniał

137

dworski wydawał się jej śmieszny, a zresztą nie wierzyła, żeby ludzie godzili się robić z siebie takie małpy...

Nic jej także w tych opowiadaniach nie wzruszało.

Ani w dziejach Krysi, bo uważa je za „bujdy na resorach”, ani w dziejach Albanii, bo była przekonana, że to albo wszystko nieprawda, albo burżuazja turecka porozumiała się już doskonale z albańską, a księżęta wcale nie walczą, tylko bawią się w swoich pałacach...

Opowiadania Krysi nie zajmowały Adeli, ale — zadziwiały ją!

Był to także przecież pewnego rodzaju „nowy ustrój”, do którego ta „dziewczynka z Saskiego Ogrodu” tęskniła. Coś, co także rozwijało się jak barwna wstęga opowiadań Felka i w co Krysia wkładała całe serce, ale co było zupełnie bezsensowne, tak bezsensowne i głupie, że aż zdumiewające!

„Po co ona to wszystko wymyśla?!” — zadawała sobie pytanie Adela i nie znajdowała na nie odpowiedzi.

Przecież to wszystko nie miało żadnego celu, poza chęcią błyszczenia, nie służyło nikomu do niczego ani nigdzie nie prowadziło, przypominało owe kolorowe — złote, rubinowe i szmaragdowe — bańki na choinkę, świecące z wierzchu, ale próżne w środku.

A Krysia mówiła o nich z drżeniem w głosie i łzami w oczach!

I gdyby to chociaż była prawda!

Ale w dodatku były to wszakże tylko kłamstwa, bezcelne kłamstwa, w które ona sama zdawała się jednak — wierzyć!

„Pomyłona chyba czy co? — myślała z niepokojem Adela — a może zgola — głupia?!”

Ale czuła dobrze, że Krysia nie jest „głupia”.

I dziwna rzecz! Adela śmiała się i złościła, ale na dzień tego wszystkiego zaczęło się w niej pojawiać coś jakby współczucie dla Krysi i — strach o nią!

Nie umiałyby może tego objaśnić, ale wydawało się jej, że Krysia wchodzi już za wysoko po drabinie swego kłamstwa,

138

że za chwilę może runąć i że ona, Adela, powinna wyciągnąć ręce i schwycić ją! (Takiego samego uczucia doznawała już raz Adela, gdy była z ojcem na przedstawieniu w cyrku i patrzyła na linoskoczków).

I gdy drabina zaczęła się naprawdę chwiać, a Stasiak zwrócił się do niej po świadectwo przeciw Krysi, Adela — milczała. A kiedy drabina zawałiła się, Adela poczuła nagle, stojąc wśród tej wrzeszczącej i szyszczącej gromady, że jest — po stronie Krysi!

Zupełnie! Całym sercem! Gdyby coś podobnego mogło jej przejść przez usta, zawołałaby nawet: — Wierzę jej! Ona jest księżciem!

Nie dlatego, oczywiście, że wierzyła, ale dlatego, że gdy płaczącą Zosię w dziurawej miednicy, która była jej ulubionym „kapelusikiem” na główce, wyśmiewały na Żelaznej dzieci, to Adela krzyczała również:

— Bałwany! To jest naprawdę kapelusz!...

I tak samo jak Zosi, gdy się czasem uderzyła, wytarła Krysi łzy fartuchem.

X. Ci

Część czwarta MY DWIE I SPRAWA JÓZI

XXV. Dobroć niepotrzebna

W tydzień po upadku Albanii i owym spotkaniu na ławeczce pod kasztanem weszłam do stołowego pokoju, w którym Jan był zajęty wycieraniem kurzu z kredensu, stanęłam przed nim i oświadczyłam stanowczo:

— Mam przyjaciółkę!

Jan nie odpowiedział. Skończył czyścić specjalną, przypominającą twardego pędzelek szczoteczką zęby lwa wyrzeźbionego na dolnych drzwiczkach i przeszedł do więzi kwiatów i owoców z górnych drzwiczek.

Jego obojętność ubodła mnie.

— Nazywa się Adela! — dodałam podnosząc głos, ponieważ wydało mi się, nie wiadomo dlaczego, że imię to musi wyrzucić pożądany efekt.

— No! No! — powiedział surowo Jan nie odwracając ku mnie głowy. — Żeby to tylko znowu nie było coś wymyślonego!...

Zmieszałam się okropnie. Właściwie bowiem, to mimo pozorów prawdy — nie byłam wcale tak pewna, czy nie jest to znowu „coś wymyślonego”...

A przecież dziewczynki na podwórzu mówiły już do mnie o Adeli — „twoja przyjaciółka”...

Adela nie odgradzała się ode mnie wprawdzie murem chłodnej i wzgardliwej obojętności, ale — „przyjaciółka”!...

Pomiędzy mną a Adelą leżało coś, czego nie umiałabym

141

określić, ale co sprawiało, że nigdy nie ośmieliłabym się tak jej nazwać. Cóż z tego bowiem, że spędzałam z nią prawie cały dzień, cóż z tego, że witała mnie spojrzeniem i uśmiechem, że dawała mi czasem do potrzymania Jasia, że mówiła o nas dwóch — „my”?, a o wszystkich innych dziewczynkach — „one”? Cóż z tego, jeżeli ta niewidzialna, a jednak (jakże dobrze wyczuwalna) granica istniała dalej?

Nie śmiałam przecież nawet tak „naprawdę” rozmawiać z Adelą, choć niby to rozmawiałyśmy ze sobą ciągle. Wyczuwałam dobrze, że jest w moim życiu nieskończona ilość rzeczy, którymi Adela pogardza, których nie lubi lub które (w najlepszym razie) są według niej godne politowania. Nie wiedziałam jednak, co to są za rzeczy, a nawet według czego należy je wartościować. Doznawałam po prostu chwilami wrażenia, że idę z zawiązanymi oczyma po „szklanej drodze” (bawiłam się kiedyś na urodzinach jednego z moich kuzynów w taką grę). Tylko że teraz doznawałam wrażenia o wiele większego lęku i niepewności niż wówczas, gdy z wyciągniętymi przed siebie rękami przechodziłam pomiędzy dwoma rzędami szklanek...

Właściwie najpewniej czułam się wtedy, gdy bawiłam się z Zosią i Wicusiem lub opowiadałam im bajki. Wymyślałam zawsze takie zabawy i takie bajki, aby przykuć nimi uwagę przysłuchującej się im Adeli. Wkrótce też zaczęłam wyczuwać, co ją zajmuje, co nudzi, a co razi, i te chwile, kiedy oczy Adeli patrzyły na mnie z uwagą, a czasem nawet ze wzruszeniem, były jedynymi chwilami prawdziwego zbliżenia.

Toteż opowiadałam coraz mniej dla dzieci, a coraz więcej dla Adeli, chociaż jej samej nie ośmieliłabym się nigdy tak wprost zaproponować bajki...

I coraz pewniej, coraz mniej po omacku, znajdowałam te właśnie drogi, na których chciała mi towarzyszyć Adela.

Adeli nie zajmowały bowiem przygody dla przygód ani czyny, które były spełniane tylko po to, by zaimponować komuś siłą czy odwagą.

142

Bohater, który wyruszał w świat, żeby szukać awantury, nie mógł liczyć na jej współczucie i sympatię. Spotykał się tylko z lekceważącym wzruszeniem ramion lub ironicznym:

— Widać nic nie robił, tylko żarł i spał, to się w końcu tak znudził, że wściekać się zaczął.

Albo:

— Jakby cały dzień robił w fabryce, toby nie poleciał guza szukać! Nie bój się!

Nie miała też zrozumienia dla pięknych historycznych gestów i słów.

O świętej Kindze wrzucającej swój pierścionek do kopalni mówiła:

— Dałaby lepiej biednemu!

A o słupach Bolesława Chrobrego:

— Widział kto, tyle żelaza marnować!...

Nawet Karliński nie znajdował w jej oczach uznania. Jego dumne słowa: „Wyście świadkiem, mężowie olsztyńscy, że tak zginął jak wszyscy Karlińscy”, słowa, które przejmowały mnie dreszczem wzruszenia, Adelę oburzały tylko:

— Nawet najgorszy rozbójnik — i to żałuje swego dziecka, a on — patrzcie go tylko!

— Przecież — próbowałam nieśmiało oponować — przecież musiał do niego strzelić, bo inaczej

Olsztyn... Zrobił to dla ojczyzny!

— No więc jak musiał, to musiał, ale chwalić się i cieszyć nie ma z czego! — odpowiadała surowo Adela.

Bohaterzy, którzy mieli zdobyć serce Adeli, musieli być zupełnie prości, bez gestów, bez deklamacji i bez próżności, a wszystkie ich czyny musiały zdążać do jasno wytkniętego celu.

Nie było to dla mnie łatwe zadanie. Ale za to, gdy pewnego razu Adela zapytała niecierpliwie: „No i co dalej?“, doznałam wrażenia takiego tryumfu i radości, jakiego nie było mi dane doznać ani przedtem, ani potem... Przez krótką chwilę miałam wrażenie, jakby łączył nas jakiś mocny węzeł, jakbym

143

nie tylko ja była zależna od Adeli, ale Adela ode mnie, jakbym nareszcie...

Zwykle bowiem miała dla mnie Adela ten sam rodzaj szorstkiej dobroci, co dla „swoich“ dzieci.

Tylko że w stosunku do mnie nabierała ona jeszcze odcienia leciutkiej, ledwie dostrzegalnej ironii i rezerwy, wyłączającej wszelką poufałość.

Serce człowieka jest dziwnie nienasycone.

Gdyby powiedziano mi przed niedawnym jeszcze czasem, że będę cały dzień spędzać z Adelą, że Adela popatrzy na mnie takimi ciepłymi i złotymi oczyma jak na swego Jasia, że gdy mnie zobaczy, zrobi mi natychmiast obok siebie miejsce, jak gdyby to się samo przez się rozumiało, że usiądę przy niej, to byłabym się na pewno uważała za najszczęśliwszego człowieka na świecie.

A przecież teraz pragnęłam już czegoś więcej.

I na próżno usiłowałam wyobrazić sobie przed zaśnięciem wspaniałe i bohaterskie czyny, po których Adela...

Nagle poczułam niechęć do tych wszystkich łatwych i usługowych obrazów, które w każdej chwili gotowe mi były wynagradzać wszystko.

A może nawet — coś więcej niż niechęć.

Zdaje mi się, że był to wstyd i wstręt.

Po tamtych rzetelnych i prostych bohaterach Adeli ci moi bohaterzy, w których wszystko obliczone było na efekt i chęć imponowania, byli kłamliwi, śmieszni, nieprawdziwi i aż do obrzydliwości — nudni!

A przy tym odnoszenie takich nocnych zwycięstw nad Adelą, zwycięstw, które osiągałabym poza jej wiedzą, miało w sobie coś niskiego i podstępnego...

Zresztą — na cóż mogły mi się one właściwie przydać? Nie chciałam przecież upokarzać Adeli ani tryumfować nad nią! Nie czułam do niej wcale urazy. Nie uważałam nawet, że jest wobec mnie niesprawiedliwą lub że nie docenia mnie. Nie czułam się skrzywdzoną przez Adelę. Chciałam tylko doróść do niej!

144

A przecież dotychczas nie mogłam nigdy znieść myśli, że ktoś patrzy na mnie lekceważąco! Nie zadawałam sobie nawet nigdy pytania, czy ma słuszność. Duma podnosiła się we mnie natychmiast jak ognisty słup! Dławiły mnie łzy, obraza, żal i wściekłość i jedyną myślą, która mnie opanowywała, była myśl: Pokazać mu! Pokazać!

Tym razem jednak nie chciałam niczego — „pokazywać“.

Pragnęłam zmienić się naprawdę do gruntu, choćby Adela miała nie zauważyć tego!

Żeby nie było już we mnie ani tchórzliwości (po raz pierwszy przyznawałam, że tak, że jestem tchórzliwa), ani kłamstwa, ani „imitacji“!

Pragnęłam stać się tak prosta, dzielna, odważna i uczciwa jak Adela!

W tym czasie zaszedł jednak wypadek, który przekonał mnie, że nie będzie to tak łatwe.

Na drugim podwórzu pojawiła się nowa dziewczynka — Józia. Było to dziecko może cztero-, a może pięcioletnie. Wieku jej nie można było zresztą określić, gdyż była jak gdyby trochę głupkowata, a jej wykrzywione przez angielską chorobę nóżki czyniły ją jeszcze mniejszą, niż była w rzeczywistości.

Dziewczynka ta była przeraźliwie, po prostu ohydnie brudna. Jej sukienka wydawała się lepka od tłustych plam, bosa nóżki oblepione były błotem, skołtunione włosy roily się od robactwa, które

wypełzało jej aż na szyję i czoło, wąskie szparki oczu były tak zaropiałe, że prawie zlepione, a wiecznie mokry nos wycierała sobie ustawicznie brudną, chyba nigdy nie mytą rączką. Ciotka i wujek Józci, którzy sprowadzili się wraz z nią do wilgotnej i ciemnej sutereny, służącej dotychczas gospodarzowi za skład starych rupieci, nie dbali o małą wcale. Nazywali ją oboje „bękartem”, wypędzali z samego rana z domu, z rzadka tylko wołając na jedzenie, a czasem nie wpuszczali

10 — Druga brama

145

jej do izby nawet na noc. Sąsiedzi znajdowali ją wówczas zwiniętą w kłębek i śpiącą na schodach, w sieni, w piwnicy, gdzie popadło. Zresztą ci nowi lokatorzy byli bardzo zajęci sobą, gdyż bili się i awanturowali od rana do wieczora. W przerwach pili „na zgodę” wódkę, choć Bóg raczy wiedzieć, skąd mieli na nią pieniądze. (On był wprawdzie szewcem, ale prawie nigdy nie miał pracy, bo i majster z niego był nieszczególny, i zwykle przepijał zadatek, a roboty nie odnosił. Ona chodziła na „posługi”, ale z powodu jej niechlujstwa mało kto ją wzywał).

W cichej i spokojnej kamienicy, w której mieszkała, jak mówił Wojciech, „sama lepsza publiczność”, rodzina ta budziła ogólną niechęć i obrzydzenie. I dziwna rzecz — niechęć ta obejmowała także i małą! Gdyby Józcia była ładnym, rozgarniętym lub chociaż miłym dzieckiem, budziłaby na pewno współczucie. Do tej małej, brzydkiej i niechlujnej idiotki wszyscy odnosili się ze wstrętem. Nikomu nawet nie przychodziło do głowy podać wiecznie głodnemu dziecku kawałek chleba lub wpuścić je do izby, gdy w deszczowe dni stawała w progu jak garnące się do ciepła i światła zwierzątko, ze swoim wiecznym głupkowatym uśmiechem, przylepionym do wychudzonej twarzyczki. Odpędzano ją jak parszywego kociaka.

Dzieci na podwórzu odnosiły się do Józci tak samo jak ich rodzice: odganiały ją krzykiem, jeśli tylko zbliżała się do nich.

A że Józcia wiedziała z doświadczenia, że za krzykiem idzie zwykle pięść, więc przestała się wkrótce „pchać” do nich.

Siadała w kącie podwórza, gdzie nikt nie chodził, tuż obok śmietnika i bawiła się skorupami jaj i starymi puszkami od konserw lub siedziała nieruchomo, patrząc swymi zaropiałymi oczyma w słońce.

Nigdy dotychczas nie stanęłam jeszcze oko w oko z nędzą. Czytałam oczywiście wzruszające powiastki o biednych sierotkach, sierotki te jednak bywały zazwyczaj złotowłose i nie-

146

bieskookie i wypędzone przez macochy szły same w mroźną noc zimową, w zawieruchę śniegu, gwiazd i aniołów.

Czasami w zimowe lub jesienne wieczory przysłuchiwałam się, jak deszcz siekł o szyby, i myślałam, jakby to było dobrze, gdyby do nas zapukała taka sierotka! Można by ją było wpuścić do domu, ogrzać, napić gorącą herbatą i wziąć do siebie do łóżka, pod ciepłą kołdrę, zupełnie jak Jasię...

Miałam podobno dobre serce i marzyłam o „sierotce”, tak jak inne dzieci marzą o kotku lub piesku. Ale tej sierotki nie miało się wcale ochoty „wziąć pod kołderkę”...

Sieroctwo jej nie przejmowało wzruszeniem, ale — zgrozą.

W straszliwym opuszczeniu i ponieważ tego dziecka, w opuszczeniu odartym zupełnie z wdzięku rzewności było coś, co mroziło mnie aż do głębi serca.

Nigdy dotychczas nie widziałam ludzi bitych. Nie zdarzyło się także nigdy, aby ktoś podniósł na mnie w domu rękę.

I teraz, gdy patrzyłam na jej posiniaczoną twarzyczkę i na to przykucanie z główką wtuloną w ramiona, żeby ochronić potłuczone ciało od zetknięcia z ziemią, doznawałam uczucia wstydu! Pałącego, okropnego wstydu! Zupełnie, jak gdyby to mnie samą pobito i sponiewierano i jakbym to ja sama siedziała tak przykucnięta koło śmietnika ukazując całemu światu ten idiotyczny uśmiech przylepiony do sinej od uderzeń twarzy.

I co gorsza, byłam już dość duża, żeby zrozumieć, że nie należy liczyć ani na interwencję anioła, który weźmie ją za rękę i zaprowadzi do matki, ani na interwencję „dobrej pani”, która zabierze ją

do swego wspaniałego pałacu i ukaże ją nam w akcie czwartym filmu w marynarskiej sukience i z kokardą we włosach, pijącą czekoladę w salonie.

Nie wyglądało nawet na to, że Józia umrze. Zupełnie, jak gdyby Bóg nie chciał jej także wpuścić do swego domu w górze.

Kiedy więc patrzyłam na nią, doznawałam jakiegoś dziw-

147

nego uczucia. Nie było to wcale uczucie litości, pozbawione bowiem było zupełnie dobroci, słodczy czy smutku. Było to poczucie zniewagi, uczucie buntu, wściekłości i — strasznego niepokoju! Niepokoju wypełniającego mnie całą, nie pozwalającego mi zająć się niczym innym, prącego mnie całą siłą w kierunku jakiegoś działania, zaraz, natychmiast, bez chwili zwłoki! Niepokoju przesłaniającego mi cały świat i nawet — Adelę.

Oczywiście, że z początku zwróciłam się z tym do niej właśnie.

Ale wydało mi się, że Adela odnosi się do sprawy Józii jakoś inaczej niż ja. Miała w stosunku do niej dziwny, rażący i odpychający mnie spokój.

— Tak — powiedziała — trzeba się będzie nią zająć. Teraz nie mogę. Za dwa tygodnie.

Nie zapytałam jej nawet, co zamierza uczynić i dlaczego za dwa tygodnie, tak bardzo nie do zniesienia wydała mi się sama myśl zwłoki.

— Dwa tygodnie! Czekać dwa tygodnie?! — powtórzyłam ze zdumieniem.

Adela spojrzała na mnie uważnie z boku i uśmiechnęła się krzywo.

— Czekaj czasem na różne rzeczy daleko dłużej — powiedziała spokojnie.

— Ależ ją biją, Adela! Biją ją!

— O, to będzie musiała znosić jeszcze długo! — wzruszyła ramionami Adela.

— Ależ ona nie może tego znosić! — krzyknęłam. — Ona tego nie zniesie!

Adela obrzuciła mnie znowu tym swoim badawczym i uważnym spojrzeniem.

— Ciebie nigdy nikt nie bił? — zapytała nieoczekiwanie.

— Oczywiście, że nie — rzuciłam zniecierpliwiona. — Ale ona...

— Hm... — mruknęła Adela — uspokój się. Już ja ci po-

148

wiem, że człowiek może dużo znieść. O wiele więcej, niż ci się zdaje.

Pierwszy raz poczułam względem Adeli pewien chłód. Przestałam z nią mówić o Józii.

To trudno. Skoro nawet Adela zawodziła, musiałam zacząć działać sama.

„Zaćnąć działać”... Z początku nie obejmowałam wcale całej skomplikowanej treści tych słów.

Nigdy przecież dotychczas nie przeprowadzałam w życiu żadnego zamierzenia, a w moich wieczornych marzeniach byłam zawsze stroną zwycięską.

Prawda, że Albania...

Ale co innego jest przecież Albania, a co innego Józia, która wszakże naprawdę istnieje! (Nie wiedziałam jeszcze wówczas, że daleko łatwiej jest nakłonić ludzi do pomocy albańskiemu księciu niż do otoczenia opieką Józii).

Mój plan był na pozór bardzo prosty.

Po pierwsze, należało nakłonić dzieci z podwórza, aby nie tylko przyjęły Józję do swego grona, ale zajęły się nią serdeczniej niż własnym rodzeństwem.

Po drugie, namówić ojca, żeby wziął ją do nas, do domu.

Postanowiłam także przynosić jej jedzenie, bawić się z nią i otoczyć ją troskliwością i opieką.

Jednakże w krótkim czasie cały ten plan okazał się zupełnie niewykonalny.

Przed wszystkim dziewczynki z podwórza nie chciały nawet słyszeć o zajęciu się Józją, a wszystkie moje przedstawiania w tej mierze przyjmowały wybuchami śmiechu lub kpinami. Pytano mnie, czy zamierzam założyć kolonię wszy i czy nie wiem czasem, jakich perfum używa moja nowa przyjaciółka, bo o dziesięć kroków od niej zanosi... Proponowano mi, bym ją zaprosiła do siebie do domu, ale ze ścierką, bo przecież wszyscy wiedzą, że robi pod siebie. Mało tego!

Uważano moje słowa za osobistą obrazę: No, oczywiście, Józia to w sam raz dla nich towarzystwo!

Tak zapewne uważam!...

149

Moja interwencja u ojca skończyła się jeszcze gorzej. Gdy przy obiedzie podniosłam tę sprawę, ciocia Kazia i ojciec znieruchomieli wprawdzie z wrażenia, ale wrażenie to było zupełnie innego rodzaju niż to, jakiego się spodziewałam.

— Na miłość boską! — zawołał przerażony ojciec. — Co to za dziecko? Czy po to nie posyłam jej do szkoły, żeby obcowała z zawszonymi i najprawdopodobniej chorymi dziećmi jakichś mętów społecznych?!

Ciocia Kazia zaczęła płakać i nastał prawdziwy sądny dzień.

Ojciec wyrzucał ciotce, że naraża dziecko tak wątłe i wrażliwe, jak ja, na podobne spotkania.

Ciotka tłumaczyła się, że na podwórzu jest ogród i że bawiły się tam dotychczas tylko dzieci z przyzwoitych rodzin. Wzywano na świadków Jana i Katarzynę. Ja, przerażona groźbą ponownego zamknięcia w murach domu i kratkach Saskiego Ogrodu, zalewałam się łzami. Sprawa Józki utonęła jakoś w tym wszystkim i znikła bez śladu.

Pozostała tylko moja własna sprawa, której broniłam teraz rozpaczliwie.

W końcu stanęło na tym, że wolno mi będzie dalej chodzić na podwórze, pod warunkiem jednak, że nie będę podawała ręki ani całowała się z żadnym dzieckiem, że nie wejdę do jego mieszkania i że nie będę pożyczala dzieciom ani swoich zabawek, ani książek.

O Józki nie mówiło się już wcale.

Tak więc z całego mego pięknego programu pozostawało już tylko noszenie jej jedzenia, co ułatwiała mi życzliwość Katarzyny.

Gdy jednak pewnego razu przechodziłam z garnuszkami zupy i chlebem dla Józki przez podwórze, ciocia jej zobaczywszy mnie przez okno, wybiegła do mnie jak furia.

— To dla Józki nosisz te zlewki?! — krzyczała już z daleka.

— Tak... — wybąkałam przerażona.

Co innego bowiem było siedzieć na koniu w damasceńskiej zbroi i „spokojnie jak posąg”, z ręką wspartą na gardzie szpa-

150

dy, oczekiwać pojawienia się nieprzyjaciela, a co innego stać tak zupełnie bezbroniwie z garnuszkami zupy w jednej, a kawałkiem chleba w drugiej ręce przed ogromną, rozczochraną babą, podtykającą mi pod nos brudną pięść...

Zanim mogłam się zorientować co do jej zamiarów, wyrwała mi z rąk garnuszki, wylała zupę i podeptała chleb.

— Tak! — krzyczała. — A na drugi raz to ci wsadzę pysk do tych zlewków! Dobrodziejka się znalazła! Jak jej u mnie krzywda, to ją zabieraj do siebie! A jak nie chcesz, to wara ci od mego dziecka! Nie potrzebuję za... opiekunek!

Nie wiem, jak by się to wszystko dla mnie skończyło, gdyby nie to, że Katarzyna, która właśnie wyszła trzepać jakiś dywanik na ganek, zobaczyła całą scenę i zbiegła po mnie na dół.

— Oto jest wdzięczność ludzka! — perorowała podając mi wodę, bo byłam blada jak płótno i drżałam jak w febrze.

Nie mogłam wymówić słowa, dzwoniłam tylko zębami o brzeg szklanki.

Więc Katarzyna dodała jeszcze:

— No teraz, żeby mnie Krysia nie wiem jak prosiła, to już niczego dla tej głupiej nie dam! A jakbym widziała, że Krysia jej co nosi, to jak Boga kocham, że pójde do cioci i powiem!

Tak więc i wykonanie owego trzeciego, najskromniejszego punktu programu zostało również uniemożliwione.

Nie pozostawało mi nic innego, jak starać się nie patrzeć w tę stronę podwórza, gdzie rzucona w kącie niby jeden z tych odpadków, które się tam walały, bawiła się swoimi skorupami od jajek i starymi blaszankami Józki.

Z początku przychodziło mi to bardzo trudno.

Czułam niemal fizycznie ból jej obecności, wiedziałam o niej w każdej chwili.

Ale powoli oswajałam się z tym.

Drobna, skulona pod murem postać przestawała budzić zgrozę i wstyd.

Przyzwyczaiałam się do jej widoku.



Zaczynałam zapominać o niej. <

Ale Adela po dawnemu przynosiła jej codziennie chleb, a pewnego dnia powiedziała tak jakoś zupełnie spokojnie i zwyczajnie:

— No, dzisiaj będę mogła zrobić z nią nareszcie porządek. Dziadek staje na świadka w sądzie, a matka wychodzi na cały dzień na robotę. Przypilnuj mi dzieci, Krysiu.

Wzięła za rękę Józię i zabrała ją do siebie do domu.

Kiedy po dwóch godzinach ukazała się z nią znowu, Józi nie można było po prostu poznać: była czysta i ubrana w czystą sukienkę Zosi, a jej gładko rozczesane i dziwnie błyszczące włosy pachniały z daleka naftą.

Adela rozwiesiła na gałęzi jej wypraną koszulkę i sukienkę i posadziła ją w piasku obok Wicusia i Zosi. A potem zwracając się do mnie powiedziała:

— Teraz to już mi będzie łatwo utrzymać ją w porządku, ale żebyś wiedziała, co z niej zlazło! Patrzyłam na nią zdumiona i oszołomiona. Wszystko było takie jakies zwyczajne i proste, a przecież...

— Adela... — wyjąkałam. — Adela...

— A co? — zapytała Adela. A nie otrzymawszy odpowiedzi dodała: — Na pierwszego chodzę zwykle z Jaśkiem do „Kropki Mleka”, bo tam jest taka jedna pielęgniarka, bardzo dobra panienska. Pewnie mi poradzi, czy nie dałoby się jej gdzie umieścić. W jakim zakładzie albo co.

Siedziałam w milczeniu. Tylko serce biło mi jak młotem. I to ogromne, niewypowiedziane zdumienie, że to się tak stało, zwyczajnie i po prostu, bez przemówień, bez wzruszeń, bez łez, bez niczego... że to się tak właśnie skończyło...

Ale nie skończyło się jeszcze.

Pozostawała przecież rozprawa z ciotką Józki, która musiała spostrzec zmianę i która... Podzieliłam się moimi obawami z Adelą.

Adela uśmiechnęła się wzgardliwie.

— A więc zwymyślała cię? — powiedziała. — No, nie bój się, już ja jej zamknę pysk!

Słowa Adeli wydały mi się mimo wszystko przechwałką. Czulałam, że drzę ze strachu, ale postanowiłam nie opuszczać jej w niebezpieczeństwie i wrócić z nią razem do domu. I tylko dzięki temu byłam świadkiem owego cudownego zdarzenia i mogłam nie uronić z niego ani jednego szczegółu.

Zaledwie zdążyliśmy się pokazać na pierwszym podwórzu, gdy ciotka Józki wychyliła głowę przez okno i grad obelg i wyzwisk posypał się na nasze głowy.

Wtedy jednak... Tak, wtedy nastąpiło to wspaniałe i niezapomniane!

Bez wątplenia nie da się zaprzeczyć, że to, czym jej odpowiedziała Adela, to były — „wyrazy”.

Takie właśnie, jakich pod żadnym pozorem nie wolno było używać.

Nieprzyzwoite wyrazy — powiedzmy krótko.

Ale tu, na tym podwórzu, to nie były już nieprzyzwoite wyrazy!

To były wspaniałe, cudowne strzały, z których każda trafiała prosto w serce!

To były rakiety światła, z których każda oświetlała rzecz, o którą chodziło, w całej ostrości i nagości!

To były niezrównane cięcia, z których żadnego nie można było odparować!

A zresztą — „wyrazy”!

Czyż harcownicy, rozpoczynający bitwę w „Ogniem i mieczem”, przemawiali grzecznie do swoich wrogów?

A rycerze z opowieści, które dostałam na gwiazdkę od ojca, czyż nie wołali do swoich nieprzyjaciół:

— Chodźcie tu, synowie diabła i czarownicy. Śmierdzące naczynia diabelskie, pomioty szatana!

A przecież chodziło im tylko o jakies głupie szarfy i puchary, a w najlepszym razie o mordowanie biednych pogaa. Ona zaś walczyła naprawdę w dobrej sprawie!

Adela więc stała wspaniała, jak gdyby nagle większa, z oczyma płonącymi zielonym światłem, z szeroko rozstawionymi nogami (jak zapaśnik, który chce utrzymać równowagę w razie uderzenia) ująwszy się (nie posiadała wszakże miecza) pod boki i — krzyczała. Krzyczała bez przerwy, nie dobierając słów, które łączyły się i zlewały ze sobą w jeden ognisty strumień i tryskały prosto w tę obmierzlą czerwoną gębę w oknie!

Gębę, która traciła przytomność, jąkała się, wybałuszała coraz bardziej oczy, stawała się sina, a potem fioletowa...

A we wszystkich oknach ukazywało się coraz więcej twarzy i wszystkie te twarze były świadkami tryumfu Adeli!

Unicestwiający ciotkę Józki śmiech wstrząsnął po prostu całą kamienicą!

— Dobrze jej tak! — krzyczano. — Dzielna mała! A to dziewczucha! Prawdę gada! Raz się tej jędzy należało! Na policję trzeba dawno było dać znać! Przecie choć głupia ta Józka, ale zawsze — stworzenie boże! Biedna sierotka!

Bo dziwna rzecz: z tych twardych „wyrazów” Adeli rodziło się w naszym domu nagle to, czego ja nie mogłam wzbudzić odwoływaniem się do „sumienia” — współczucie dla Józki.

Wreszcie okno zatrzasnęło się gwałtownie, nieprzyjaciel uszedł z placu!

Adela odwróciła się do mnie. Rzuciła mi jedno z tych swoich krótkich, badawczych spojrzeń i mruknęła, jakby usprawiedliwiając się:

— Z taką to tak właśnie potrzeba; ciałkaniem nic nie poradzisz!

Poszłam do domu, wstrząśnięta do głębi serca. Miłość i zachwyty wypełniały mnie całą! Chodziłam po pokoju wzburzona, nie mogąc dać sobie rady z tym wszystkim.

— Więc taka to jest ta Adela! Więc taka jest właśnie... — powtarzałam.

Ale w pewnej chwili doznałam nagłego ściśnięcia serca.

154

Wiedziałam już, że nigdy do niej nie dorosnę. Nie dlatego, żebym była zła, ale że wszystko we mnie jest przecież nikomu niepotrzebne, że na nic się nie zda. Nawet dobroć.

XXVI. A Adela...

Na wiosnę (tak, było to w same Zielone Świąta), jeszcze na Żelaznej, Felek przyniósł do izby duży pęk kwitnącej tarniny.

Cały ranek go nie było, a zerwał się tak wcześnie, jakby miał iść do fabryki. Przepadł nie wiadomo gdzie, że aż Adela była zła. Bo niby jak? Przecie nawet kawy nie wypił!

A w samo południe wrócił z wybłoconymi butami i ubraniem pachnącym wiatrem i polem i przyniósł tę tarninę.

— Na, masz, Adela! — powiedział. — Wstaw do wody!

Więc Adela chciała wstawić tarninę do niebieskiego wazonika, ozdobionego figurką grającego na fujarce pastuszka, wazonika, który pozostał jeszcze z Woli.

Ale Felek zawołał:

— Nie! Nie! Przecie się nie zmieści! Nie trzeba jej tak ścisnąć!

Wziął duży słoik po kiszonych ogórkach, nalał do niego wody, postawił go na stole i rozłożył w nim gałęzie tarniny jak srebrzyste wachlarze.

I od tej tarniny, i tataraku, i świątecznie wyszorowanej podłogi, i zapachu świeżo upieczonej bułki, i od słońca, którego było tego dnia tak dużo, że nawet do mieszkania zaglądało, i od Felkowych żartów zrobiło się naraz wszystkim tak strasznie wesoło, że izba aż się trzęsła od śmiechu. Felek grał naprzód na tataraku, potem na grzebieniu, a potem na patelni Jasińskiej. Jasińska udawała, że mu chce odebrać patelnię, ale śmiała się tak, że aż łzy jej leciały po twarzy, dzieciaki tańczyły, nawet matka Adeli podrzucała w górę Jasia i wołała: — Hopaj, synku! Hopaj!

155

Ty—\*1ko jedna Adela stała nieruchomo, zapatrzona w tarninę\_\_

Ta\_k się na nią zapatrzyła, że jakby o całym świecie zapo-mni^ała. Że niby to takie delikatne (tylko dmuchnąć, a pofrunie) i takie puszyste, i takie białe, i takie niby to nie pachnące 3 a przecież pachnące (jakąś wodą czy miodem, czy czyrrznś)...

— Cóżes ty się tak zagapiła jak cielę na malowane wrota? -----zdziwiła się matka.

I <sup>^</sup>=<sup>^</sup>.dela zawstydzila się.

Natomiast jednak, ledwie wstała, zanim się jeszcze ubrała, załmieniła wodę tej tarninie. A I <sup>«</sup> na drugi dzień kwiatki zaczęły oblatywać. A zna trzeci dzień Jasińska powiedziała:

— Śmiecie tylko z tego w izbie i tyle. — I wyrzuciła gałęzie do kubła.

W!\_ęc Adela nie wiedziała, co się jej stało, że jej tak żal. Zgłui—piała chyba czy co? Nie było się przecież o co martwić, a jećElnak...

I cł\_ugo nie mogła zapomnieć tej tarniny.

A teraz... dziwna rzecz... (bo niby, co ma jedno do dru-giegr>?!) Ile razy była z Krysią, to jej się zawsze przypominała — tarnina!

Że niby nic potrzebnego, a jednak...

W^tyd powiedzieć, ale lubiła się Adela przysłuchiwać jej bajdi\_irzeniom. Wszystkim. Nawet tym, które były przeznaczon^s dla Wicusia i Zosi.

A może nawet — najbardziej to tym właśnie.

Bo o tamtych to Adela wiedziała, że były więcej dla niej niż czlla dzieci, i musiała być zaraz na bacności. Musiała nie cЖopuszczać, żeby ją, Adelę, ktoś wciągał do rzeczy obcych i wrogich. Musiała czujnie stać na straży, z drwinami, pogardzą, obojętną wyniosłością.

Al^ te elfy tańczące w kwiatkach (z Wicusowych i Zosi-nych bajek), te krasnoludki — jagodowe króle, mieszkające

156

w lasach zielonej paproci, to wszystko, co było przeznaczone tylko dla małych, co pozwalało zamyślić się nad robotą i niby nie słuchać, a słuchać, to była jakby tarnina...

I czasem przychodziły nawet Adeli do głowy dziwne myśli.

Właściwie nie były to może nawet „myśli”. Bo tak nie pozwoliłaby sobie nigdy pomyśleć Adela, ale coś takiego, co snuje się człowiekowi po głowie, nie wiadomo skąd i jak.

Myślała więc Adela, że ta Krysią ze swoimi długimi lokami i powiewnymi sukienkami, i na przemian to wilgotnymi, to promiennymi oczyma, taka jakaś zupełnie odmienna od wszystkich dziewczynek, które Adela знаła, taka niczego nie umiejąca zrobić i do niczego porządnego i rozsądnego nieprzydatna, ale także nie tylko niezdolna do niczego złego, ale o niczym naprawdę złym nie wiedząca, to jest lakże jakby — tarnina...

I właściwie Adela była tak bardzo smutna i zmęczona, że najchętniej by na tej tarninie poprzestała. Najchętniej widziałaby, żeby poza nią nie było już niczego, przed czym trzeba się mieć na bacności.

Ale tak nie było.

Każdego dnia i każdego dnia wyraźniej i napaś tl iwiej spoza tarniny wysuwała się inna Krysią. Z początku to była tylko jak gdyby znowu „Albania”, tylko mniej bezwstydną, przyzwoicie wtłoczona w ramę bajki. Cały ten świat próżniaczy, pusty i wrogli, a jednak nęcący przez swą kolorowość i dlatego może właśnie do tym ostrzejszej zmuszający obrony.

A czasem jeszcze jakiś inny, zgoła już niezrozumiały, napuszony, nudny i głupi, który drażnił i nużył Adelę.

Jednakże powoli, nieznacznie, coś zaczęło się zmieni dć w tych irytujących historiach.

Zaczynały one nabierać jakiegoś innego, zdrowego i zrozumiałego sensu, oswobodzały się od kuglarstwa, zaczynały tętnić prawdziwym, ludzkim życiem.

157

Ale najdziwniejsze ze wszystkiego było właśnie to, że w całym tym przekształceniu brała jak gdyby czynny udział Adela, Adela, która przecież — nic, tylko słuchała...

Więc te węzły między Adelą i opowiadaniem Krysi robiły się jakby coraz mocniejsze i Adela czuła się coraz bardziej odpowiedzialna za życie tych wszystkich wymyślonych ludzi z bajek Krysi.

Czasem to już nawet nie mogła tylko słuchać. Więc zaczynała rozmawiać o nich z Krysią, żeby jej przecież poddać, że ten nie powinien tak postępować, a ów mógłby inaczej pokierować swoimi sprawami... I ku radości Adeli okazywało się, że los uwzględniał prawie zawsze jej życzenia, był względem niej tak uległy, że czasem wskrzeszał nawet umarłych albo zmieniał całkowicie charakter

i dążenia żywych...

Jedno tylko zastanawiało Adelę:

Dlaczego w tych wszystkich opowiadaniach zawsze chodziło (w przeciwieństwie do opowiadań Felka) o los jednego człowieka? Ale — może to było zrozumiałe. Ona miała dobre serce, ta Krysia, bez wątpienia, jednakże — o cóż mogło jej chodzić? Przecież mimo wszystko wielkie było z niej jeszcze dziecko... A przy tym...

I Adela uśmiechała się pobłaźliwie.

W tym czasie jednak zaszło coś, co zmieniło zupełnie jej stosunek do Krysi.

I tym czymś była właśnie sprawa Józi.

Sublokatorki na Żelaznej mówiły o Adeli, że Adela nie jest „życzliwa”. I to właśnie była prawda.

Nie, żeby nie można jej było prosić o przysługę albo żeby skrzywdziła cudze dziecko. Można nawet powiedzieć, że tylko na nią można się było spuścić, gdy się wychodziło z domu. Ale życzliwa nie była. Nie lubiła nikogo. I nawet wtedy, gdy się do nich sprowadził Felek, niewiele się w tym zmieniło. Na próżno starała się Adela być dla każdego dobrą, z każdym współczuć i każdego lubić, tak jak to czynił Felek. Zrobiła się nawet może uprzejmiejsza i miłsza dla wszy-

158

stkich i mniej już czuła w sobie tej goryczy i złości, ale żeby kogoś z nich tak naprawdę lubiła, to nie.

A zresztą Adela miała już taką naturę, że kiedy jej było źle, to zaraz robiła się i dla innych zła i twarda. Więc gdy tylko zaarrestowano Felka, to i te usiłowania przysły.

Cóż więc z tego, że gdy słyszała o czyjejś krzywdzie albo gdy ją sama widziała, to aż jej się pięści zaciskały z gniewu i żalu? Właściwie to nie chodziło jej przecież o tego człowieka, któremu się działa krzywda, ale — o cały „proletariat”. O to, że taką biedę cierpi i tak go poniewierają. I każda krzywda to była zarazem jakby zwiększona słusność proletariatu. I Adela mogła jeszcze niecierpliwiej oczekiwać tej chwili, kiedy się zacznie — sprawiedliwy sąd!

Ale żeby jej było żal tego skrzywdzonego człowieka — nie! Bo ostatecznie — cóż? Był głodny?

Wielka rzecz! Adela często także bywała głodna, zanim matka dostała pracę w fabryce. Pracował ponad siły? Adela także pracowała ponad siły. Poniewierano nim? No, a nią nie poniewierano?

Mało to miała swoich kłopotów, żeby się cudzymi zajmować?

Toteż gdy na podwórzu pojawiła się Józia, Adela obmyśliła sobie wprawdzie zaraz, co można dla niej zrobić i jak jej pomóc, i codziennie przynosiła jej swój chleb, a czasem nawet to i obiad, ale nie rozczułała się zbyt nad nią. To, że sierota była bita i głodna, to przecież ludzka i zwyczajna rzecz. Adela widziała już niejedno i los Józi nie mógł ją wstrząsnąć i poruszyć jej aż do głębi.

Wstrząsnął ją natomiast — wybuch rozpaczony Krysi. Bo żeby ktoś tak rozpaczął o zupełnie obce dziecko, o dziecko, którego nie można było przecież lubić...

Bo o cóż chodziło tej Krysi?!

No, o co jej chodziło, że się cała tak paliła jak świeca, że się dławiła rozpaczą, oburzeniem i łzami, że nie mogła już ani chwili czekać, że gotowa była iść przeciw całemu światu?!

O cóż jej chodziło?! Bo przecież — nie o proletariat!

159

Więc... więc po prostu o to, że jakiś człowiek, wszystko jedno jaki, cierpi, że jest bity i poniewierany!

I to właśnie tak bardzo, tak aż do głębi serca wstrząsnęło Adelą!

Ale nie tylko to. Także i to, w jaki sposób się do tego zabierała.

To, że wierzyła, iż ktoś zabierze ni stąd, ni zowąd do domu cudze dziecko, pokraczne, chore, a w dodatku głupie, dlatego tylko, że mu się dzieje krzywda! I że namówi te gęsi z podwórka, które w szkole potrafiły się znęcać nad każdą gorzej i brudniej ubraną koleżanką, aby je niańczyły! I że może nawet przemówi do sumienia tej starej pijaczki, ciotki Józi, którą należałoby wszakże najzwyczajniej — skuć po mordzie!

Oczywiście, że wszystko to było głupie, dziecinne i śmieszne, ale Adeli wcale nie chciało się śmiać.

Zapatrzyła się w to po prostu aż do zapamiętania, jak niegdyś w tę tarninę.

Więc to tak można... — myślała Adela — więc taka jest właśnie ta Krysia... taka właśnie...

A Adela myślała o niej: „Dziewczynka z Saskiego Ogrodu”.

A potem, gdy ją nawet polubiła: „tarnina”.

A przecież ta Krysia była więcej warta od niej, od Adeli, chociaż Adela umiała lepiej dawać sobie radę z życiem i ludźmi!

Na cóż się zda cała jej dzielność, jeżeli nie ma w niej — serca, jeżeli nie potrafiłaby nigdy tak stanąć cała w płomieniach oburzenia, tak płakać, już nie nad „obcym” człowiekiem, ale razem z nim samym, tak wierzyć w dobroć ludzką?!

Bo cóż z tego, że Krysia jest bezbronna wobec świata? Czyż nie wypływa to z tego tylko, że jest nieświadoma zła, że nie umiałaby skrzywdzić nawet tych, którzy ją krzywdzą?

A cała dzielność Adeli... czyż to naprawdę tak trudno mocno uderzyć, jeżeli nie obchodzi nas, że tamtego — zaboli?!

160

I za co ją właśnie lubi ta Krysia?! Przecież Adela nie zasługuje wcale na jej przyjaźń, tak jak nie zasługiwała na przyjaźń Felka!

Może to po prostu dlatego, że jej nie zna?

I nagle Adelę ogarnął lęk — lęk przed utratą Krysi!

Bo teraz czuła już na pewno, że tylko ona... tylko Krysia...

Toteż kiedy musiała wygarnąć na podwórzu tej jędzy, która nie tylko że poniewierała dziecko, ale jeszcze skrzywdziła Krysię, to spotkawszy utkwione w siebie jej szeroko rozszerzone oczy aż zdrętwiała z przerażenia.

Co musiała sobie w tej chwili myśleć o niej Krysia?! Krysia, która pewnie jeszcze nigdy w życiu nie słyszała podobnych wyrazów, która nie rozumiała, że czasem z ludźmi nie można inaczej, która nigdy nie byłaby zdolna...

Adela chciała to jej jakoś objaśnić, jakoś usprawiedliwić się przed nią i pokazać jej, że ona, Adela, przecież nie...

Ale zdołała wyjąkać tylko:

— Trudno... ciackaniem nic nie poradzisz... — I uciekła do domu.

11 —

Część piąta MY DWIE I DZIEŃ POWSZEDNI

XXVII. Przyjaźń zerwana

Od razu uwierzyłam w Felka i „nowy ustrój!” Żarliwie, gorąco, z uniesieniem!

Właściwie było tak, jak gdyby zdjęto mi nagle z oczu opaskę i jakbym nareszcie znalazła to, czego szukałam w ciemnościach. Jakbym znalazła świat Adeli i ludzi Adeli!

I ten świat był prawdziwym światem, a ludzie prawdziwymi ludźmi — można było żyć i walczyć z nimi ramię przy ramieniu, można było przedłużać drogę wieczornych marzeń aż w jasność dnia, bez obawy stoczenia się po śliskiej pochyłości kłamstwa!

Najpowszedniejsze dni i najzwyczajniejsze rzeczy stały się nagle świętem.

Przychodził na przykład zdun Czyścić piece albo ślusarz dorobić klucze, albo elektrotechnik założyć nowy kontakt. Więc dawniej — to cóż? Prawie że ich nie zauważałam.

Teraz jednak to nie był już taki zwyczajny zdun, ślusarz czy elektryk. To był — proletariusz!

Chodziłam za nim krok w krok jak oczarowana. Wiało od nich tajemnicą nieznanego, twardego i wspaniałego życia!

Każdy z nich należał na pewno do partii.

Siedzi tu teraz i miesza sobie jak gdyby nigdy nic glinę albo przykręca zamek, a za kilka dni będzie stał może przed sądem, wyniosły i błądliwy, i wołał dumnie jak Okrzeja:

163

— Dziś wy jesteście tu sędziami, lecz jutro będzie sądził lud!

Może go ześlą, a może nawet powieszą.

Przenikał mnie całą dreszcz zgrozy, czci i wzruszenia.

I kiedy pewnego razu Katarzyna wrzasnęła na jednego z nich, że za próg go nie puści, „jak z takimi obłoconymi kulasami do pokoju będzie laź!” dostałam istnego szału wściekłości. Ach! mierzyły ją ślady proletariackich nóg, tę idiotkę, tę sługę burżuazji! Te ślady, które powinna całować, gdyż są

śladami jej oswobodzicieli!

— Niech Katarzyna nie śmie odzywać się w ten sposób do tego pana! — krzyknęłam tupiąc nogami. — Wyciera sobie nogi czy nie, nie Katarzyny sprawa! Ja nie pozwolę!...

I rozplakałam się, trochę ze złości, trochę z żalu, a trochę ze wstydu przed robociarzem.

— Ależ, Krysiu! — wybąkała tylko zdumiona i oszołomiona moim wybuchem ciocia Kazia. Nie znosiłam także, gdy ojciec odsyłał ludzi, którzy nosili do piwnicy węgiel, do kuchni, gdzie Katarzyna dawała im na stojąco (niby jakimś żebrakom!) po kawałku chleba z kielbasą „na przegryzkę” i dużym kieliszku wódki. Dławiłam się z upokorzenia, gdy dziękowali i przepijali do Katarzyny, która kiwała im niedbale głową.

Kto wie, co myśleli sobie wtedy naprawdę?!

Strasznie wstydziłam się zawsze tych proletariuszy i tak bardzo chciałam im pokazać, że ja — nie! Że ja jestem przecież po ich stronie!

Właśnie w owym czasie naprzeciw naszego domu rozkopywano ulicę i cały dzień można było widzieć, jak magistraccy robotnicy wozili taczkami piasek i kamienie i układali bruk.

Dawniej nie zwróciłabym pewnie na to uwagi. Teraz jednak stawałam ciągle przy oknie i przyglądałam się im z bijącym sercem.

164

Szczególnie podobał mi się jeden, wysoki, szczupły i blady, o czarnych, posepnych oczach i twardym, wyniosłym wyrazie twarzy. Pracował z jakąś pogardliwą niedbałością, zatrzymując się co chwila i zapalając papierosa, jak gdyby chciał powiedzieć, że zajmuje się tym tylko tak, między innymi, a właściwie ma coś zupełnie innego i daleko ważniejszego do roboty.

Zauważyłam także wkrótce, że i inni nie trudzili się zbytnio. Po każdym położeniu cegielki, machnięciu łopatą czy wysypaniu taczki przystawali, zamyślali się lub rozglądali się wokół, jak gdyby na coś czekali. Oczywiście, że wiedziałam dobrze, na co! Ich oczekiwanie udzielało się i mnie i gdy schodziłam po zeszyt lub proszek dla cioci Kazi do apteki, przystawałam zawsze, zatrzymywałam się tak jak oni i patrzyłam w perspektywę ulicy, czy gdzieś w oddali nie czerwieni się sztandary, nasłuchiwałam, czy nie rozlega się śpiew... Ale oni nie zwracali najmniejszej uwagi na moją obecność. A może tylko udawali, bo przecież moje loki, mój płaszczyk, w ogóle — wszystko...

W tym czasie zaczęłam zwracać baczną uwagę na mój zewnętrzny wygląd. Dotychczas było mi właściwie obojętne, jak mnie uczeszą i ubiorą. Kłóciłam się tylko, żeby jak najdłużej nosić skarpetki i żeby mi nie wkładano wełnianego szalika, który mnie gniótł i swędział pod brodą. Teraz jednak ciocia Kazia zaczęła przechodzić ze mną praw-dziwne męczarnie.

Nie, nie chciałam już nosić rozpuszczonych włosów, tylko gładko ściągnięte warkocze. Nie chciałam wkładać innej sukienki prócz starej i już podartej granatowej, domagałam się grubych, prążkowanych pończoch i upodobałam sobie naraz stare i trochę już za ciasne czarne buciki, których od dawna nie nosiłam.

Ciocia Kazia rozpaczała:

— Przecież wyglądasz całkiem jak stróżowskie dziecko!

165

Promieniałam. „Czy być może?”...

Nie skończyło się jednak na tym. Gdy w prawym trzewiku zrobiła mi się dziura, przestałam wystawiać buty do czyszczenia, żeby jej nikt nie spostrzegł i nie oddał do naprawy. Byłam dumna z tej dziury, pielęgnowałam ją niemal, z radością obserwowałam, jak robiła się coraz większa! Mogłam teraz usiadłszy przy Adeli obejrzeć podeszwę swego buta, pokiwać głową i zakląć: — Cieknie, cholera!...

Tylko że na Adeli nie robiło to jakoś wrażenia.

To i cały mój zapał, i miłość, z jaką się odnosiłam do Felka, i moja tęsknota za rewolucją i nowym ustrojem, i moje opowiadania, których bohaterami byli teraz wyłącznie robotnicy, „bojownicy o wolność ludu i narodu”.

Zdawałoby się przecież, że teraz, kiedy Adela opowiedziała mi o Felku, kiedy nie tylko mówiła do mnie, jak się mówi do przyjaciółki, zwierając mi się ze wszystkiego, co było jej najdroższe, ale

snując wraz ze mną plany wspólnej przyszłości, że teraz zadzierzga się między nami nareszcie jakiś mocny węzeł, że stałyśmy się sobie bliskie.

Ale dziwna rzecz, im bardziej przejmowałam się wszystkim, co mi mówiła, im większy oddźwięk znajdowało to we mnie, tym bardziej pochmurniała Adela, zamykała się w sobie, chowała się jak ślimak w skorupę.

Zdawało się niemal, że staje się znowu tą Adelą, z którą spotkałam się niegdyś pod kasztanem i która odwróciła się do mnie plecami!

Jej spojrzenie było znowu zimne, ironiczne i podejrzliwe, jej słowa coraz skąpsze i coraz niechętniejsze, jej odpowiedzi tak szorstkie, że przecinały natychmiast każdą zaczęłą rozmowę.

A przecież mówiłam wyłącznie o Felku i o rewolucji!

Na próżno usiłowałam także przykuć po dawnemu jej uwagę mymi opowiadaniem, zdobyć ją, jeśli nie dla siebie, to chociaż dla moich bohaterów. Te opowiadania, które nie były

166

już wszakże szukaniem po omacku, ale szły zupełnie pewnie drogą Adeli, Zamiast wzruszać ją i porywać, drażniły ją tylko. Siedziała z Wypiekami na policzkach i zaciśniętymi zębami, rysując coś patykiem na piasku i najwidoczniej z trudem powstrzymując wybuch zniecierpliwienia i złości.

Czasem zaś zrywała się w środku opowiadania, mówiła, że „dość już na dziś tego bajdurzenia”, bo ma robotę w domu, i uciekała.

Na próżno zastanawiałam się, na czym polegał mój błąd.

Opowiadania były naprawdę rewolucyjne! I nie było w nich wcale burżuazji (chyba jako czarne charaktery), tylko sami robotnicy. Mieszkali w piwnicy i żywili się tylko chlebem i kartoflami. Byli wzniośli, szlachetni i pełni poświęcenia dla Sprawy i ginęli w katordze lub na szubienicach, a przed śmiercią wołali zawsze:

— Niech żyje Polska! Niech żyje socjalizm! Więc czego jeszcze mogła wymagać ta Adela?!...

Dlaczego była chłodniejsza i coraz bardziej opryskliwa?

Czasem, gdy spotykałam jej nagle obcy i zimny wzrok, lzy ścisnęły mi gardło.

Pewnego razu nie mogłam nawet ich powstrzymać i rozplakałam się.

— Co ci jest? — zapytała szorstko Adela.

— Nie wiem... — wyłkałam. Adela wzruszyła ramionami.

— Jesteś już dość duża, żeby nie mazać się nie wiadomo o co! — powiedziała.

Żałowałam już niemal tych czasów, gdy odnosiła się do mnie tak jak do swoich małych, ba, nawet tego dnia, gdy pierwszy raz wytarła mi lzy fartuchem.

Czasem nie śmiałam się już do niej po całych dniach odzywać, czasem czyniłam jeszcze jakieś rozpaczliwe i zawsze nieudane próby pojednania.

Pewnego razu Adela przysłała jednak mniej obca i odpychająca niż zwykle.

r

168

Zaczęła mi nawet sama opowiadać o jakichś swoich troskach i kłopotach, co się teraz nieczęsto zdarzało.

Nie rozumiałam niemal treści jej słów, tak bardzo cieszyłam się, że głos jej ma znowu miękki i ciepły ton i że Adela przysunęła się do mnie tak blisko jak dawniej, i nawet objęła mnie ramieniem. Potakiwałam od czasu do czasu głową smutkowi słów Adeli, ale w sobie miałam tylko samą radość i samo szczęście: Adela kochała mnie po dawnemu! Adela zwierzała mi się! Adela nie odchodziła ode mnie!

Czułam rosnącą w sobie radosną wdzięczność i zarazem wzbierała we mnie coraz silniejsza chęć wyzyskania tej chwili, żeby już nareszcie na zawsze zdobyć Adelę, żeby ją już na zawsze mieć! Czułam, że teraz potrafię to zrobić, i czekałam tylko chwili, gdy skończy, żeby powiedzieć jej o tym, co jest przecież jedynie ważne — o naszej przyjaźni!

Słowa Adeli przepływały obok mnie monotonne, jednostajne i bezbarwne jak krople jesiennego deszczu.

Adela mówiła o jakiejś kradzieży, o matce, o drabinie, o praniu, które trzeba dokończyć, i jeszcze o czymś takim.

Nie słuchałam jej niemal.

Najlepiej zacznę od Felka — myślałam.

A potem w ogóle o przyjaźni, a potem, że nasza przyjaźń to jest właśnie taka na całe życie i że...

O, teraz właśnie, kiedy Adela zamilkła i zamysliła się!

Zapaliłam się. Czułam, że słowa płyną mi same, że mówię pięknie, dźwięcznie, przekonywająco.

Czułam, że teraz może... że teraz wreszcie...

Ale wtedy właśnie stało się nagle coś zupełnie niespodziewanego.

Adela zerwała się z ławeczki i stanęła przede mną drżąc cała z wściekłości, z zaciśniętymi pięściami.

— Dość tego! — krzyknęła. — Słuchać już nie mogę tych

169

bdurstw! zabawą sobie nową urządziła! Nie ma już korony pod fortepianem, to w rewolucję chce się bawić! Co ty wiesz o tym, ty głupia?! Nic! Rozumiesz?! Nic! Niedobrze się człowiekowi rofei od twoich głupstw! Buty dziurawe mi pokazuje! Czysta komediantka z cyrku!

— Adela... — wyjąkałam. — Adela...

— Tak! A Felkiem sobie gęby nie wycieraj — dość tego! I jeszcze ci jedno powiem — ani ty dla mnie, ani ja dla ciebie, rozumiesz?!

Wróciłam do domu, do ostatka zgnębiona. Wiedziałam już teraz, że przegrałam, przegrałam zupełnie i ostatecznie, chociaż nie wiedziałam dlaczego.

Siedziałam w moim pokoju skulona w kącie kanapki i nawet nie płakałam.

Jan zaglądał do mnie parę razy, wreszcie wszedł i przysiadł się do mnie.

— No i co? — zapytał. — Jakże z tą twoją przyjaciółką? W odpowiedzi załkałam tylko krótkim, urywanym szlochem.

— Oho! — powiedział Jan i gwizdnął przez zęby. A potem dodał:

— No, między ludźmi, to, wiesz, bywa rozmaicie. Czasem tak, a czasem inaczej. Żywego człowieka zdobyć to nie to, co lalką się pobawić. Trzeba przecierpieć to i owo. Ale widzisz — opłaca się. Zawiniłaś jej może w czym?

Potrząsnęłam głową.

— No, tylko dobrze sobie przypomnij. Może znowu co nakłamałaś?

— Nie.

Jan chciał jeszcze coś mówić, ale w tej chwili rozległ się w przedpokoju dzwonek ojca i Jan musiał odejść, żeby nakryć do stołu.

Przy obiedzie, który był tego dnia bardzo późno, gdyż ojca wezwano za miasto do jakiegoś „naglego wypadku” i wrócił

170

dopiero przed wieczorem, nie chciałam tknąć niczego. Zaniepokoiło to bardzo ojca i dało asumpt cioci Kazi do wytoczenia całego arsenału skarg: że od pewnego czasu nie chcę wcale jeść, choć przyrządza się specjalnie dla mnie wszystko, co tylko lubię, że chodzę w dziurawych butach i nie chcę ich zsnienić i że w ogóle sam ojciec widzi przecież, jak ja wyglądam!...

Poczułam, że podnosi się we mnie gniew, gorycz i żal.

Niczego nie rozumieli! Niczego! Jedli spokojnie obiad z trzech dań, podczas gdy inni nie mieli kawałka chleba! Chcieli mnie stroić, podczas gdy inne dzieci chodziły w łachmanach! I to jest właśnie moja rodzina! A potem — czyż można się dziwić, że Adela mnie odtrąca, że nie wierzy widocznie w moją szczerość, że mną pogardza?!

— Nie chcę wyglądać jak dziewczynka z burżuazji! — krzyknęłam uderzając pięścią w stół.

Ciocia Kazia osłupiała. Ojciec uniósł lekko brwi w górę. W oczach jego zamigotały wesołe iskierki.

— Ach, więc to tak?... — powiedział tylko.

Ale nie wiadomo dlaczego, żartobliwy ton tych słów podniecił mnie jeszcze bardziej.

— Tak! — krzyknęłam. — Tak! Chciałabym być córką robotnika! A wtedy... wtedy nie potrzebowałabym się nikogo wstydzić!

— Krysiu! — jęknęła przerażona ciocia Kazia. — Przecież to dziecko ma chyba gorączkę!

Ale ojciec uspokoił ją niecierpliwym ruchem ręki. Patrzył na mnie uważnie, ale w oczach jego nie



było już owych wesołych, złotych iskier.

— Ach... więc to tak... — powtórzył raz jeszcze w zamyśleniu.

I pod jego poważnym i bardzo smutnym spojrzeniem spuściłam głowę.

— Więc sądzisz, że mnie... powinnaś się wstydzić? A... a dlaczegoż to, moje dziecko?

171

W tej chwili jednak zadzwonił telefon. Ojciec skrzywił się nerwowo i nie podnosząc się od stołu wziął z rąk Jana słuchawkę.

Chwilę milczał słuchając widocznie jakiegoś zdawanego sobie sprawozdania, a potem powiedział:

— Dobrze. Już wyjeżdżam.

I odkładając słuchawkę dodał:

— Janie! Narzędzia!

XXVIII. A Adela...

Adela przekonała się, że nie tak to łatwo przestaje być człowiek na świecie samotny.

Z ludźmi to jest tak, że jeden cię odpycha, a drugi jest tobie niemiły, a trzeci taki obcy, jakby go od ciebie oddzielał mur. A jak już się nareszcie znajdzie taki człowiek, przed którym byś otworzył całe serce i który się niby do ciebie garnie, to nagle okazuje się pewnego dnia, że omyliłeś się i że on się omylił, i jest ci gorzej i bardziej samotnie niż przedtem.

Bo to nie tylko to całe komedianstwo, ta wieczna zabawa we wszystko i wszystkim, to ciągle gadulstwo (jak gdyby najważniejsze było to, żeby każdą rzecz przystroić w słowa i podnieść w górę na szczydach, i zrobić z niej widowisko!) odtrąciło od Krysi Adelę. Ale także i to, że ta jej niby „przyjaźń” nie była przecież prawdziwą przyjaźnią, ale tylko zabawą w przyjaźń!

W tym czasie spadło na przykład na Adelę wiele trosk, kłopotów i zmartwień. Przede wszystkim — okradziono ich.

Nie wiadomo, jak to się stało, bo Adeli zdawało się, że klucz wzięła matka, a matce, że dała go Adeli. Dość że klucz został w zamku, a nikogo nie było jak na złość w bramie: Adela poszła z dziećmi do ogródka, matka do posługi, dziadek do cyrkułu z meldunkami, a Stasiak zamykał schody.

172

Złodziej tak się dobrze zakrzętnął, że wyniósł, co tylko w izbie było cenniejszego: zimowy kożuch i buty dziadka, kołdrę, niedzielne trzewiki Adeli. Znalazł nawet na dnie kuferka zawiniątko z pieniędzmi dziadka — wszystkie jego oszczędności!

W izbie nastał prawdziwy sądny dzień. Dziadek krzyczał, że na swoje nieszczęście ich chyba tu sprowadził i że ich dziś jeszcze na ulicę wygna, matka i dzieci płakały, a Adela dostała za ten klucz takie bicie jak chyba jeszcze nigdy w życiu. Najpierw od matki, a później od dziadka, tak że się ledwie ruszać mogła.

Więc kiedy wspomniała Krysi o tej kradzieży, to się Krysia nawet nie zapytała, co im wzięli i jak się to stało. Nie wiadomo nawet, czy zwróciła uwagę na jej słowa. Nie było to przecież nic, co by się nadawało do jej nadętych bajek. Była to jedna z tych zwykłych rzeczy, na które Krysia nie zwracała nawet uwagi albo z których czyniła coś zupełnie innego, coś tak zawstydzającego, że w ogóle nie można jej było mówić o tym. Bo na przykład o tym biciu toby prędzej Adela powiedziała Anielci, Stefce czy Mańce niż właśnie Krysi! Wolałaby chyba schować się pod ziemię niż zamiast prostego, ludzkiego współczucia, że ot, tak się jej nie powiodło, zobaczyć w jej szeroko otwartych oczach śmiertelne przerażenie i zgrozę, i wstyd, i ten specjalny rodzaj litości, który się ma dla sponiewieranych i zhańbionych.

Więc cóż to za przyjaźń, jeśli się musi swego przyjaciela wstydzić?!

I cóż to za przyjaźń, jeśli ty mówisz taką rzecz: „Okradli nas”, a ten przyjaciel rzuca tylko w roztargnieniu: „Tak?...” — i zaraz zaczyna mówić o czym innym. A potem jeszcze (w chwili gdy ty naprawdę straciłaś swoje obuwie i wiesz przecież, że nowego tak prędko nie dostaniesz i że całą zimę będziesz paradować w starych matczynych, wypchanych słomą) twój przyjaciel ogląda swoje trzewiki, których przecież może mieć tyle par, ile chce, i komedię nad nimi odprawia?!

173

Ale nie koniec na tym. Tak już przecież zawsze jest, że jak się zaczyna niepowodzić, to wszystko

się naraz wali.

Któregoś dnia czekają wszyscy, aż matka wróci z posługi, a tu jak jej nie ma, tak nie ma. Dopiero pod wieczór przywlokła się do domu, cała zielona jakaś na twarzy, zmieniona aż do niepoznania i gdy tylko weszła przez próg, rozciągnęła się na ziemi jak długa. Ledwie ją z dziadkiem i ze Staśkiem podnieśli i ułożyli na łóżku.

Spadła przy myciu okna z drabiny i może na palec głęboko nadziała sobie nogę na hak. Gdy Adela zobaczyła tę ranę, to aż jej wszystka krew uciekła do serca. Krzyknąć nawet nie mogła, bo głos uwiązał jej w gardle, a nogi to pod nią tak osłabły, że mało nie upadła.

A Wicek to znowu w bek, a za nim, choć niewiele rozumiejąc, Zośka, a potem to już nawet Jasio. Więc matka, jak to matka: uśmiechnęła się do nich i powiada, że to nic, że się zagoi.

Ale nie chciało się jakoś zagoić, choć dziadek sprowadził za ostatnie grosze jakąś kobietę, która знаła się na ranach, i choć jej tam smarowali tym i owym i różne zioła przykładali, i owiązywali czystymi szmatami, jak ją wtedy położyli na łóżko, tak się już z niego nie mogła zwlec.

— Może by do szpitala? — powiedziała jedna sąsiadka.

Ale matka i Adela — za nic! Szczególniej Adela nawet słyszeć nie chciała o tym szpitalu i jak tylko się o nim mówiło, to zaraz wybuchwała płaczem, bo się jej przypomniało, że i ojciec także...

Krzętała się więc Adela cały dzień po izbie, bo i koło chorej trzeba było wszystko zrobić, i sprzątnąć, i uprać, i ugotować. Toteż rzadko tylko na krótko wychodziła z dziećmi do ogrodu.

Pewnego dnia jednak, pod wieczór, matka usnęła ■jakoś spokojniej, Adela umyła naczynia po obiedzie, zamiotła izbę i zabrała dzieci na podwórze, żeby jej nie przeszkadzały.

174

W ogrodzie było cicho, bo większość dzieci porozchodziła się już do domów.

Słońce świeciło ukośnie przez gałęzie.

Żółte liście szeleściły pod nogami.

Adela usiadła na ławeczce i odpoczywała.

Jakiś dziwny spokój spływał na nią od tej ciszy jesieni, zapachu gnijących liści i wieczornego chłodu.

I kiedy Krysia usiadła obok niej, nie odsunęła się szorstko, jak to zwykła była czynić ostatnio. Czuła jakąś dziwną potrzebę czyjejś czułości i bliskości. (Tak dobrze jest mieć kogoś, kto nie czeka naszej opieki ani usługi, komu można oprzeć o ramię zmęczoną głowę, że Adela zapomniała prawie, iż tym kimś jest tylko ta mała Krysia!)

I gdyby Krysia zapytała teraz o zdrowie jej matki i o to, czy Adeli nie za trudno dać sobie radę z dziećmi, chorą i gospodarstwem, to Adela... Ale Krysia słuchała jej z widocznym roztargnieniem, tak jak wtedy, gdy Adela opowiadała jej o kradzieży, a potem zapytała tylko:

— Dlaczego przychodzisz teraz tak rzadko? Czy gniewasz się na mnie, Adelciu?

I zaraz zaczęła bajdurzyć o Felku.

Bo ta niby dobra Krysia to zawsze się do wszystkiego odnosiła tak, jakby cały świat kręcił się wyłącznie koło niej samej. Koło jej bajek, jej „przyjaźni”, jej radości i jej cierpienia. A w dodatku te radości i cierpienia, i ta przyjaźń — wszystko to było przecież wymyślone! Cóż ją właściwie obchodziła ona — prawdziwa Adela! Przecież nie tylko że nic nie wiedziała o niej, ale nawet nie chciała wiedzieć, bo ile razy Adela opowiedziała jej coś o sobie, to Krysia albo nie dopuszczała tego do siebie, albo przerabiała to sobie tak, że Adela nie mogła później poznać swego własnego życia, że stawało się dla niej jakieś dziwnie obce, że musiała żałować każdego zwierzenia!

Bo Adela, mimo że nie lubiła ludzi, to miała zawsze kilku

175

znajomych, których naprawdę mocno kochała, tak że na tę jej miłość można było liczyć!

I jeżeli inni ludzie byli dla niej niczym wobec „przyszłego ustroju”, to przecież przynajmniej ten „przyszły ustrój” był dla niej taki prawdziwy jak chleb, jak kartofle, jak matka, jak praca, no, jak całe życie!

Ale u Krysi wszystko było skłamanie. I przyszły ustrój, i ludzie, i całe życie. Może to nie była zresztą jej wina. Może ją tak wychowali. Może to ten ojciec albo ta ciotka... ale — nic już na to nie można było poradzić.

— Nie — powiedziała Adela uspokoiwszy się trochę po tym wybuchu głuchoj, rozsadzającej ją już od dawna wściekłości. — Ani ty dla mnie, ani ja dla ciebie!

I wróciła do matki, bo już ją Stasiek wołał, że ciotka się jakoś tak po pościeli rzuca.

Matka leżała rozpalona w gorączce. Jęczała głośno i poruszała nieustannie rękami. Usta miała spalone i prawie czarne. Wyglądała tak dziwnie, że przestraszony Stasiek wysunął się zaraz z izby do sieni.

Adela usiadła przy matce i patrzyła na nią bezradnie. Przejmował ją coraz większy lęk. Nie mogła oderwać oczu od tych wychudłych, błędzących po kołdrze rąk, z nabrzmiałymi liniami ciemnych żył. Pochylała się nad nimi coraz niżej, aż wreszcie przylgnęła do nich rozpaczliwie.

W izbie było ciemno, tylko latarnia z podwórza rzucała smugę jasnego światła.

Dzieci siedziały spłoszone w kącie nie odzywając się. Tylko Wicek prosił od czasu do czasu, coraz bardziej płaczliwym głosem:

— Adela! Zapal lampę, Adela! Adela nie odpowiadała.

Nagle w sionce rozległy się czyjeś kroki i jednocześnie jakiś nie znany Adeli męski, głęboki głos:

— Jakże Wojciech mógł mi nie powiedzieć?! Przecież gdy-

176

bym nie spotkał tego beczącego chłopaka i nie dowiedział się, to kobieta mogłaby zginąć! Jakże to tak można?!

I głos dziadka:

— Gdzieżbym ja śmiał, panie doktorze!

Adela podniosła się i zapaliła lampę.

Światło jej padło wprost na wysokiego pana, w szarym angielskim palcie, z podłużną, niklową kasetką w ręku.

Adela widywała go nieraz i poznała natychmiast: był to ojciec Krysi.

12

Ce; o

ce-

w p3c

rZG

Część szósta CZESKI KRYSZTAŁ

XXIX. Czeski kryształ

Nigdy może nie czułam się tak bardzo samotna.

Adela odtrąciła mnie.

Ojca zraniłam.

W domu ciocia Kazia, która coraz bardziej dziwaczała, leżała cały dzień zamknięta w swoim pokoju z kompresem lub płatkami cytryny na czole, a Katarzyna od czasu owej awantury ze zdunem nie odzywała się prawie do mnie.

Na podwórzu siedziałam całymi godzinami na ławeczce, na próżno oczekując Adeli. Adela nie przychodziła teraz wcale. Nie chciała mnie już nawet widzieć. Zosia i Wicus bawili się całymi dniami sami, dziwnie opuszczeni i zaniedbani. Pewnego dnia zauważyłam nawet, że przyglądają się tak szczególnie bułce, którą przyniosłam sobie na śniadanie, że oddałam ją im natychmiast.

Doznałam dziwnego ściśnięcia serca: więc Adela, Adela, która zawsze tak bardzo dbała o nich, zostawiała ich teraz głodnych i bez opieki, byle tylko nie widzieć się ze mną?

A może naprawdę Jan miał słuszność? Może rzeczywiście — zawiniłam. Ale czym?

Na próżno starałam się przypomnieć sobie jakieś słowo, które mogło ją zranić, jakiś postęp, który mógł się jej nie spodobać. Nie mogłam znaleźć niczego. I to właśnie, że nie miałam niczego do naprawienia, że stałam się jej sdena-wistna bez żadnej widomej przyczyny, zwiększało jeszcze

179

beznadziejność i ciężar mego smutku. Czasem wydawało mi się, że to wszystko musi być tylko jakimś złym snem, że pewnego ranka obudzę się, zejdem na podwórze i zobaczę Adelę siedzącą na

zwykłym swoim miejscu i uśmiechającą się do mnie z daleka.

Ale zły sen trwał dalej.

Najchętniej nie schodziłabym wcale do ogrodu, jednakże ciotka nie pozwalała mi na to. Wałęsałam się więc pod ścianami (byle dalej od dzieci) lub siadałam w jakimś kącie i zapadałam w tępe odrętwienie. Nikt nie przeszkadzał mi zresztą. Dziewczynki z podwórza nie lubiły mnie, okres mojej popularności już przeminął. Bardziej niż „Albanii” nie mogły mi darować mojej przyjaźni z Adelą, która odgradzała mnie od nich jak gdyby murem, czyniąc mnie zupełnie niewrażliwą zarówno na próby nawiązania na nowo przyjacielskich stosunków, jak i na złośliwości i drwiny. Samotność ta dogadzała mi i zarazem ciążyła.

„Nikt mnie nie lubi — myślałam — może jestem już taka, że nikt mnie nie może lubić.”

Bo nawet w domu — to cóż? No, tatuś. Tak. Ale jego właśnie zraniłam. Powiedziałam mu, że się go wstydzę — tak mu powiedziałam! A on — nic. Tylko spojrzał na mnie.

Widziałam wciąż te zamyślane i niewypowiedziane dobre oczy i ten bardzo smutny i bardzo zmęczony uśmiech.

Czy pamięta jeszcze o tym? Czy gniewa się na mnie?

Trudno to było tak na pewno wiedzieć.

Dzwonek ojca był wszakże u nas w domu czymś w rodzaju sygnału alarmowego. Zanim zdjął palto i umył ręce, waza z zupą musiała już stać na stole. Gdy następna potrawa nie pojawiała się natychmiast, spoglądał co chwila na zegarek, a nie zdążył jeszcze wypić kawy, gdy Jan stał już za nim z paltem w ręku.

Tymczasem zaś dzwonił telefon — ciągle, uporczywie, nieznośnie...

180

Jednakże w zachowaniu ojca nie nastąpiła przecież zmiana.

Po dawnemu podnosił mnie w górę i całował przy powitaniu, a od czasu do czasu obejmował mnie przez stół krótkim i ciepłym błyskiem spojrzenia i uśmiechu.

Więc może — zapomniał? A może po prostu nie zależało mu na tym? Czyż w ogóle zależało mu na mnie (jeśli nie byłam chora — oczywiście)? Nie. Nie byłam potrzebna ani ojcu, ani Adeli, ani nikomu na całym świecie.

Przecież nawet Józia... Przyniosłam dla niej kilka razy chleb, od czasu jednak, gdy na podwórzu zabrakło Adeli, dziecko przestało się również pojawiać.

Próbowałam powrócić znowu do Jasi. Ale zapanowało między nami jakieś dziwne skrupowanie. W dzień wstydziłam się już nie tylko zabierać ją na podwórze, ale nawet rozmawiać z nią. Zaczęłam już przecież trzynasty rok! W nocy zaś Jasia leżała obok mnie sztywna, martwa i zimna.

Pozostał więc tylko Jan.

Jan nie okazywał mi wprawdzie ostatnio zbyt wiele serdeczności, lecz nie wiadomo dlaczego oschłość Jana nie raziła mnie nigdy. Nie przeżywałam w stosunku do niego owych niepewności, lęków uniesień i rozczarowań, jakie miałam w stosunku do wszystkich innych ludzi. Żyło we mnie mocne i niezachwiane przekonanie, że Jan jest właśnie taki, jaki powinien być, i ani o włos inny. Teraz więc starałam się być ciągle w pobliżu Jana. Towarzyszyłam mu nieodstępnie z pokoju do pokoju, przy każdej jego pracy. Jan nie odnosił się do tego ani ze zdziwieniem, ani z radością, ani z niechęcią. Zachowywał się tak, jakby to było rzeczą zupełnie naturalną i zwykłą, że obawiam się choćby na chwilę pozostać sama.

Tego dnia Jan mył kryształ. Czynił to zawsze sam, raz na sześć tygodni, nie dowierzał bowiem Katarzynie.

— Szkło to co innego — mawiał — ale kryształu to już kobieta obmyć nie potrafi! (Wygłaszał te słowa z takim prze-

181

konaniem, że do dziś dnia mam pewne wątpliwości, czy to pole działania nie jest na zawsze niedostępne dla kobiet).

Nie znosił jednak, jeśli proszono go, żeby „przy okazji” umył jakąś porcelanową figurkę, szklany wazon albo bombonierkę. Odsuwał te przedmioty nieubłaganym i stanowczym ruchem ręki — to nie należy już do niego i nie było męską pracą!

Jan stał więc przepasany ścierką i zanurzał każdy kryształ z osobna w misce, a następnie mył go namydloną szczoteczką i wycierał starannie i powoli miękką ścierką.

— Józi nie ma teraz nigdy na podwórzu — zagaiłam rozmowę (był to niejako tylko wstęp do właściwej sprawy — sprawy Adeli).

— Hm... — mruknął Jan i obejrzał wytarty kryształ pod światło.

— Nie ma jej od tego czasu, gdy Adela przestała przychodzić.

— Nic dziwnego — powiedział Jan zanurzając w misce drugi kryształ. — Bo już od dwóch tygodni jest w Domu Sierot.

Nowina była tak zdumiewająca, że przez chwilę zaniemówiłam.

— W Domu Sierot?! — powtórzyłam. — Więc Adeli się udało?!

— Adeli jak Adeli, ale panu doktorowi.

— Tatusiowi?!

— Aha!

— Ale skąd tatuś?...

— Jak to skąd? Przecież będzie miesiąc temu sama płakałaś przy obiedzie, żeby się nią zająć. To nie jest tak łatwo, nie można było od razu, ale w końcu się panu doktorowi udało.

Jan wytarł kryształ i dodał:

— Włochata!

— Kto?! — zdziwiłam się.

182

— Ścierka włosata. A o matkę Adeli nie bój się. Już jak ona jest w rękach pana doktora, to na pewno wyzdrowieje, choćby była umierająca! Nie z takimi dawaliśmy sobie radę!

Patrzyłam na Jana z osłupieniem.

— Matka Adeli umierająca... — powtórzyłam. — Ojciec leczy matkę Adeli?

Teraz z kolei zdziwił się Jan:

— Cóż to, nie wiesz nic, że matka Adeli jest chora? Przecież sama mi opowiadałaś, że Adela nie przychodzi na podwórze i że dzieci wałęsają się bez opieki!

— No tak... — jękałam się. — No tak... Właściwie Adela mi coś wspominała, przypominam sobie teraz... Ale nie zwróciłam na to uwagi. Myślałam, że Adela nie przychodzi dlatego, że... że się na mnie gniewa!

Jan patrzył na mnie z politowaniem.

— Gniewa! I dlatego zostawiła dzieci bez opieki?! Dzieci to nie Jasia, moja kochana! I jeszcze jedno ci powiem: za wiele ty o sobie myślisz, Krysiu, za wiele, a za mało o innych! Choćby — i o przyjaciółach. I — machnął pogardliwie ręką — taka to też i ta twoja przyjaźń! Dużo gładzenia, ale żadnej w nieszczęściu pomocy, żadnego w niczym zrozumienia! Rację świętą miała ta Adela, że cię nie chciała! Bo ta twoja przyjaźń to tak podobna do prawdziwej jak czeski kryształ do amerykańskiego: co z tego, że dźwięk ten sam, jeżeli i rżnięcie inne, i blask, i wszystko!

XXX. Spotkanie z ojcem

Ojciec nie przychodził.

Leżałam cicho, wpatrzona w ciemność pokoju, czekając, aż usłyszę w korytarzu zgrzyt przekręcanego w zamku klucza, ciche, ostrożne zamykanie drzwi wejściowych i kroki ojca w sąsiednim pokoju.

183

Czekałam już na niego trzecią noc, ale zawsze zasypiałam, nie wiadomo jak i kiedy, zanim przyszedł.

W sąsiednim pokoju wybiła jedenasta, a potem dwunasta, cały dom pogrążony był już od dawna w ciszy i we śnie, ale ojca wciąż jeszcze nie było.

„Tak długo pracuje. Trzecią noc” — pomyślałam.

I dziwna rzecz, pomyślałam to po raz pierwszy w życiu.

Tak bardzo byłam przyzwyczajona, odkąd tylko mogłam pamiętać, że ojciec pracował cały dzień, że często nie przychodził nawet na obiad lub jadł obiad sam, o kilka godzin później niż wszyscy, że wśród nocy odzywał się nagle dzwonek telefoniczny, wyrrywający go ze snu, iż wydawało mi się to

niemal tak naturalne, jak to, że ja szłam spać o ósmej, o pierwszej miałam lekcję z panną Marią, a o trzeciej zasiadałam do stołu.

Taki już był porządek rzeczy. I jeżeli coś czułam, to tylko lekkie zniecierpliwienie na ojca, który nigdy „nie chciał” być ze mną.

I dopiero teraz, w ciągu tego nocnego oczekiwania, po raz pierwszy pomyślałam, jak bardzo, jak ponad siły pracuje mój ojciec.

Adela opowiadała mi kiedyś, że gdy w fabryce Felka pękł kocioł, to przez 48 godzin Felek z inżynierem pracowali przy jego naprawie. Mówiła, że taki wrócił zmordowany, taki zmęczony, że nawet butów nie zzuł, tylko jak stał, padł na łóżko i dopiero Adela rozsznurowała mu i zdjęła te buty.

A mój ojciec pracował tak już trzecią noc.

Tego dnia od rana mżył zimny kapuśniaczek, który wieczorem przeszedł w jeden z tych jesiennych, zmieszanych ze śniegiem deszczy, które poprzedzają zwykle zimę. Słyszałam jego nieustanne dzwonięcie o szyby i myślałam, że w taki właśnie deszcz mój ojciec wraca może z jakiejś bardzo dalekiej i biednej dzielnicy, w której nie można dostać po nocy dorożki.

184

A jemu przecież nikt nie grzał w domu kawy, jak Adela Felkowi.

Ja umiałam tylko rozczulić się nad sobą, że za mało się mną zajmuje, albo — wyrzekać się go.

Przychodziło mi to z taką samą łatwością wtedy, gdy chciałam zostać „prawdziwym księciem”, jak wtedy, gdy chciałam zostać — „prawdziwą proletariuszką”...

Ale on nie wyrzekał się nikogo i niczego. Brał na siebie w milczeniu każdy trud i niósł go cierpliwie, i zawsze uśmiechał się tym swoim dobrym, trochę smutnym i trochę zmęczonym uśmiechem.

Czyż nie zrobił dla obcej sobie Adeli więcej niż ja, która tak bardzo chciałam zostać jej przyjaciółką? Nie płakałam.

Zaciskałam pięści. Zanadto nienawidziłam siebie, żeby płakać!

W sąsiednim pokoju zegar wybił już pierwszą.

Powoli zaczynało mnie ogarniać znużenie i senność. Ale nie pozwalałam sobie zamknąć oczu: Nie! Dziś muszę mu to powiedzieć! Muszę!

I nagle usłyszałam w przedpokoju ciche trzaśnięcie wejściowych drzwi, a z sypialni ojca wpadła do mego pokoju smuga światła.

Ojciec przeraził się nie na żarty, gdy wbiegłam do niego boso i w koszuli. Schwycił mnie jak małe dziecko na ręce i zaniósł do łóżka.

— Co ci jest? Dlaczego nie śpisz? Czy cię co boli?!

Zarzuciłam mu ręce na szyję i przytuliłam się do niego rozpaczliwie, drżąc jak w febrze.

Nie, nic mi nie jest. Ale muszę z nim pomówić, zaraz, natychmiast!

Muszę mu to powiedzieć, muszę mu wytłumaczyć wszystko!

Ojciec zrazu usiłował mi przerwać.

185

Jest tak późno. Czy nie będzie lepiej, jeżeli teraz usnę, a jutro...

Ale w miarę jak mówiłam, słuchał coraz uważniej.

Usiadł obok mnie na łóżku, wziął moją rękę w swoje ręce i bawił się nią w zamyśleniu. Czasem rzucał tylko jakieś krótkie pytanie i znowu słuchał.

Kiedy skończyłam, milczał długą chwilę, a później powiedział:

— Nie, nie gniewam się na ciebie, kochanie. Widzisz, tak to już zawsze jest, że najchętniej poświęcamy rzeczy istotne dla jakiejś — Albanii. Nie tylko ty, kochanie. Nawet zupełnie dojrzałe ludzie. Ale to nie jest wina twojej przyjaźni z Adelą. To raczej jest wina tego, że tak długo nie znałaś prawdziwej przyjaźni. Bo jeżeli jesteśmy sami, to „Albania” rozrasta się w nas tak, że przesłania nam rzeczywistość. Przyjaźń, widzisz, to bardzo ważna rzecz i nie trzeba, żebyś się jej wyrzekała! Kto nie umie kochać człowieka, ten na pewno nie będzie umiał kochać ludzi, a wszystkie jego „przyszłe ustroje” będą także tylko czymś, co go podnieca, co drażni jego fantazję, co zaspokaja jego żądze przygody, będą tylko — Albanią.

— Ale — zapytałam nieśmiało — czy jeżeli kogoś kochamy, to właśnie nie poświęcamy dla niego często innych ludzi? Więc jakże...

Ojciec patrzył na mnie długo, uważnie i jakby ze zdziwieniem.

— Tak — przyznał wreszcie. — To prawda, moje dziecko. Poświęcamy dla niego czasem wiele rzeczy, i to takich, których poświęcać nie wolno. I nawet często robimy mu tym krzywdę.

— Lepiej jest jednak może — dodał po chwili — zbłądzić z miłości niż nikogo nie kochać.

— Ale moja przyjaźń z Adela... — zaczęłam znowu. Ojciec potrząsnął głową.

186

— Nie, kochanie. Twoja przyjaźń nie jest jeszcze przyjaźnią. Nie, nie dlatego, żebyś nie umiała szczerze i mocno kochać! To nieprawda. Ale dlatego, że przyjaźń nie może polegać na zwierzeniach pod kasztanem. Przyjaźń nie może mówić „my dwoje i — cały świat!”, ale — „my dwoje dla świata!” Podstawą jej musi być jakieś wspólne wielkie zainteresowanie, jakaś praca lub jakieś braterstwo broni. Czy rozumiesz mnie, Krysiu?

Skinęłam głową.

— A ty, czy masz przyjaciela, tatusiu?

— Nie — odpowiedział po chwili ojciec.

— Dlaczego? — zapytałam.

Ojciec chodził w zamyśleniu po pokoju.

— Widzisz — powiedział — zdaje mi się, że po prostu — nie mam czasu. Na wszystko trzeba mieć czas. Nawet na przyjaźń.

Stanął przy piecu, oparł się o niego plecami i zamyślił się znowu. Musiał być bardzo zmęczony, bo zamknął oczy.

Patrzyłam na jego twarz dziwnie pożółkłą, na worki zarysowujące się coraz wyraźniej pod oczyma, na opuszczone kąty ust i szerokie srebrne pasma w jego tak jeszcze niedawno czarnych włosach. Jego ręce błędziły po gładkiej powierzchni pieca, z rozkoszą chłonąc ciepło. Drżał lekko całym ciałem, jakby wstrząsały nim dreszcze. Był widocznie zziębnięty i wyczerpany do ostatka.

A ja... ja zatrzymywałam go jeszcze przy sobie skracając jego\* spoczynek!

I... i nie powiedziałam mu przecież nawet, nie powiedziałam mu tego... najważniejszego, o czym należało mu powiedzieć!

Ale... o Boże! Jakżeż to powiedzieć, choć na pozór jest to przecież tak proste?

— Tatusiu... — powiedziałam tylko. — Tatusiu... — I wy-buchnęłam płaczem.

187

Ojciec przeraził się jeszcze bardziej niż poprzednio. Usiadł przy mnie, kołysał mnie w ramionach, uspokajał, rozpytywał, ale nie mógł ze mnie nic wydobyć.

Nie, nic mi się nie stało. Nie, nie jestem chora. Nie, nikt mnie nie skrzywdził ani nie przestraszył. I dopiero na pytanie, czy chcę czego, nagle, stanowcze skiniecie głową!

— Tak! Tak! Ja... ja... zrobię ci kawę!

— Co... co takiego?! — zdziwił się ojciec.

Ale ja już wciągałam ranne pantofle z takim pośpiechem, jakby od tego właśnie zależało wszystko.

— Tak! — mówiłam gorączkowo. — Tak! Jesteś taki zmarznięty! Ja... zaraz...

— Ale co znowu! Kawa?! O pierwszej w nocy?! Budzić Katarzynę...

— Nie, nie... ja sama...

Ojciec zaczynał się już gniewać.

— Ani mi się waż! Cóż znowu za pomysły! Przez zimny korytarz będzie spacerowała! I w ogóle — w nocy! Proszę w tej chwili się położyć!

Ale ja nie ustępowałam.

— Tatusiu! — prosiłam. — Tatusiu!...

Ojciec spojrzął na mnie uważnie i nagle lekki uśmiech przemknął po jego twarzy. Podniósł mi głowę, popatrzył przez chwilę w oczy.

— Ach... więc to tak... — powiedział. — Więc to tak... A potem dodał:

— No, to... włóż szlafroczek i palto i zrób mi już tę kawę...

Ubierałam się drżącymi z radości rękami, nie śmiejąc spojrzeć na niego.

Ale w chwili, gdy miałam już włożyć palto, zatrzymałam się nagle, upadłam na łóżko i zaniosłam się jeszcze rozpaczliwszym niż poprzednio łkaniem.

188

— Ależ, Krysiu! — powtórzył zdziwiony ojciec. — Ależ przecież pozwoliłem ci już. Przecież zgodziłem się! No, zrób mi już tę kawę!

Kiedy... — wyłkałam wreszcie — kiedy zapomniałam, kiedy zupełnie zapomniałam... że nie umiem przecież ani zrobić kawy, ani zapalić maszynki!

Część siódma ZAWSZE SAMA

XXXI. Prawda Krysi

Matce Adeli było coraz lepiej.

Ale podnieść się z łóżka jeszcze nie mogła.

Adela więc musiała pracować jeszcze więcej niż na Żelaznej, bo i matce trzeba było usłużyć, i zgotować, i prze-prać, nie tylko dla nich, ale dla dziadka i Staśka. A w dodatku z Jaśka to się zrobił taki psotnik, że nie daj Boże — z oczu go spuścić nie mogła.

Wicek i Zosia chodzili więc zupełnie bez opieki i Adeli aż się czasem serce krajało, kiedy patrzyła na ich opuszczenie. Cóż jednak miała począć? Ani ich w izbie trzymać, bo matce z nimi pękała głowa, ani się z nimi na podwórzu niań-czyć, bo w chałupie tyle roboty, że nie wiadomo, czego się prędzej chwycić!

Poprosiła wprawdzie dziadka, żeby wziął choć raz na tydzień jedną dziewczynę z tej samej kamienicy do pomocy, ale dziadek burknął tylko:

— Nie trzeba było klucza w drzwiach zostawiać, tobyś miała teraz pomoc!

A zresztą — Adela wiedziała sama, że dziadek nie ma skąd. Tak tylko powiedziała, bo jej żal było dzieci, których nie miała nigdy czasu ani umyć jak się należy, ani obłatać.

Jednakże pewnego dnia Wicus i Zosia powrócili z ogródka nie tacy brudni i wygłodzeni jak zwykle. Adela zrazu nie zwróciła na to uwagi. Gdy jednak to dziwne zjawisko zaczęło się stale powtarzać, wzięła dzieci na spytki.

191

— To przecież Krysia nas myje i przynosi nam podwieczorek! — burknął Wicek, jakby była to rzecz rozumiejąca się sama przez się. — Bo my jesteśmy teraz jej dzieci!

— Widocznie dobra jakaś dziewczyna... — westchnęła matka. ■— Przez twarz Adeli jakby płomień przeleciał. Pochyliła się nad garnkiem, w którym gotowała na wieczerzę i na jutrzejszy obiad krupnik, i nic nie odpowiedziała.

Całe popołudnie jednak uśmiechała się sama do siebie i nuciła coś fałszywie, jak to zwykle ona. W sobotę jednak Wicek i Zosia przyszli już nie tylko wymyć i nakarmieni, ale i wykapani.

Wystarczyło spojrzeć na ich niepokojąco czyste nogi i na wymyte, gładko przyczesane i poobwiązywane chusteczkami głowy, i na różowe, rozgrzane buzie, żeby się o tym przekonać. Zresztą Wicek, zaledwie wy dobył się z wełnianej chustki, w którą przyszli okręceni, oznajmił natychmiast uroczyście:

— Krysia wykapała nas, w dużej rynce z białej porcelany! Rynka była taka duża jak całe łóżko, a jedna stara pani strasznie na nią za to krzyczała, bo powiedziała, że ona się zgrzeje i my się zgrzejemy, i wszyscy poprzeziębiamy się i poumieramy!

— Co to za Krysia?! — zapytała zaniepokojona matka. — Ja myślałam, że to ta od Buczyńskiej, ale skąd u nich wanna?!

Adela znowu nic nie odpowiedziała. Klęczała przy Wicku i rozsznurowywała mu buty. Ale Wicek wzruszył z pogardą ramionami.

— A jakże! Krysia od Buczyńskiej jest głupia jak stołowe nogi i nie umie ani bawić się, ani opowiadać bajek! To jest Krysia od pana doktora.

— Jezus Maria! — krzyknęła przerażona matka. Ojciec Krysi był bowiem otoczony przez swoich pacjentów taką czcią, że mycie przez jego córkę brudnych nóg Wicka wydało się jej niemal świętokradztwem.

— Jezus Maria! Słyszałaś ty, Adela?!

192



Adela podniosła się z kolan cała czerwona ze złości.

— Czego mama tak jaj czy? To moja przyjaciółka, więc zajęła się moimi dziećmi? Co tu jest do wydziwiania?!

I zabrała się do prania ścierek. Tarła je tak, że mało ich nie podarła, i strasznie była rada, że ma tę robotę. Była taka wzburzona, że aż ją poniosło, żeby coś robić czy gdzie lecieć! Więc dobrze, że właśnie to pranie!

Spała teraz Adela na kuferku, przykryta matczyną chustką, a dzieci z dziadkiem, bo matka od czasu choroby znieść koło siebie na łóżku nikogo nie mogła.

Tej nocy jednak pomyślała, że chyba na tym kufrze nie uleży, że chyba z niego spadnie, tak się przewracała z boku na bok, tak sobie rady dać ze sobą nie mogła.

Chciało jej się śmiać z radości i płakać ze złości: — Oto jak bardzo skrzywdziła tę Krysię!

I dlaczego właściwie?! Za co?!

Że się nad nią nie użalała, że nie meła jak inne ozorem? Że jej nie wypytywała, jak wszystkie baby z kamienicy, co im zginęło i czy bardzo matce noga dokucza? Może jeszcze miała za głowę się brać i wdychać: „A co za świat taki, moja pani! A co za ludzie!”

Dużo by na pewno Adeli z tego przyszło!

A tak — to cóż? Ojca swego jej tylko przysłała (kto wie, co by z jej matką było bez niego!), dzieci jej niańczyła (ona, która przecie sama nawet zapleść włosów sobie dotychczas nie potrafiła!), w domu się na awantury z ciotką narażała, byle tylko jej pomóc!

A miała jej przecie za co być wdzięczna... miała... Pięknie się z nią Adela obeszła — nie ma co mówić!

I od tych rozpamiętywań ogarniała Adelę taka wściekłość, że byłaby się sama sprąta ze złości! „Czy mi aby wybaczy?! — myślała. — Czy aby...” „A ty byś wybaczyła?! — pytała zaraz siebie mściwie. —

Wybaczyłabyś?! No powiedz!”

13 — Druga brama

193

To znowu próbowała się uspokajać i tłumaczyć.

Widać wybaczyła, jeżeli... A zresztą... wszystkiemu winno to jej komediantwo! Bo cóż z tego, że prawda Krysi jest mimo wszystko — prawdziwa, kiedy kłamstwo Krysi...

Ale nazajutrz czekały Adelę nowe niespodzianki.

Wicek miał bardzo podartą kurtkę. Dziury na łokciach, kołnierz oberwany i ani jednego guzika.

Dawniej toby go Adela nigdy tak na podwórze nie wypuściła — czysty łachmaniarz! Przychodzi więc Wicek do domu z podwórza, a tu rękawy wylatane, kołnierz przyszyty i jeszcze w dodatku — nowe guziki! Adela aż ręce rozłożyła: wiedziała przecież, że Krysia nawet fartuszka dla lalki obrebić nie potrafi!

— Kto ci to pozesywał? — zapytała Wicka.

— Ta złośnica Anielcia — odpowiedział Wicek. — Ta, wiesz, co to się zawsze z tobą tak kłóciła.

■— Anielcia? Że też się jej chciało!

— Chciało czy nie chciało, ale jej Krysia kazała.

— A cóż Krysia ma do rozkazywania Anielci! — dziwiła się jeszcze bardziej Adela.

Wicek spojrział na nią z politowaniem.

— Przecież Krysia teraz wszystkim na podwórzu zarządza. Jak ona powie, tak musi być! Daj mi kawałek cukru, Adela!

Adela była tak oszołomiona, że dała mu bez sprzeciwu kawałek cukru. Serce jej ścisnęło jednak niedobre przecucie: coś w tej całej sprawie było podejrzane! Cóż to znowu za rzecz przedsięwzięła ta Krysia i w jakie nowe przykrości chciała się wplątać?

A może... może Wicek tylko tak gada, sam nie wie co?

Zaczęła go rozpytywać, ale niewiele się oczywiście od niego dowiedziała. Wystarczyło jednak i tego, żeby zaniepokoić ją jeszcze bardziej.

Z relacji Wicka wypadało, że teraz na podwórzu jest inaczej niż dawniej. Jedna starsza dziewczynka bawi się zawsze z małymi, a wszystkie inne siedzą w szopie, która jest wy-

sypana czystym piaskiem, a w środku stoi stół i ławki ze starych pak i małym wchodzić tam nie wolno. Co jednak robią w tej szopie, tego Wicek nie wiedział. W dni zimne i deszczowe, gdy młodsze dzieci były w domu, starsze dziewczynki zbierały się także. Albo w szopie, albo w pralni, albo u jednej spośród nich. Po co? Na to pytanie znowu nie umiał odpowiedzieć.

— Pewnie dlatego, że Krysia im tak każe! ■— objaśnił po namyśle.

W ogóle ze wszystkiego, co mówił Wicek, wynikało jasno jedno, a mianowicie to, że był niezachwianie przekonany, iż kierownictwo wszystkich spraw drugiego podwórza spoczywa w ręku Krysi. I to właśnie tak bardzo zatrwożyło Adelę.

— Założyłabym się, że jakaś nowa Albania! — wzdychała. A w dodatku, jak na złość, ani myśleć nawet nie można

o tym, żeby Adela mogła się wybrać na podwórze, zbadać sprawę i zapobiec niebezpieczeństwu!

Okazało się jednak, że nie było potrzeby badać sprawy na miejscu.

Jeszcze bowiem tego samego popołudnia Adelę spotkały szczególne odwiedziny.

Ta sama Anielcia, która przyszyła Wickowi kołnierz, zjawiała się w izbie, dziwnie uroczysta i ceremonialna, i zaraz po pierwszych słowach powitania oświadczyła:

— Uchwaliliśmy w stowarzyszeniu, że odtąd codziennie inna będzie przychodziła ci pomagać.

Bardzo nam przykro, że dotychczas tego nie zrobiliśmy. To doprawdy wstyd, że pozwoliliśmy ci mordować się tak długo samej!

Adela patrzyła na nią osłupiała.

— W jakim stowarzyszeniu?! — zapytała.

— My należymy teraz wszystkie do jednego stowarzyszenia — objaśniła tym samym uroczystym tonem Anielcia. — To stowarzyszenie nazywa się „Liga Przyjaźni”!

A potem dodała jeszcze, dziwnie płynnie i potoczycie, jak gdyby czytała z książki:

— Wszyscy, którzy należą do Ligi Przyjaźni, odnoszą się do każdego człowieka jak do przyjaciela. Jedynie bowiem wtedy może zapanować nowy ustrój, gdy wszyscy ludzie poczują się przyjaciółmi!

— O Boże! — jęknęła tylko Adela i usiadła zgębiona na ławce.

„Nowy ustrój” w ustach tej głupiej i złośliwej gęsi! Nie! To był już szczyt wszystkiego! To było nawet gorsze od Albanii!

— Więc w czym ci mogę dopomóc? — zapytała Anielcia.

— W niczym! — miała ochotę krzyknąć Adela i wyrzucić ją za drzwi.

W tej samej jednak chwili przypomniała sobie swoją niedawną popędliwość wobec Krysi, popędliwość, której tak bardzo później żałowała, i — pohamowała się.

Zaczęła rozpytywać Anielcię.

I owszem. Anielcia opowiadała dużo, chętnie i z namaszczeniem, choć właściwie było widać, że nie wszystko rozumie i niektóre rzeczy powtarza jak papuga.

I mimo całej swojej niechęci Adela musiała przyznać, że dobrze to sobie Krysia obmyśliła. Te zebrania i dyżury opieki nad dziećmi, i wspólne czytania, i pomoc dla każdego, który jej potrzebuje

— czyż nie było to urzeczywistnieniem tego, o czym dawniej myślała Adela, żeby nie tylko ludzkość, lecz i ludzie, i nie tylko proletariats, lecz i proletariusze?

Ale... ale czyż można to przeprowadzić właśnie z taką Anielcią i z innymi podobnymi do niej gęsiami?! Czyż Krysia nie pamiętała, jak jeszcze niedawno ta sama Anielcia wyśmiewała się z jej opieki nad Józią? Czyż Anielci nie imponowało po prostu należenie do Ligi Przyjaźni, tak jak niegdyś znajomość z albańskim księciem?

A jednak...

A jednak Adela musiała przyznać, że chociaż w zachowaniu Anielci było coś sztucznego i śmiesznego (wydawało się, że nie mówi, tylko „przemawia”, i nie zabiera się do szoro-

wania podłogi, tylko celebrytuje nabożeństwo), to jednak coś się w niej naprawdę zmieniło i jakby -

— wyszlachetniało. Niedużo. Ale trochę. Bo przecież ta dawna Anielcia nie mogłaby nawet udawać, że zajmują ją takie sprawy jak Liga Przyjaźni!

Więc... więc może to właśnie było dobrze, że Krysia nie widziała prawdziwej Anielci, że wierzyła w jej zapał i jej szczerość, bo inaczej — jakżeby mogła ją zmienić?

A zresztą — czy Felek, Felek, który twierdził, że „ludzie nie są właściwie nigdy źli”, nie patrzył na nich podobnie jak Krysia, mimo że znał przecież życie? Więc... więc może trzeba widzieć wszystko trochę inaczej, niż jest, żeby móc coś dla ludzi zrobić!

I nagle Adeli przyszła do głowy bardzo dziwna myśl:

Że może nie tylko prawda Krysi była mimo wszystko prawdziwa, ale i jej kłamstwa nie były tak zupełnie — kłamstwami?!

XXXII. Zawsze sama

Kiedyż to (czy nie na Żelaznej?) siedziała tak samo Adela któreś niedzieli czekając na Felka? Ale Felek nie przychodził; i Krysia — nie przychodziła także. Oboje niósł szeroki nurt życia i nie mieli czasu myśleć o Adeli.

Wiele się bowiem zmieniło w przeciągu tych kilku miesięcy. Adela nie mogła niemal poznać drugiego podwórza. Jego dawniej sennie życie, przerywane tylko drobnymi kłótniami, sporami i zabawami, płynęło teraz ujętym w pewne ramy, ale jednocześnie dziwnie wartkim nurtem.

Gotowało się w nim ciągle i burzyło jak w kotle, tyle było projektów, pomysłów i zamierzeń.

Jednego dnia przygotowywano wspólną gwiazdkę, następnego naradzano się burzliwie nad tym, czy do Ligi można należeć dopiero od trzynastego roku życia, czy też, jeżeli ktoś jest w szóstym oddziale, to jednak... A jeszcze

197

\* ■

innego dnia Ligę zaszczyca swymi odwiedzinami pewien wielki działacz polityczny, kuzyn Krysi, z piątej klasy gimnazjum, który należał do Związku Niepodległościowo-Demokratycznej Młodzieży, miał prawie szesnaście lat i zaznaczył zresztą zaraz, że jeżeli przychodzi do tak młodej młodzieży, to tylko dlatego, że jest to młodzież robotnicza, a przyszła Polska będzie Polską młodzieży ludowej... Innym zaś znów razem kolega jego (także z tego samego związku) odczytał i pokazał odezwę wydrukowaną na maszynie do pisania w stu tysiącach egzemplarzy (tak przynajmniej zaznaczone było u góry). Odezwy tej nie zostawił jednak w lokalu Ligi, lecz zabrał ją ze sobą (z powodów konspiracyjnych, a także dlatego, że szkoda każdego egzemplarza...).

Adela patrzyła na to wszystko dziwnie oszołomiona nie wiedząc, co o tym myśleć, ale jakby — nie śmiejąc także temu wszystkiemu się opierać.

W głowie jej wytworzył się dziwny zamęt.

Bo niby Adela nie mogła przeciwstawić temu, co się działo na podwórzu, nic innego.

I nie umiałyby nawet powiedzieć, dlaczego nie czuje się tym porwana i co ją w tym wszystkim razi i śmieszy.

Nie można było tej Lidze niczego zarzucić.

Proletariat i Niepodległa Polska, i życzliwość, dobroć dla każdego człowieka — wszystko, jak uczył Felek.

Ale obok tego — jakaś dziecinna chęć zabawy, ruchu i działania, jakaś przesadna egzaltacja, jakieś pozowanie przed samym sobą.

A może — może to się wszystko Adeli tak wydaje dlatego, że Adela...

Bo w głębi serca Adela czuje wszakże dobrze, że to, co robi Krysia, jest mimo swej dziecinnej śmieszności dobre i pożyteczne. Więc może Adelę po prostu drażni i gniewa, że Krysia tak bardzo jest tym pochłonięta, tak aż do niepoznania zmieniona, jakby przed Adelą stała nie ta sama, ale jakaś

198

zupełnie inna i nowa Krysia, z dnia na dzień bardziej — obca.

A przecież ta nowa Krysia, Krysia oddana Sprawie, powinna być właśnie bliższa i droższa Adeli! Krysia stała się wszakże teraz dojrzała i doroślejsza. Jej dawniej wiecznie spłoszone oczy patrzyły otwarcie i śmiało, a czasem nawet na-kazująco. Jej nieśmiałe i niepewne ruchy stają się z każdym dniem swobodniejsze i bardziej sprężyste.

Dlaczegoż więc Adela patrząc na nią doznaje dziwnego ściśnięcia serca?

Dlaczegoż słuchając tych dzielnych i mądrych Krysinych słów czuje, że przygniata ją jakiś dziwny ciężar, że jest jej coraz chłodniej i coraz bardziej samotnie, jak gdyby nie spotkały się znowu, jak gdyby wszystko między nimi nie było jak dawniej, lepiej niż dawniej!

A jednak... Dziwna rzecz... a nawet wstyd się przyznać! Adela tęskni za tamtą Krysią!

Niedorzeczną i dziecinną, często drażniącą, ale nie zajęta wiecznie dziesiątkiem cudzych spraw, nie pochłoniętą życiem całego podwórza, nie darzącą swym uczuciem i myślami całej gromady!

Tęskni za Krysią, która była wyłącznie — jej Krysią!

Bo teraz, kiedy Krysia stoi czasem w gromadzie i rozprawia, sędzi i przewodzi, to oczy jej prześlizgują się po Adeli, zupełnie jak po każdej innej, obcej dziewczynce. Jakby jej nie widziały, jakby zupełnie nie dostrzegały, że to jest przecież ona — Adela! Więc Adela przypomina sobie te czasy, kiedy to Krysia nie widziała nikogo poza nią, kiedy każde jej spojrzenie odbijało się w oczach Krysi radością, smutkiem, lękiem i udręką.

Prawda, że Adelę kępowała czasem i męczyła ta nieustanna czujność, to wieczne napięcie, ten śmiech i te łzy, ta cała atmosfera dusznego niepokoju, która otaczała wówczas ich przyjaźń.

Prawda, że to ona sama odtrąciła od siebie dawną Krysię.

199

Ale teraz...

Bo czyż ta ich obecna przyjaźń to naprawdę przyjaźń, czy tylko — Liga Przyjaźni?

Przecież całymi tygodniami Krysia nie pomyśli nawet o tym, żeby z nią pomówić, żeby jej się zwierzyć z czegoś poza swymi projektami w Lidze, żeby coś dla niej, tylko dla niej, opowiedzieć!

A kiedy już nareszcie przypomni sobie o niej, to Adela zacina się cała w żalu i goryczy, bo wydaje się wówczas, że Krysia spełnia już tylko jakiś narzucony sobie obowiązek: że odwiedza ją tak samo, jak odwiedza chorą Franke, albo że chodzi z nią we dwie, tak jak chodzi czasem z Antosią, której rodzice wyemigrowali i która czuje się bardzo osamotniona.

I Adela staje się wówczas szorstka, twarda, raniąca szyderstwem każdego słowa i każdego spojrzenia.

I dopiero kiedy oczy Krysi przygasają i napęniają się łzami i kiedy pyta po dawnemu, tak jakoś zupełnie dziecinnie i bezbrinnie, trochę drżącym i załamującym się głosem: „Dlaczego ty tak... Adeldciu?” Adela czuje, że przecież... że jednak!

I gorąca fala miłości, skruchy i radości zalewa jej serce.

A jednocześnie ten straszny wstyd, że to tak właśnie postępuje ona — Adela! Bo w takim razie...

Bo w takim razie, czegoż żądała od Krysi i czymże była dla niej — Sprawa?

Nie, niech nie oszukuje tylko samej siebie! Poważna czy dziecinna, wielka czy mała, ale zawsze — Sprawa!

I kiedy Adela siedzi tej niedzieli zupełnie sama w izbie, jak niegdyś, gdy na próżno czekała na powrót Felka, to myśli, że myliła się dawniej, sądząc, iż nie kocha wprawdzie tych ludzi, którzy ją otaczają, ale kocha Sprawę. Teraz widzi, że nie kochała nigdy ani ludzi, ani Sprawy.

Może za jasno, za zwyczajnie, za codziennie patrzyła Adela zawsze na świat i ludzi, żeby móc kochać ich tak, jak Felek albo Krysia.

200

Kocha tylko zawsze Felka czy Krysię, kocha tylko jednego człowieka, w którym żyje tęsknota za lepszym światem.

Więc cóż dziwnego, że ten człowiek odchodzi szukać swego świata, a Adela zostaje gdzieś po drodze, zupełnie sama.

I zawsze, czy na Lesznie, czy na Żelaznej, siedzi wpatrzona w jakieś drzwi i czeka, aż tamten wróci.

Ale tamten już poszedł swoim szerokim i dalekim szlakiem i nie wraca.

Cicho, bez skrzypnięcia, uchylają się drzwi i w Adeli zamiera serce, tak jak niegdyś, gdy do izby wchodził Felek.

Ale tak jak niegdyś nie rusza się z miejsca, choć słyszy, jak Krysia szuka jej na próżno w mroku. Wreszcie oczy Krysi przyzwyczajają się do ciemności.

— Nie przyszedł dziś na zebranie, Adelciu? — pyta cicho. A ponieważ Adela nie odpowiada, wyciąga do niej drobną, trochę drżącą rękę i dodaje:

— Gniewasz się na mnie, Adelciu?

Adela patrzy na tę szczupłą, wyciągniętą ku sobie dłoń, która mimo zapadającego zmierzchu odcina się wyraźnie na ciemnej powierzchni stołu.

Nie odtrąca jej.

Przykrywa ją łagodnie swoją i przez chwilę doznaje tego samego uczucia, co niegdyś, gdy trzymała w ręku małego, drżącego wróbla, którego złapał Wicek.

Potem rozwarła rękę i wróbel odleciał.

— No! — mówi tylko. — No!

I nawet — uśmiecha się do Krysi.

Ale Krysi wydaje się w mroku, że ten uśmiech jest dziwnie smutny.

y^3>

## POSŁOWIE

Są książki, które pamięta się z czasów dzieciństwa. Jednak gdy powracamy do nich po latach, często dziwimy się, cośmy w nich widzieli? Książka nie porusza nas już, wydaje się zwietrzała i martwa. Bo książki także więdną i umierają jak ludzie. A cóż dopiero, gdy przetacza się po nich historia tak przygniatająca, jak historia naszej epoki: prawdziwy koniec jednego świata, wojna, okupacja, śmierć milionów, burzliwe przemiany naszego świata. Zmieniło się w tej epoce tak wiele, zmieniliśmy się my sami tak bardzo, że niewiele jest książek, które przetrwały tę próbę.

A „Druga brama” Haliny Górskiej?

Nie ma już takich salonowych dziewczynek jak Krysi z sześciopokojowego mieszkania, z kamerdynerem, z niemiecką boną, nie ma już wiele takich podwórek, jak te, na które Krysi patrzyła z wysokości swego okna, świat tyleż upragniony, co dla niej niedostępny. Nie ma takiej nędzy, nie ma zawzzonej i poniewieranej Józi, nie ma ciężko zapracowanej, dźwigającej rodzeństwo Adeli. Nie ma tak wielkich społecznych kontrastów. W pewnym sensie książka Górskiej może być czytana jak powieść już historyczna.

Tamten świat zginął. Został zmiążdżony wraz z milionami ludzi, którzy zginęli. Wśród tych milionów zabitych jest także autorka tej książki Halina Górka.

A jednak „Druga brama” jest żywa, lektura jej jest ciągle prze-

203

mująca. Dlaczego? Odpowiedź na to pytanie jest podwójna. Po pierwsze: „Druga brama” jest żywa ze względu na niezwykłą osobowość autorki przebijającą z tej książki. Po drugie: ze względu na ogólną, ludzką prawdę zawartą w samej powieści i w jej postaciach.

Kim była Halina Górka? Urodziła się w 1898 roku w Warszawie. Była córką lekarza Zygmunta Endelmana i pisarki, luystępującej pod pseudonimem Czesław Halicz. Miała szczęście być uczennicą Stefani Sempołowskiej, działaczki lewicowej i niepodległościowej, wielkiego człowieka i pedagoga.

„Stefania Sempołowska — pisała Halina Górka w „Sygnałach” w 1937 roku — nie uczyła nas nienawidzić żadnego narodu, a nawet żadnej grupy ludzkiej. Przemoc, wyzysk, niesprawiedliwość — oto z czym należy się zmagać. Ale człowiek... Człowiek wszędzie na ziemi jednakowo cierpi, błądzi, szamoce się i tęskni”.

Halina już jako uczennica przejawiała zainteresowania społeczne, pracowała w świetlicach dla młodzieży robotniczej i wstąpiła do Polskiej Partii Socjalistycznej. Ukończyła gimnazjum, wyjechała za granicę do Belgii, gdzie przebywała jej matka. Tam Halina ukończyła socjologię na uniwersytecie i wyszła za mąż za działacza socjaldemokratycznego Mariana Górskiego starszego od niej o 25 lat. Było to małżeństwo do końca bardzo szczęśliwe i harmonijne. Córeczka Górskich otrzymała ulubione imię pisarki, Krysi, imię, które nosić będzie wiele jej bohaterów literackich. W 1924 roku państwo Górscy wrócili do kraju i osiedlili się we Lwowie. Tutaj rozpoczęła się działalność społeczna i literacka Haliny Górskiej.

Zaczął się od radia. W 1930 roku Górka wprowadziła do radia cykl audycji dla młodzieży pod nazwą „Skrzynka błękitnych Rycerzy”. Audycja przyjęła się. Przy radio powstał Związek

Błękitnych, który zaczął organizować różne prace społeczne, mające na celu pomoc dla najbiedniejszych. Górską była ośrodkiem i myślą całej tej działalności, w jej domu skupiała się akcja społeczna, przewijały się dziesiątki i set-

204

ki ludzi. Dzięki niej stworzony został ośrodek dla chłopców, włóczęgów i dzieci ulicy. Akcja ta skończyła się tragicznie. Wśród chłopców raz po raz wybuchały konflikty, wreszcie sami podpalili oni zbudowany i urządzony przez siebie barak. Tę bolesną klęskę działalności filantropijnej opisała Górską w powieści „Barak płonie”.

Lata działalności społecznej były także latami intensywnej pracy literackiej Haliny Górskiej. Jej pisanie było najściślej związane z jej życiem i doświadczeniem. Dlatego właśnie nosi ono cechy takiej uczciwości i rzetelności. Nie ma tu rozdźwięku między życiem a literaturą. W książkach swoich Górską nie tylko opowiada zmyślane historie, jak to czynią powieściopisarze, ale dzieli się z czytelnikami swoimi pytaniami, wątpliwościami i klęskami. Halina Górską rozmawia z młodym czytelnikiem jak równy z równym, traktuje go poważnie, uważa go za zdolnego do zrozumienia najgłębszej i najtrudniejszej problematyki. Pisz o dzieciach i dla dzieci, ale tak, jak czynił to Janusz Korczak. Literatura dla dzieci staje się miejscem poważnego dialogu, dialogu o sprawach ludzkich, bo nie ma osobnych problemów: dla dzieci i dla dorosłych.

Halina Górską to wielki i szlachetny człowiek, spalający się w walce i pracy dla innych. Żył podstawową zasadą wpojoną jej przez Stefanię Sempołowską, zasadą miłości i przyjaźni ludzi i grup ludzkich, nie zaś nienawiści.

Zabiła ją jednak nienawiść. Po wejściu Niemców do Lwowa w roku 1941 ukrywała się przez parę tygodni, ale z powodu choroby męża wróciła do domu, aby się nim opiekować. Została aresztowana przez Gestapo 19 września 1941 roku i rozstrzelana na Piaskach Łyczakowskich 4 czerwca 1942 roku. Wśród wielu dotkliwych strat wojennych jest to jedna ze strat najboleśniejszych dla kultury polskiej.

%

Odtąd nie można oddzielić pisanstwa Haliny Górskiej od jej życia i śmierci. Nie można czytać jej książek nie wiedząc, kim była i w jaki

205

sposób zginęła. Pamięć o tym powinna być wyrazem naszej solidarności i wierności dla spraw, którym poświęciła się pisarka, dla spraw ludzkich.

Bo pisanie Haliny Górskiej ciągle jeszcze uczy nas właśnie na sprawy ludzkie. Uczy patrzeć wokół siebie, wychodzić poza osobisty i domowy egoizm, dostrzegać obok siebie innych ludzi. Tak, nie ma już takiej Krysi ani takiej Adeli. One obie siedzą dzisiaj może w jednej szkolnej ławce ubrane w takie same sukienki i fartuszki. A przecież to, co najważniejsze i niezależne od społecznej sytuacji — pozostało. Przede wszystkim szukanie się wzajemnie ludzi, nawet poprzez to wszystko, co ich dzieli, potrzeba serca i przyjaźni. „Druga brama” jest książką o szukaniu przyjaźni, o koniecznym ludzkim przekraczaniu samotności i wychodzeniu naprzeciw drugiego człowieka. Nie jest to łatwe, o nie! Najlepiej w „Drugiej bramie” wypowie tę prawdę kamerdyner Jan: „Żywego człowieka zdobyć to nie to, co łałką się pobawić. Trzeba przecierpieć to i owo. Ale widzisz — opłaca się”.

1 bohaterka powieści — Krysi, szamoce się w swoim egoizmie, w swoim piękno duchostwie. Stwarza wokół siebie fikcje, wymyśla sobie baśniową Albanie, której jest księciem, a wszystko po to, aby zdobyć przyjaźń lub choćby jeden uśmiech dziewczynki z podwórka —■ Adeli.

Halina Górską wprowadza do literatury dla dzieci pełne prawdy postacie proletariackie. Tu gdzie dotąd rządili niemal niepodzielnie mali lordowie i małe księżniczki, w każdym razie grzeczne, wymyte, uczesane i miłe dzieci ■— Górską wprowadza „dzieci niemiłe”. Taki był nawet tytuł jednego z jej artykułów z 1932 roku. „Dzieci niemiłe” — to dzieci prawdziwe, na pozór może krnąbrne, uparte, złe, ale w taki tylko sposób mogące przejawiać swoją ludzką godność. Nie dzieci-pieski salonowe, ale dzieci znające surową prawdę o życiu dzieci z nędzy, suterren, dzieci pijakóiu i przestępców, dzieci odpychane i pozbawione tego, co najważniejsze: chleba, serca i nauki,

206

dzieci ciężko pracujące. Nic dziwnego, że Adela z pogardą i ironią patrzy na wystrojoną Krysię.

Zanim nie ujrzy w niej także człowieka, nie żadną „burżuazję”, ale zwykłego cierpiącego człowieka, dziecko płaczące po nocach, tęskniące do matki — Adela widzi w Krysi nieprawdziwą, zakłamaną lalkę. Podejrzewa nawet, że i dobroć Krysi, zajęcie się biedną Józją — jest nowym sposobem zabawy. Między światem Krysi i światem Adeli jest społeczna przepaść, a przecież obie nawzajem szukają się, odnajdują i gubią.

Przed wszystkim więc Halina Górska proponuje nam postawę czujności i uwagi na drugiego człowieka, na człowieka koło nas. Bez względu na to, czy potrafimy, czy nie potrafimy zdobyć dla siebie drugiego człowieka — tylko dzięki niemu możemy wzbogacić nasze własne życie. Kto kocha — mówi ojciec Krysi — często błądzi. Ale „lepiej zbłądzić w miłości niż nikogo nie kochać”.

Czujność na człowieka jest. czujnością na jego prawdę, zawsze godną szacunku. Kamerdyner Jan, który jak gdyby mimo woli często podszeptuje Krysi różne problemy — w swoisty sposób wyostrza jej czujność na prawdę świata. Jak wiele przedmiotów — to imitacje. W domu Krysi tylko podłoga w kuchni i narzędzia medyczne jej ojca — są prawdziwe. Jak wiele postaw ludzkich — to też tylko imitacje. Krysia zaczyna zauważać dwoistość świata. Każda rzecz staje się nagle jakby podwójna. Krysia zaczyna oddzielać świat pozorów od świata prawdziwych wartości. Powoli opuszcza światy pozorne, urojone — dla świata rzeczywistego, który jest trudny i który stawia człowiekowi same pytania, ale nie śpieszy się udzielać na nie odpowiedzi. Z egoistki, z rozmarzonej dziewczynki żyjącej w świecie fantazji ■ — Krysia staje się na swoją dzieciną, podwórkową miarę — społeczną działaczką. Najpierw zajmuje się Józją po to, aby zdobyć przyjaźń i uwagę Adeli. Ale sama przyjaźń: ja i ty na świecie — nie jest przyjaźnią prawdziwą i trwałą. Dopiero: ja i ty dla świata — jest czymś, dla czego warto żyć. To, co ludzi łączy jak gdyby ponad mmi samymi, jakaś sprawa większa od nich razem wziętych — to

207

dopiero jest prawda, a nie imitacja. Do wszystkich tych prawd a na, wet do wszystkich przyjaźni Krysia dochodzi z trudem i boleśnie.

Górska nie tworzy literatury łatwych przygód, jakie dzieją się zwykle w tak zwanej literaturze dziecięcej. Czy w „Drugiej bramie” nie ma przygód? Są, i to jakie! Uważny czytelnik znajdzie je na każdej stronie. Ale są to przygody naprawdę trudne, przygody jafcie stawia przed nami prawdziwe życie wtedy, gdy ośmielimy się spojrzeć mu wprost w twarz. To wymaga odwagi. I tej odwagi żądu 0d nas pisar. stwo Haliny Górskiej.

Bo w pisarstwie tym jest jakby coś więcej poza sama literaturą. Była sobie Krysia, córeczka doktora... Była sobie Ade\ a mała pr0. letariuszka wierząca w rewolucję i w nowy ustrój... Byli sobie...

To wszystko prawda. Ale nie można przebiec tylko 0CZami fabuły „Drugiej bramy”. To byłoby tak, jakby ktoś przeczytał Wszystkie wyrazy, ale nie przeczytał samej książki. Bo przeczytać ks^żkę Górskiej to znaczy poważnie przejąć coś z jej niepokoju tora^e,,0 z :e: n-ie. ustannie stawianych pytań. To książka, która wymaga w'te\ e 0^ CZy-telnika, bo traktuje go jak dorosłego i każe mu przeje trudne obowiązki. Najpierw obowiązek bycia człowiekiem, człowiekiem a nie imitacją człowieka. I zaraz pytanie: a co to znaczy -ч\_ w człowiekiem? Obowiązek dostrzegania z szacunkiem drugiego człowieka obowiązek ludzkiej solidarności i przyjaźni. A co to znaczy solidarność? Czy solidarność i w złym, i w dobrym? A co to znaćZy prawdziwa przyjaźń?

Obowiązek samotności, dzielnej samotnośa\_ Zawsze sama" ■ — takim rozdziałem kończy się powieść o Krysi \ Aftęli, j zaraz myślimy o tym, jak bardzo samotna była Halina Górską owea0 czerwcowego dnia wobec przemocy uzbrojonych faszystów, istnieje pewien rodzaj samotności — pisała Halina Górska — kót^ nmte oddziela ale łączy". To samotność, która jest wspólnotą wszyst\ jeg0 co w \u. dziach szlachetne i wolne. Taka samotność jest potrz(},nat.

I potrzebny w życiu człowieka jest ból, i potrzebna nawet rozpacz. Bez tego ani Krysia nie doszłaby do swojej postawy społecznej, ani

208

Adela nie wiedziałyby, co to miłość, ona, która ciągle czekała na więzionego za siuoje przekonania Felka. Po prostu ból, rozpacz, smutek, samotność — są to ceny życia pełnego i prawdziwego. Takiego życia nie można kupić tanio, tak jak ktoś od święta ofiarowujący składkę dla biednych

sądzi, że kupuje sobie spokój i zadowolenie z siebie.

Książka Haliny Górskiej nie daje taniego zadowolenia. Zmusza nas do myślenia, do dyskusji, do moralnej czujności. Wprawdzie zewnętrznie świat bardzo się zmienił, od tego obrazu, jaki odczytujemy w „Drugiej bramie”, ale jest to ciągle świat trudny, świat pełen konfliktów i pytań, na które dziś wcale nie łatwiej dać odpowiedź niż wczoraj.

Poza tym ludzie w tym naszym nowym świecie są tak samo spragnieni przyjaźni i miłości i tak samo cierpią, gdy obrażana jest ich ludzka godność.

Niektórym „dorosłym” wydaje się, że młodzieży współczesnej wystarczy piłka, telewizor i głośna muzyka.

Dlatego może tak bardzo brak nam pisarzy typu Haliny Górskiej, pisarzy o takiej moralnej czujności, pisarzy, którzy umieliby prowadzić nas w świat prawdziwych przygód dziejącego się wokół nas i w nas samych — ludzkiego życia.

ANNA KAMIENSKA

## SPIS TREŚCI

Część pierwsza. Krysia

I. Na Karmelickiej .....	7
II. Jan.....	11
III. Podwórze.....	16
IV. Dzieci z podwórza.....	18
V. Sabinka.....	20
VI. Dziecko elfów.....	24
VII. Faulein Anna „Wiedziała przecież od razu” .	30
VIII. Dziura pod progiem .....	31
IX. Ludzie odchodzą i przychodzą ....	37
X. Jasia.....	39
XI. „Hop! Moja duża córeczka!”.....	46
XII. Imitacja.....	50
XIII. Przeprowadzamy się.....	53
XIV. Na Lesznie.....	57
XV. Druga brama.....	62
Część druga. Adela	
XVI. Adela.....	69
XVII. Felek.....■ JI . . . . .	77
XVIII. Ich niedziela.....	87
XIX. Straszna noc.....	94
XX. Adela nie płacze . . . . .	96
XXI. Ostatni ślad.....	101
XXII. Dziewczynka z Saskiego Ogrodu ....	105
Część trzecia. My dwie i - Albania	
XXIII. Jak wstąpiłam na tron Albanii .	
XXIV. A Adela.....	
113 130	
Część czwarta. My dwie i sprawa Józi	
XXV. Dobroć niepotrzebna.....	141
XXVI. A Adela.....	155
Część piąta. My dwie i dzień powszedni	
XXVII. Przyjaźń zerwana.....	163
XXVIII. A Adela..... . . . .	172
Część szósta. Czeski kryształ	
XXIX. Czeski kryształ.....	179
XXX. Spotkanie z ojcem.....	183
Część siódma. Zawsze sama	



XXXI. Prawda Krysi..... 191

XXXII. Zawsze sama..... 197

Posłowie..... 203

«и 'ШШШЧЩШШШЩМ\*

обыаоЕч>^й-

Wir t-s tu

. Ш N N

^ а в »

3

Ш!

w •■ с,

наги\*\*\*" «^ h. w м' йй i" Q g o

I3 йа

£l N O

s ° з \* wс

4 Ĩ н

iH

\*- ^ м

Kl i

f!)

to

а ста о о • з

2l » о

i pз

P

to O

N м .Ф

з s;

Гл о Ш м

' о ,, S.

<£> O <£, Л)

(O O ^ВД

■ f u (,

> у r1 з

. ста Ч! "

& N Q,

С

Я"

и о

3 ч о

г >

и

ТТ